

KREW NA SUTANNIE

Wolfgang Deiminger CMF

Opowieść o męczennikach
z Seminarium w Barbastro

Palabra
Warszawa 1999

1. PÓŹNE OWOCE

Dnia 25 października 1992 roku papież Jan Paweł II beatyfikował Sługę Bożego Felipe de Jesús Munárriz i jego pięćdziesięciu towarzyszy. W ten sposób potwierdzono oficjalnie to, co już od dawna wiedzieli wszyscy, którzy ich znali: to, że zginęli w sierpniu 1936 roku jako świadkowie wiary Chrystusowej.

Kim był Felipe de Jesús Munárriz? Jaką rolę odegrali jego towarzysze? O co chodziło tym, którzy ich zamordowali? Skąd tych pięćdziesięciu jeden ludzi wzięło siłę, aby bez względu na konsekwencje do końca wytrwać przy Chrystusie? Czy ich ofiara była konieczna? Czy miała jakiś sens? Czy wydała jakieś owoce? Nie sposób dać wyczerpującą odpowiedź na te wszystkie pytania nawet w tej książce, ponieważ w tym celu musielibyśmy zgłębić niepoznawalne Boskie zamia-ry.

Męczennicy z Barbastro pozostaną dla nas pod wieloma względami obcy. Pewne elementy ich duchowości, zachowania i postawy religijnej mogą nam się wydać obce, a nawet sprawiać wrażenie niezrozumiałych. Mimo to są to fascynujące osobowości - co jest charakterystyczne dla ludzi całkowicie oddanych Bogu.

Wytrwajcie we Mnie, a Ja (będę trwał) w was. Podobnie jak latorośl nie może przynieść owocu sama z siebie - jeśli nie trwa w winnym krzewie - tak samo i wy, jeżeli we Mnie trwać nie będziecie. Ja jestem krzewem winnym, wy - latoroślami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity,

ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić (J 15,4-5). Te słowa, którymi Jezus powoływał Apostołów do wyruszenia za Nim w drogę, musiały głęboko tkwić w męczennikach z Barbastro, gdyż byli gotowi na każdą ofiarę, aby tylko nie rozdzielono ich z ich Mistrzem. Ponadto nie można oprzeć się wrażeniu, że nawet rewolucjoniści, którzy ich uwięzili i w końcu rozstrzelali, przynajmniej podświadomie wyczuwali znaczenie tych słów Jezusa. Starali się bowiem wszelkimi sposobami zmusić ich do wyparcia się Jezusa. I kiedy nie przynosiło to rezultatów, uznali, że jedynym sposobem, aby zniszczyć ich związek z Chrystusem, jest ich zamordowanie. Mieli zostać poddani całkowitemu unicestwieniu, tak aby nie pozostał po nich najmniejszy ślad, z którego mogło rozwinąć się nowe życie. „Wyplenić ich do korzeni” - mówiono wtedy bez ogródek. Wielu z nich nie weszło jeszcze według ludzkiej miary w dojrzały wiek. Aż trzydziestu siedmiu studiowało jeszcze, a dwudziestu czterech było między 21 a 26 rokiem życia. Niczym nierozkwitłe pąki, zostali brutalnie ścięci z drzewa życia.

Zdało się oczom głupich, że pomarli, zejście ich poczytano za nieszczęście i odejście od nas za unicestwienie, a oni trwają w pokoju. Choć nawet w ludzkim rozumieniu doznali kaźni, nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności. Po nieznacznym skarceniu dostąpią dóbr wielkich, Bóg ich bowiem doświadczył i znalazł ich godnymi siebie (Mdr 3,2-5). Również te słowa z czasów prześladowania Żydów przez Greków można odnieść bezpośrednio do naszych męczenników. Poszli na śmierć

w kwiecie wieku. Rozkwitli za to w pełni przed obliczem Boga - roztaczają przed Nim przepych swoich barw i aromat swoich kwiatów. Teraz zaś i my możemy się nimi cieszyć. I my możemy zakosztować owoców, które z taką obfitością wyrosły z ich związku z Jezusem Chrystusem.

2. NIEZNANA HISTORIA

Niemieckie podręczniki do historii dla szkół średnich w sposób zdawkowy informują o wydarzeniach z okresu hiszpańskiej wojny domowej. Najdłuższa informacja na temat tego konfliktu oraz jego przyczyn i konsekwencji, jaką znalazłem, liczyła zaledwie 45 zdań. Fakty zawarte w podręczniku były prawdziwe. To prawda, że: „silne napięcia społeczne podzieliły zarówno zamożne warstwy wyższe, jak i szerokie masy klas niższych: większą ludność, która żyła w nędzy zwłaszcza na spalonym słońcem południu, oraz stosunkowo niewielką liczbę robotników przemysłowych w Katalonii, Asturii i kraju Basków. Tam właśnie znalazły oddźwięk idee komunistyczne i anarchistyczne, te ostatnie zwłaszcza na wsi”¹.

Istotnie, położenie powstałej w 1931 roku Republiki Hiszpanii stawało się coraz gorsze. Codziennie miały miejsce podpalenia kościołów, uliczne zamieszki i morderstwa polityczne. Trzeba przyznać, że autorzy tej krótkiej notatki z podręcznika starają się obiektywnie oddać prawdę: „Obydwie strony toczyły zaciętą wojnę, która pochłonęła blisko milion ofiar - z czego zaledwie część to polegli bezpośrednio w militarnych starciach. »Republikanie« byli wspierani przez Związek Radziecki i »Brygady Międzynarodowe«, w których służyło wielu zachodnich pisarzy i lewicowych intelektualistów. »Nacjonałści« pod wodzą Franco uzyskali pomoc z faszystowskiej Italii i hitlerowskich Niemiec. Zakrojona na szeroką skalę pomoc wojskowa z zagranicy przyczyniła się do zwycięstwa na wiosnę 1939 oddziałów nacjonalistów. Franco rozpoczął dyktatorskie rządy, które miały wiele cech faszystowskiego reżimu”.

Trudno oczekiwać, aby sucha notatka z podręcznika, który sumuje wydarzenia ostatniego stulecia, mogła dać jakikolwiek obraz niewypowiedzianych cierpień i ludzkich (a raczej nieludzkich) tragedii tej wojny, nie mówiąc już o próbie ich uczczenia. Za cyframi określającymi liczbę ofiar stoją ludzie. Ludzie, którzy zostali brutalnie wyrwani z codziennego życia; ludzie, których plany i marzenia legły w gruzach. Ofiary to również owdowiałe kobiety, osierocone dzieci, starcy opuszczeni przez młodych, na których opiekę liczyli, a także społeczności zakonne, takie jak klaretyni, które w okropnościach wojny domowej straciły całe pokolenie przyszłych księży i braci, którym śmierć uniemożliwiła podjęcie czekających na nich zadań misyjnych. Nawet jeśli liczba ofiar śmiertelnych okazałaby się mniejsza (tak twierdzi historyk angielski Hugh Thomas, autor miarodajnych opracowań na temat hiszpańskiej wojny domowej; według jego obliczeń łączna liczba zabitych po obydwu stronach wynosi 600 000 ludzi)², to i tak przecież dane te nie obejmują wszystkich pokrzywdzonych w ty czasie. Ofiarami byli przecież wszyscy

¹ Cytaty z *Geschichte 4. Vom Zeitalter des Imperialismus bis zur Gegenwart*, Bayerischer Schulbuch-Verlag, Monachium 1988, str. 75-76.

² Hugh Thomas, *Der spanische Bürgerkrieg*, Frankfurt a. M. 1964, str. 514-515.

ci, którzy jeszcze prze lata, a nawet dziesiątki lat cierpieli z powodu skutków okrutnych działań, jakie miały miejsce w ciągu trzech lat wojny.

Naprzeciwko ofiar stanęli zbrodniarze, sprawcy niezmiernych cierpień i niewyobrażalnych okropności. O nich również nie wolno zapomnieć. Nie można napisać historii męczeństwa, nie wspominając o mordercach. Przy tym nie chodzi tu o zemstę, która niestety zbyt często przyświecała zwycięzcom wojny domowej, bezwzględnie karzącym swoich pokonanych przeciwników. W ich postawie nie-trudno dostrzec przejawy faryzeuszostwa i nieuzasadnionej mściwości.

Nie służyło to na pewno oczyszczeniu kraju ze zła i nieprawości i nie zmniejszało nienawiści między obiema stronami konfliktu. Wydaje się również, że należytego wycucia zabrakło kościelnym władzom w Rzymie, o czym świadczy niezrozumiałe spowolnienie ciągnących się przez lata procesów beatyfikacyjnych męczenników hiszpańskiej wojny domowej. Musiało to być bolesne zwłaszcza dla wszystkich osób przekonanych, że męczennicy oddali swoje życie jako świadkowie Chrystusa. Z drugiej strony jednak, gdyby beatyfikacji dokonano dwadzieścia lub trzydzieści lat temu, groziłoby to rozdrapaniem świeżo zabliźnionych ran i sprowokowaniem nowych konfliktów. Być może nawet zamknęłoby to na zawsze trudną drogę do pojednania, które mogło nadejść dopiero po latach. Wszelkie działania wbrew pojednaniu i przebaczeniu byłyby niczym innym jak sprzeniewierzeniem się wielokrotnie poświadczanej przez męczenników z Barbastro gotowości do wybaczenia.

Mimo to zabójcy nie mogą pozostać w cieniu. Niewielu z nich działało z czystej żądzy mordy, chociaż nieraz w ich zachowaniu nie brakowało furii. Gorąca nienawiść do Kościoła, wrogość wobec każdego, kto nosił sutannę lub habit zakony, wyparcie się wszelkich religijnych związków - to wszystko miało swoje korzenie w osobistych doświadczeniach i w najbliższym środowisku sprawców. Powinniśmy się starać wskazać prawdziwe motywy zabójców, unikając przy tym nieuzasadnionego usprawiedliwienia. Kim w ogóle byli mordercy? Czy byli to wyłącznie ludzie należący do plutonu egzekucyjnego? Czy były to komitety rewolucyjne, które swoich więźniów skazały na rozstrzelanie, nie próbując nawet zachować pozorów procesu sądowego i należytego wyroku? Czy do grupy sprawców nie należą również hiszpańscy politycy wszelkich partii, którzy zamienili swój kraj po upadku jednej dyktatury w skazaną z góry na niepowodzenie republikę? Czy nie znajdziemy w tej grupie także sił porządkowych posłusznych generałowi Franco i jego wspólnikom, którzy terror uważali za najlepszy sposób walki z inaczej myślącymi? Na kim powinniśmy zacząć to wyliczanie, a na kim zakończyć? Na tych, którzy stworzyli w Hiszpanii niesprawiedliwy system społeczny i blokowali wszelkie próby reform? Na Karolu Marksie, którego idee dały ogromną siłę ruchom komunistycznym, czy też może na Bakuninie, ojcu anarchizmu, który znalazł w Hiszpanii najwięcej zwolenników na świecie? Są to rozważania, z których nie możemy zrezygnować, ale których nie jesteśmy w stanie doprowadzić do końca, by nie popaść w pułapkę uprzedzeń i chęci natychmiastowej poprawy świata, co jeszcze nigdy dobrze się nie skończyło. A jednak myśli te muszą nam stale

towarzyszyć. Musimy nosić je w sercu, aby nigdy nie narodziły się w nim zbrodnicze pomysły, które nas samych mogłyby uczynić sprawcami niegodziwości i nieszczęść.

Książka ta jest poświęcona pięćdziesięciu jeden ofiarom hiszpańskiej wojny domowej. To, że akurat oni zostali przywołani z ogromnej liczby ofiar, nie znaczy, że pozostali nie są wari tego, aby o nich pamiętać. Nie są zapewne jedynymi, którzy zginęli w czasie tej wojny jako świadkowie wiary. Jest jednakże coś, co ich wyróżnia: nieporównywalna z niczym determinacja, która promieniuje z ich świadectwa wiary. Oni świadomie umarli za Chrystusa. Uniknęliby śmierci, gdyby wyparli się przynależności do zakonu, swojego powołania kapłańskiego i swej wiary. Nakłaniano ich do tego na różne sposoby, ale nie ulegli. Woleli pozostać wierni Bogu i swemu powołaniu - i umrze.

Posiadamy kompletne relacje o ich drodze ku męczeństwu. Dwaj seminarzyści z argentyńskim obywatelstwem, internowani z pozostałymi, zostali zwolnieni po rozstrzelaniu ostatniej grupy skazańców. Mogli więc opisać historię męczenników na podstawie własnych przeżyć. Jeden z nich, Pablo Hall Fritz sporządził jeszcze w tym samym miesiącu wyczerpującą relację, którą opublikowano w piśmie kłaretynów *Annales Congregationis*³. Drugi, Atilio C. Parussini Soff zmarł nagle w swojej argentyńskiej ojczyźnie 11 marca 1938 roku. Pozostawił liczne notatki zawierające wspomnienia z czasu spędzonego razem z innymi więźniami. Również brat Ramón Vall Barella, który był kucharzem uwięzionych męczenników, mógł wiele opowiedzieć. Po wojnie P. Jesús Quibus Pomar zebrał w Barbastro relacje świadków, opracował je i wydał razem z kroniką ojców pijarów w książce *Misioneros Mártires*⁴. Ze względu na ówczesną sytuację relacje sprawców mógł zebrać tylko z drugiej ręki. Nie obniża to jednak wartości tych relacji, ponieważ wypowiedzi, które można było opublikować, zostały już wcześniej publicznie ujawnione i potwierdzone przez wiele osób. Należy wszakże wziąć pod uwagę i to, że niektórzy świadkowie bali się mówić o ludziach, którzy żyli w tej samej społeczności. Te ograniczenia nie ominęły również zeznań składanych podczas procesu beatyfikacyjnego. Nawet w roku 1990 niektórzy świadkowie składali swoje zeznania pod warunkiem, że nie będą opublikowane pod ich nazwiskiem. Dopiero w roku 1986 ojciec Gabriel Campo Villegas mógł przeprowadzić rozmowę z mieszkającym pod Paryżem Eugeniem Sopeną, jednym z przywódców komitetu rewolucyjnego z Barbastro. Zapis tej rozmowy razem z materiałami z różnych archiwów i z opublikowanymi wcześniej relacjami wydał w swojej książce *Esta es nuestra sangre*⁵. Wszystkie opisane tam wydarzenia - niektóre nawet w najdrobniej-

³ *Annales Congregationis Missionariorum Filiorum Immaculati Cordis Beatæ Mariæ Virginis*, Tom 38 (Rocznik 1937), str. 56-77.

⁴ Jesús Quibus, *Misioneros Mártires*, Barcelona² 1949.

⁵ Gabriel Campo Villegas, *Esta es nuestra sangre*, Madryt 1990. Drugie wydanie z 1992 roku zawiera liczne dodatkowe informacje i wypowiedzi kolejnych świadków. Pierwsze wydanie jest jednak cenne ze względu na krótkie biografie męczenników dołączone do relacji o ich męczeństwie.

szych szczegółach - są dobrze poświadczone. W 1956 roku ukazała się wydana po niemiecku broszura ojca Petem Warmonsa pod tytułem *Bohaterowie z Barbastro (Die Helden von Barbastro)*. Książka jest właściwie streszczeniem pracy Jesúsa Quibusa. Korzystając z tego samego źródła, ojciec Joséf Allinger wydał przed beatyfikacją męczenników zeszyt pod tytułem *Historia Pięćdziesięciu Jeden (Die Geschichte der Einundfunfzig)*, Missionsprokura der Claretiner, Wurzburg). Kolejna pozycja to broszura ojca Joséfa Garcii Cascalesa, *Klaretyni, męczennicy z Barbastro (Claretiner. Märtyrer von Barbastro)*, Hermagoras-Verlag, Wiedeń/Hlagenfurt 1992). Pochodzący z Hiszpanii autor, także klaretyn, osobiście poznał w dzieciństwie jednego z poległych później męczeńską śmiercią ojców.

Jeszcze praktyczna uwaga: każdy Hiszpan posiada dwa nazwiska, jedno po ojcu, drugie po matce (kobiety po ślubie zachowują swoje panieńskie nazwiska). Najczęściej używa się pierwszego - tego po ojcu (w dokumentach zawsze występują dwa nazwiska). Natomiast rzadko się zdarza, aby ktoś używał tylko nazwiska matki.

3. NERWOWE OCZEKIWANIE

Ojciec Felipe de Jesús Munárriz był wyjątkowo zasmucony. Stało się to, czego od lat się obawiał i czego obawiała się Hiszpania. Ale chociaż wszyscy się z tym liczyli, nastąpiło to w dosyć nieoczekiwany sposób.

Dnia 17 czerwca 1936 roku w hiszpańskim Maroku grupa oficerów wymówiła posłuszeństwo Republice Hiszpanii. Również na hiszpańskim półwyspie nie brakowało zamieszanych w spisek oficerów, głównie wyższych rangą.

Hasło spiskowców brzmiało „Siedemnastego o siedemnastej”. W ten sposób nabrał jawnego charakteru konflikt, który narastał podskórnym w Hiszpanii już od czasów Napoleona i właśnie w czasach Republiki Hiszpańskiej 1931-1936 dochodził do głosu z coraz większą siłą.

Hiszpania tych lat przypominała wulkan, który ma za chwilę wybuchnąć. Coraz częściej było słyhać podziemne dudnienie, które zapowiadało nadchodzącą tragedię. Zwiastowały ją bezkompromisowe żądania polityków, zarówno prawicowych, jak i lewicowych, domagających się reform, które rzadko osiągały swój szczytny cel, częściej natomiast niszczyły dotychczasowy ład, nic na jego miejsce równie solidnego nie wprowadzając. W kręgach politykierskich i w środowisku wysokich rangą wojskowych coraz częściej ton nadawali ekstremiści.

Już w 1931 roku zjazd zwolenników monarchii wywołał gniewne reakcje tłumu. Wzburzona tłuszcza spaliła siedzibę monarchistycznej gazety *ABC*. Dzień później stanął w płomieniach kościół Jezuitów. Fala zamieszek i pożarów dotarła aż do Andaluzji. Anarchiści, komuniści i faszystowskie falangi - wszyscy równocześnie uznali, że nadchodzi ich godzina. W 1934 roku w Asturii strajk generalny zamienił się w powstanie kierowane przez górników związanych z socjalistami. Powołano wówczas do życia „Socjalistyczną Republikę” i „Armię Czerwoną”. Rząd hiszpański powierzył zadanie stłumienia powstania generałowi Francisco Franco, którego krytyczne nastawienie do republiki graniczyło z wrogością. Ministerstwo Obrony uznało, że dowodzone przez Franco marokańskie oddziały posiadają większą siłę bojową niż hiszpańscy poborowi. I rzeczywiście powstanie padło po dwóch tygodniach. Okrucieństwo zwycięzców wobec pokonanych zwiększyło jeszcze wrogość pomiędzy Hiszpanią lewicową a prawicową.

Wybory z 16 lutego 1936 roku potwierdziły rozdarcie kraju - zdecydowany podział na dwa zwaśnione obozy. Obok zjednoczonych we Froncie Ludowym partii lewicowych i ugrupowań prawicowych z Frontu Narodowego zasiadła w parlamencie niewielka garstka deputowanych dających się określić jako polityczne centrum. W takiej sytuacji Hiszpania nie miała szans na pokój. Zwłaszcza po tym, jak zamordowano przywódcę opozycji José Calvo Sotelo. Wyciągnięty z łóżka o 3 nad ranem przez lewicowych gwardzistów, którzy mieli go rzekomo doprowadzić na posterunek policji, został zabity w drodze dwoma strzałami w tył głowy. Była to zemsta za śmierć gwardzisty, który kilka dni wcześniej zginął z rąk faszystowskiej

falangi. Teraz była to już tylko kwestia czasu, kiedy wybuchnie wojna między „lewą” a „prawą” Hiszpanią.

Ojciec Felipe de Jesús dowiedział się o tym wszystkim z radia, do którego miał dostęp jako przełożony wspólnoty klaretynów z Barbastro. Nie ludził się, że bunt oficerów w dalekim Maroku to kolejny przykład *Pronunciamientos*, zazwyczaj krótkotrwałych rewolt oficerskich, które już od ponad stu lat stały się normalnym składnikiem życia politycznego Hiszpanii. Wiedział, że to powstanie doprowadzi po obydwu stronach frontu do przerażającej radykalizacji. Każdy, kto wpadnie w ręce swoich wrogów, zostanie starty na proch niczym w kamieniach młyńskich. Gdyby małe miasteczko Barbastro, położone między Léridą a Huesca u podnóża Pirenejów, nie opowiedziało się po stronie powstańców, ale za republiką, wtedy nad grupą sześćdziesięciu klaretynów, za których odpowiadał, zawisłaby groźba śmierci. Te obawy były w pełni uzasadnione. Konstytucja hiszpańskiej republiki była pod wieloma względami antykościelna. Jeden z jej zapisów przewidywał na przykład wstrzymanie wypłat pensji dla proboszczów (państwo podjęło tego rodzaju zobowiązanie finansowe po przejściu w 1837 roku wielkich posiadłości kościelnych). Zgromadzenia zakonne miały być szczególnie skrupulatnie kontrolowane.

Zabroniono zakonnikom składania innych ślubów poza trzema podstawowymi - ubóstwa, czystości i posłuszeństwa - co stanowiło zakamuflowany zakaz działalności jezuitów. Również sformułowania konstytucji na temat edukacji były wymierzone przeciwko Kościołowi i dążyły do likwidacji szkół katolickich. Wszystkie uroczystości religijne - w tym tak popularne w Hiszpanii procesje - mogły się odbywać tylko za zgodą władz. Wreszcie konstytucja dopuszczała możliwość rozwodu, i to nawet z błahych powodów. Przez wiele lat Kościół działał w atmosferze wrogości i niechęci.

Ojciec Felipe de Jesús doskonale zdawał sobie sprawę, że przy obecnej polaryzacji konfliktu Kościół stanął w obliczu o wiele większych zagrożeń. Myślał wtedy o zgromadzeniach klaretynów w País Valenciano, niedaleko Walencji na wschodnim wybrzeżu Hiszpanii. W Requenie pięciu tamtejszych klaretynów musiało opuścić swoje miejsce pracy, ponieważ ostrzeżono ich, że z powodu politycznych demonstracji ulicznych grozi im niebezpieczeństwo. Po kilku dniach wrócili, na nowo podejmując swoje obowiązki, ale cztery tygodnie później poinformowano ich, że nakazuje się im, jak i innym zgromadzeniom zakonnym, „w imieniu ludu i na rozkaz władz miejskich” opuścić należące do nich zabudowania w ciągu 24 godzin. Wyjechali jeszcze przed upływem terminu, ponieważ widzieli, jak podpalono dom augustianów i splądrowano siedzibę dominikanów. Rozszalała tłuszcza zbliżała się już do domu klaretynów i chciała się włamać do drzwi wejściowych za pomocą metalowych łomów. Klaretyni uciekli przez sąsiedni dom. Zrozpaczeni patrzyli, jak w ich domu wszystko, co nie było solidnie przymocowane, jest demolowane i rozrzućane. Widzieli, jak ich kościół trawił pożar. Taki sam los spotkał w tym dniu zgromadzenie z Játivy (24 marca 1936 r.), a kilka dni później klaretynów z El Grao. 17 lipca, w dniu kiedy wybuchła wojna domowa, przy-

jechał z Játivy do Barbastro ojciec José Pavón, który niestety nie przywiózł swoim nowym przełożonym dobrych wiadomości, chociaż z natury był człowiekiem try-skającym humorem.

Zwiastuny rewolucji dotarły również do klaretynów z Cervera, gdzie w dawnej siedzibie Uniwersytetu Katalońskiego mieściły się seminarium duchowne i Wyższa Szkoła Teologiczna. W klubie kolejarskim w Cervera od lat urządzano wiece, podczas których grozono klaretynom i zachęcano do szturmowania siedzib zakonników. Władze miejskie, kontrolowane przez partie prawicowe, długo potrafiły chronić przed najgorszym, jednak i one przyczyniły się do wzrostu napięcia, kiedy w latach 1931-1933 uparcie domagały się przekazania im jednego skrzydła budynku dawnego uniwersytetu, aby założyć tam państwową wyższą szkołę. Na początku 1936 roku Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Katalonii nakazało klaretynom opuścić uniwersytet w ciągu pięciu dni. Za poradą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych centralnego rządu w Madrycie klaretyni postanowili stawić bierny opór, i rzeczywiście rząd Katalonii nie uciekł się do przymusowej eksmisji. Tamtejszy przełożony rozważał możliwość przeniesienia studentów z Cervera i pozostałych studentów z prowincji do Andory, aby zapewnić im bezpieczeństwo. Nie doszło to jednak do skutku. Na początku letnich wakacji wysłano natomiast do Barbastro studentów, którzy mieli tu zakończyć studia.

Przyjechali tu pociągiem 1 lipca 1936 roku. Trzydziestu jeden studentów pomaszeroowało milcząco w równym trójszeregu z dworca do seminarium klaretynów przy Calle Monzón. Mówiło się wtedy, że Barbastro to najbezpieczniejsze miejsce w całej prowincji Katalonia, która obok właściwej Katalonii obejmowała również Aragonię (Barbastro leży w górnej Aragonii) oraz tereny wokół Walencji i Murcii na wschodnim wybrzeżu.

Mimo to również w Barbastro nie wszystko wyglądało tak dobrze. Student klaretyn José Maria Badia, który przybył do Barbastro 25 sierpnia 1935 roku, tak oto opisuje w liście do siostry miasto i swoje wrażenia:

26 sierpnia opuściliśmy Cervera i dojechaliśmy szczęśliwie do Barbastro, które leży w uroczej, siostrzanej Aragonii. Właśnie w Barbastro połączył się dom Aragonii z hrabstwem Barcelony przez małżeństwo Petroneli, córki Ramirosa Mnicha, z grafem Barcelony Ramonem Berenguerem IV.

Barbastro leży na Wyżynie Aragońskiej w niewielkiej dolinie, otoczonej przez niewysokie wzgórza. Mówiąc obrazowo, leży jakby na dnie garnka. Z tego powodu opada często na miasto gęsta mgła, której zbyt słabe wiatry nie są w stanie rozpuścić, zwłaszcza w zimie, kiedy powietrze ani drgnie (o świeżym podmuchu morskiej bryzy nie ma nawet co marzyć). Miasto liczy 8000 mieszkańców. Rzeka Vero, która podmywa fundamenty okolicznych domów, dzieli miasto na dwie części. Barbastro nie ma wielu możliwości rozwoju. Życie opiera się tu na handlu z okolicznymi wsiami. Oznacza to, że mieszkańcy mogą na siebie zarobić, ale nie mają żadnych szans na poprawę swojej sytuacji. W ich ogrodach rosną piękne owoce, ponieważ nie brakuje tu wody; dostarczają ją w dużych ilościach kanały nawadniające połączone z rzeką Vero. Produkuje się tu oliwę z oliwek, uprawia się migdały, winorośl... i to wszystko, jeżeli chodzi o gospodarczą stronę życia miasta. Katedra z XIII wieku, istniejące od dwustu lat seminarium, siedem klasztorów żeńskich, w tym dwa

kontemplacyjne, klarysek i kapucynek, a pozostałe poświęcające się działalności społecznej i edukacyjnej, wreszcie, dwa zakony męskie, a mianowicie założony przez pochodzącego z Aragonii świętego José de Calasanz zakon pijarów i synowie błogosławionego ojca Klareta⁶ - to na razie tyle, jeśli chodzi o życie religijne, do którego powrócę jeszcze w dalszej części listu. Jeżeli opuścimy miasto i udamy się na małą wycieczkę 5 kilometrów na zachód, dojrzymy do interesującej budowli, która jest mocno związana z życiem religijnym Barbastro. Znajdujemy się na liczącym 620 metrów wzgórzu, na którego szczycie wznosi się samotnie położona siedziba benedyktynów, strzegąca bezcennego skarbu: obrazu Matki Boskiej z El Pueyo, który ukazał się tu w 1101 roku. Być może w starożytności Rzymianie ulokowali tutaj swoje fortyfikacje, a na pewno swoją twierdzę zbudowali tutaj mużłmanie. Spadkobiercy świętego Benedykta przybyli tu pod koniec 1889 roku, aby opiekować się cudownym obrazem⁷; w lecie przyjmują pielgrzymów, którzy poszukują samotności, by w spokoju oddać się kontemplacji. Przełożeni przeora klasztoru urzędują w Montserrat. Jakież rozległy i cudowny roztacza się tu przed nami widok! Wyobraźcie sobie, przy dobrej pogodzie można zobaczyć stąd ponad 60 miejscowości, w których można palcem wskazywać na poszczególne domy. W oddali widać katalońskie Pireneje (północ i północny wschód), góry Teruelu (wschód, południe) i wiele innych. Okolica otaczająca Barbastro jest w szczególności sposób podzieleną na dwie części. Po jednej stronie w kierunku Léridy ziemia jest ogolona (takie tereny ciągną się w całej prowincji Huesca, ponieważ doskwiera tu brak wody), natomiast po drugiej stronie pełno wszędzie drzew oliwnych i innych gatunków roślinności. Od roku 1926 są tutaj również koszary wojskowe, wybudowane właściwie już za miastem. Stacjonuje tu od 500 do 600 żołnierzy, w tym znaczna liczba Katalończyków⁸. Jak już wiecie, Aragończycy są z charakteru ludźmi otwartymi, bezpośrednimi, spontanicznymi, upartymi, hałaśliwymi, stanowczymi, o wyjątkowo przenikliwym głosie. Godna uwagi jest ich skłonność do muzyki. Nie przypadkiem jest to ojczyzna *joty*⁹. Wszyscy śpiewają, nawet najmniejsze dzieci. Prowadzą ożywione rozmowy i ponieważ ich głosy mają nieco wyższą niż przeciętnie tonację, towarzyszy tym rozmowom ostry odgłos. Do tego jeszcze występuje u nich pewna szczególna wada wymowy, najczęściej u prostych ludzi... Życie religijne toczy się tak jak w podobnych miastach. Dlatego nie będę się rozpisywał o tym, co i tak doskonale znacie. Rzuca się tutaj w oczy obojętność dla spraw wiary u mężczyzn, którzy prawie w ogóle nie praktykują, co nie jest niczym niezwykłym w Hiszpanii, chociaż wydaje mi się warte uwagi. Święto Niepokalanego Serca Maryi jest obchodzone w naszym kościele tradycyjnie nadzwyczaj uroczyście. Przyjmuje wtedy komunię blisko pięćset osób, w tym jednakże co najwyżej pięćdziesięciu mężczyzn. Po południu przybywa do kościoła z okazji adoracji relikwii około siedmiuset osób, przy czym liczba mężczyzn jest taka sama jak rano. A zatem możecie sobie wyrobić zdanie co do poziomu tutejszej moralności. (...)

Zanim zakończę moją relację, chcę jeszcze napisać trochę o naszym domu i kościele. Przede wszystkim musicie wiedzieć, że oprócz naszej grupy znajdują się również w seminarium inni studenci, którymi kierujemy i których nauczamy. Nasz dom powstał w 1869 roku, jeszcze za życia naszego błogosławionego ojca Stiftera. Przez ten dom przewinęło się wielu żarliwych kaznodziejów i mnóstwo misjonarzy, którzy położyli tutaj podwaliny

⁶ Klaret został beatyfikowany w 1934; natomiast jego kanonizacja miała miejsce dopiero 7 maja 1950 roku.

⁷ Dzisiaj kościołem pielgrzymkowym opiekują się klaretynami.

⁸ José Maria Badía był Katalończykiem; pochodził z Puigelat (prowincja Tarragona). Wyjaśnia to zatem sposób, w jaki opisuje charakter mieszkańców Aragonii.

⁹ Hiszpański taniec ludowy.

pod liczne powołania w naszych wspólnotach; od dawna było tu kolegium dla postulantów, a od zeszłego roku mieszkają tu studenci ostatniego roku nauki przed święceniami kapłańskimi. Kościół nie jest właściwie duży, ale też i nie za mały (jest tu tylko jeden rząd dwudziestu ławek, każda z miejscem na 6-7 osób. To pierwszy w Hiszpanii i w całej Europie kościół poświęcony Niepokalanemu Sercu Maryi. Stąd bierze swój początek wiele różnych stowarzyszeń. Sakramenty celebrowane są stosownie do potrzeb wiernych. Nabożeństwa, do których przygotowujemy oprawę muzyczną, odbywają się zazwyczaj w naszej własnej kaplicy.

W innym liście, który brat Agustín Viela napisał do swojej matki 8 lipca 1936 roku, tydzień po swoim przyjeździe do Barbastro, widać wyraźnie, że studenci dobrze wiedzieli o napiętej sytuacji w Hiszpanii, ale odnośnie własnego położenia ulegali fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa.

(...) i dlaczego tak nagle i w takim pośpiechu przyjechaliśmy do Barbastro? Ojciec Goñi przybył w czerwcu do Cervera i powiedział nam, że powinniśmy zjawić się 1 lipca w kolegium w Barbastro. Toteż po zdaniu naszych egzaminów od 28 czerwca przez dwa kolejne dni przygotowaliśmy się do wyjazdu, a 1 lipca odbyliśmy szczęśliwie podróż. A więc jesteśmy już tydzień w tutejszym kolegium. W poniedziałek rekruci rozpoczną swoje szkolenie pod opieką zawodowych oficerów. To szkolenie wojskowe właśnie w takim momencie ma sens dlatego, że skrócimy naszą służbę wojskową o 4 miesiące. Przyczyniła się chyba do tego również sytuacja w Cervera, ponieważ wraz ze zmianami w ratuszu podjęto energiczne i zdecydowane kroki w związku z naszym przeniesieniem. Znajdujemy się teraz w samym centrum tego zamieszania. Kiedy to się już skończy, będę mógł wam powiedzieć o tym coś więcej. Z jakiegoś powodu władze uznały za konieczne zmniejszenie liczby seminarzystów w Cervera. Co do spalenia dwóch domów zakonnych, przebieg tych wydarzeń jest nie do końca jasny. W tej prowincji, którą nazywamy Katalonią, spalono nam tylko meble i kościół w Requenie (pod Walencją) i wypędzono nas z naszego kolegium w Játivie (też pod Walencją), gdzie przełożonym był ojciec Goñi, zanim został prowincjałem. W Kastylii i w Andaluzji wyrządzono nam jeszcze więcej krzywd. Tutaj, w Barbastro, stacjonuje wojsko, a dowódcy są dobrymi ludźmi i dlatego, wydaje mi się, nikt nie będzie śmiał nas prześladować...

Ostatnie zdania listu świadczą o katastrofalnej w skutkach mylnej ocenie sytuacji. A jednak 18 lipca ojciec Felipe de Jesús Munárriz był tak samo przekonany o ich słuszności, jak Agustín Viela dziesięć dni wcześniej.

Komunikaty radiowe były sprzeczne. Rozgłośnia madrycka donosiła najpierw, że nikt na półwyspie nie dołączył do powstańców. Później twierdzono, że wszędzie w Andaluzji oddziały powstańców poniosły klęskę. W tej samej audycji przywódczyni komunistów, *Pasionaria*, wygłosiła płomienną mowę i zażądała uzbrojenia robotników. Natomiast rozgłośnia w Sewilli nadała pierwszy raz pełne nienawiści i przekleństw tyrady nacjonalistycznego generała Queipo de Llano. Z Barcelony dobiegły zaś wieści, że prezydent rządu Katalonii odmówił dozbrajania robotników. Ale jak długo uda mu się stawiać opór licznie tam zgromadzonym siłom anarchistów?

Przełożony musiał to wszystko rozważyć. Odpowiadał za zgromadzenie li-

czące sześćdziesiąt osób. Dziewięciu ojców, dwunastu braci zakonnych i trzydziestu dziewięciu seminarzystów. Ciężyla na nim zwłaszcza odpowiedzialność za studentów. Stanowili przyszłość prowincji, której nie mógł wystawić na ryzyko... Odpowiednio wcześniej wystarał się o ubrania cywilne, które na wszelki wypadek wisiały teraz u wszystkich w szafie obok sutanny. Czy powinien ulokować studentów w małych grupach u zaprzyjaźnionych rodzin? Gdyby doszło do najgorszego i zaczęłyby się poszukiwania ukrywających się studentów, naraziłby na niebezpieczeństwo wielu ludzi. Czy powinien odesłać ich do rodzinnych domów, dopóki nie uspokoi się sytuacja? Ale kto wie, czy funkcjonują jeszcze wszystkie połączenia kolejowe? A czy wolno mu na nie wiadomo jak długo pozbawić seminarzystów opieki i pomocy zgromadzenia? Czy w takich okolicznościach nie ucierpi ich życie religijne, czy uda im się podtrzymać własne powołanie? Pytaniom nie było końca.

„Może w tej chwili nie krzesło przy odbiorniku radiowym, ale klęcznik przed tabernakulum jest dla mnie odpowiednim miejscem” - myślał ojciec. Potrzebował siły Boga. Każda decyzja - także decyzja, aby czekać i nie podejmować żadnych kroków - niosła ze sobą duże ryzyko. Zanim zdecyduje cokolwiek, musi najpierw wiedzieć, co się naprawdę dzieje, i to nie gdzieś tam w Hiszpanii, ale tutaj, w Barbastro. Dlatego nie poszedł od razu do kaplicy, lecz najpierw do kuchni. Pracował tam brat Ramón Vall. Był to mężczyzna dobrze zbudowany, o silnych dłoniach; w cywilnym ubraniu wyglądał raczej na robotnika żniwnego niż na jednego z misjonarzy. Przełożony polecił mu udać się wieczorem do miasta i zorientować się, co się dzieje w knajpach i na ulicach. Miał się dowiedzieć, czy w Barbastro również coś się szykuje, a jeśli tak, to czego należy się spodziewać. Potem ojciec przełożony udał się do kościoła, a nie do seminarjnej kaplicy. Modlitwa przed tabernakulum wniosła nieco spokoju w jego rozpalone myśli. Coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że zostaje poddany próbie. Wstał i podszedł do bocznej ściany. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to modląc się przejść w skupieniu wszystkie stacje drogi krzyżowej. „Panie, pozwól mi wypić ten kielich goryczy, nie dlatego, że chcę, ale dlatego, że taka wola Twoja.”

Kiedy brat Ramón wrócił ze swojego wieczornego obchodu, przełożony czekał na niego już przy bramie. Brat nie mógł niestety powiedzieć nic uspokajającego. Ojciec Felipe de Jesús postanowił przed podjęciem ostatecznej decyzji rozmówić się z pułkownikiem Villalbą, który dowodził koszarami za miastem. Już nie raz zasięgał u niego informacji. Za każdym razem pułkownik powtarzał: „Tak długo jak ja tu dowodzę, nic nie grozi ojcu ani jego podopiecznym”.

Następnego dnia ojciec Felipe de Jesús Munárriz odbył rozmowę z pułkownikiem Villalbą. „Rozwój wydarzeń głęboko mnie niepokoi” - zwierzał się ze swoich trosk. „W ciągu ostatnich 24 godzin sytuacja znacznie się pogorszyła. Anarchiści i komuniści wyszli na ulicę i okrzykami »Niech żyje Rosja « i » Śmierć mnichom!« buntują tłum i podgrzewają nastroje. Obawiam się, że zostaniemy zbrojnie napadnięci. I jeśli dojdzie do tego... boli mnie serce, kiedy myślę o tym, co może się wtedy stać... boję się nie tyle o siebie, co o moich ukochanych studentów; to tacy dobrzy ludzie, tak wspaniali, tak mądrzy i tak młodzi... Myślałem, aby

ich przenieść do Huesca albo ulokować po górskich wioskach, a ponieważ okazał nam pan tyle serdeczności, chcę pana również prosić w tej tak trudnej sytuacji, aby wsparł mnie pan swoim autorytetem. W przeciwnym razie nie mam szans na realizację mojego planu, ponieważ tłum jest bardzo wzburzony i nie zostawi nas w spokoju.” Villalba odpowiedział: „Wie ojciec, że byłem zawsze po jego stronie i również w przyszłości będę służył pomocą... W żadnym razie nie ma powodu do paniki! Mam wystarczającą przewagę w uzbrojeniu i dopóki mam coś do powiedzenia, nikt tu w Barbastro bez mojego pozwolenia nie ruszy ręką ani nogą. Może ojciec być spokojny: ochronię wasze zgromadzenie”.

4. PIERWSZE POGRÓŻKI

Zachowania wrogie wobec Kościoła ujawniły się w Barbastro już przed wybuchem wojny domowej. W lutym 1936 roku brutalnie wypędzono zakonników z seminarium diecezjalnego na drogę do Huesca. Socjalistyczny burmistrz Pascual Sanz liczył, że wyjazd seminarzystów przerwie raz na zawsze niekończący się spór prawny między lewicowym zarządem miasta a seminarium. Zabroniono używania dzwonów kościelnych, a ten zakaz egzekwowano przy użyciu przemocy. Nie wolno już było organizować procesji, wprowadzono świeckie pogrzeby, nie licząc się przy tym z obowiązującymi przepisami czy też ostatnią wolą zmarłego.

Już 17 lipca sytuacja uległa zaostrzeniu, na początku jeszcze wprawdzie w ukryciu. Dokładnie o północy około dwustu mężczyzn z miasta w wielkiej tajemnicy zebrało się w ratuszu, aby utworzyć pierwszy komitet rewolucyjny.

Nazajutrz, 18 lipca, na zewnątrz wszystko wyglądało spokojnie. Wieczorem kierownicy tradycyjnie obchodzili swoje święto ku czci świętego Krzysztofa, maszerując przez miasto z pochodniami w rękę. Zanim skończył się ten pochód, miały miejsce również inne niezwykle zgromadzenia. Przez miasto maszerowały różne grupy, które najwidoczniej spieszyły się gdzieś w określonym celu, swoim zachowaniem jednak nie zdradzając się z tym, co się naprawdę dzieje.

O 10 wieczorem doszło do pierwszych aresztowań. Zatrzymano 24-letniego katolickiego adwokata, który należał do Bractwa Nocnej Adoracji. Każdy wiedział, że był to zagorzały przeciwnik „czerwonych”. Zatrzymano również kuzyna dozorca więziennego. Kiedy ten zażądał zgodnego z prawem nakazu aresztowania, członek komitetu rewolucyjnego wystawił mu na miejscu wymagany papier...

Przywódcy rewolucjonistów, którzy siłą chcieli przejąć władzę w mieście, około północy udali się do ratusza. Po krótkim czasie opuścili ratusz, nic nie wskórawszy. Mimo to nie rezygnowali. W różnych punktach zbiórek gromadzili swoich zwolenników i zaledwie po godzinie na placu przed ratuszem zaczął gęstnieć tłum, gotowy egzekwować rozkazy swoich przywódców. Oficjalnie utworzono pierwszy komitet rewolucyjny, aby w ten sposób nadać akcjom rewolucyjnym pozornie legalny charakter. Nad ranem Barbastro było już „czerwone”. Flagi anarchistów powiewały na urzędowych budynkach, ulicach i fasadach domów. „Nawet psy - zanotował później z ironią argentyński student Atilio Parussini - nakładają co rano komunistyczną obroź”. Szybko stało się jasne, że nocne zdarzenia nie były jedynie demonstracją rewolucyjnych nastrojów. W sobotę dokonano napadów na sklepy z bronią w Barbastro. Grupa młodych anarchistów dowodzona przez niejakego Eugenia Sopenę skradła ze sklepu strzelby myśliwskie wraz z niezbędnym ekwipunkiem (proch, kule, naboje, śrut) oraz pistolety. Nie było tego wiele, ale na początek wystarczyło. Wspomniany Eugenio Sopena tłumaczył 50 lat później: „Naszą akcję przeprowadziliśmy w sposób w najwyższym stopniu odpowiedzialny. Komitet wydał bony jako gwarancję zapłaty za materiały, które

zarekwirowaliśmy w sklepie z bronią”. Bony te były typowym środkiem płatniczym rewolucjonistów przez całą wojnę domową. Nikogo chyba nie zdziwi fakt, że bony te nigdy nie zostały zrealizowane.

Anarchiści reprezentowali w Barbastro najagresywniejszy, najradykałniejszy i najbardziej rewolucyjny odłam lewicy. Za założyciela ruchu anarchistycznego uważa się Rosjanina Michaiła Bakunina. W 1868 roku przybył do Hiszpanii jego pierwszy wysłannik. Pięć lat później jego idee wyznawało już około pięćdziesięciu tysięcy zwolenników na południe od Pirenejów. Kiedy Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników (tzw. I Międzynarodówka) rozpadło się wskutek sporów między Marksem a Bakuninem, hiszpańska sekcja Międzynarodówki opowiedziała się niemal jednogłośnie za ideami Bakunina.

Trzon ideologii anarchistycznej stanowi radykalne odrzucenie jakiegokolwiek formy władzy państwowej. Dla anarchistów państwo oparte na posłuszeństwie i autorytecie było czymś niemoralnym. Powinno zostać zastąpione przez instytucje samorządowe takie jak rady komunalne, związki zawodowe i tym podobne. Takie stowarzyszenia mogą w razie konieczności zawierać między sobą dobrowolne umowy. W tak funkcjonującym systemie nacisk opinii publicznej miałby uniemożliwić wszelką zbrodniczą działalność.

Większość hiszpańskich anarchistów należała do CNT (*Confederación Nacional del Trabajo* - Narodowy Związek Pracy), założonej w 1911 roku konfederacji anarchistycznych związków zawodowych. Strajki organizowane przez CNT cechowały się niezwykłą zaciętością i gwałtownością, a robotnicy nie dostawali wtedy zapomogi pieniężnej, ponieważ związek nie miał albo nie chciał mieć żadnych funduszy przeznaczonych na wydatki strajkowe. Mimo to zwolennicy anarchistów szli za wezwaniami do strajku, ponieważ wierzyli, że społeczeństwo anarchistyczne można zbudować tylko za pomocą brutalnych akcji, a nie drogą żmudnych negocjacji. Podczas gdy anarchiści w dużych miastach walczyli o taki rodzaj państwa, którego funkcjonowanie opiera się na związkach zawodowych, ich koledzy na wsi widzieli swoje zadanie w tworzeniu samodzielnych, od nikogo niezależnych i samowystarczalnych miasteczek, których mieszkańcy zgodnie ze sobą współpracują. Wyższe klasy społeczne, a z nimi Kościół, jako przedstawiciele siły i władzy nie miały czego szukać w tego rodzaju ludowych wspólnotach. Dlatego podpalenia kościołów były dla anarchistów tak samo dobrym sposobem walki jak strajki.

Rdzeń CNT tworzyła FAI (*Federación Anarquista Iberica* - Iberyjski Związek Anarchistyczny), tajna organizacja, której liczba członków zawsze była tajemnicą. FAI czuwała, aby CNT pozostała wierna czystym dogmatom anarchizmu, organizowała strajki i była odpowiedzialna za większość podpalen kościołów w latach drugiej Republiki Hiszpańskiej. Ilość członków CNT w Barbastro ocenia się na 440, z czego właściwie tylko połowa była miejscowego pochodzenia, ponieważ wraz z początkiem rewolucji wielu anarchistów przybyło do miasta z gór. Wstępowali zatem do CNT wieśniacy, robotnicy fabryki *La Olearia*, żołnierze z koszar Barbastro (gdzie od 1934 istniały komórki anarchistyczne), robotnicy wędrowni, którzy pracowali sezonowo w Barcelonie lub we Francji, kamieniarze, robotnicy

rolni, murarze, tragarze itd. - a zatem ci wszyscy, którzy wiązali swoje nadzieje na przyszłość z rewolucją anarchistyczną. Spora część anarchistów pochodziła ze starej części Barbastro. Była wśród nich Angeles Arilla (*La Peiruza*), kobieta, która chodziła w spodniach i podczas strajków jeździła po ulicach na białym koniu, dzierżąc w dłoni czerwono-czarną flagę anarchistów. Był Aracio Mur, nie umiejący czytać ani pisać rolnik, który uczestniczył później w rozstrzeliwaniach. Miał wtedy w zwyczaju pokazywać swoje umazane krwią konopne buty i chwalić się: „Spójrzcie, to jest krew takiego a takiego”. Ze wsi pochodzili również Alejandro Pueyo i Olivan. José Peropadre był murarzem. Melchor Escudero należał do komitetu rewolucyjnego podobnie jak Carlos Cascuyuela.

Natomiast z dzielnicy San Hipólito, gdzie znajdował się również dom klaretynów, pochodził Florencio Salamem, który po nieudanym powstaniu z 1933 roku uciekł razem z innym anarchistą José M. Lopezem (*El Marmolista* - „Kamieniarz”) do domu braci Fantowa (*Los Truchos*). Kiedy kilku gwardzistów przyszło przeszukać dom, *El Trucho* i Salamero ukryli się w stajni. Salamem wystrzelił do jednego z nadchodzących gwardzistów i ranił go śmiertelnie. On i López zostali aresztowani. W kryjówce nad rzeką Vero znaleziono cały arsenał materiałów wybuchowych, które później gwardia narodowa wystawiła na widok publiczny. Salamero został zwolniony dzięki amnestii ogłoszonej z okazji wyborów 16 lutego 1936 roku.

Z dzielnicy San Hipólito pochodził również liczący wówczas 29 lat Eugenio Sopena Buil, cieszący się w Barbastro największym poważaniem anarchista i jeden z przywódców komitetu rewolucyjnego. Mieszkał w bliskim sąsiedztwie klaretynów. Z tej samej okolicy pochodzili: Lalam, Mariano Abad (*El Enterrador* - „Grabarz”), bracia Viu, wspomniani już bracia Leoncio i Aniceto Fantowa (*Los Truchos*), José Campo, *Mojame*, napastnik klubu piłkarskiego z Barbastro i robotnik fabryki sandałów konopnych, bracia Chinestra oraz *El Garilla*, piroman, który za czasów republiki podpalił stóg siana, żeby „wykurzyć” szczury, a przez okno więzienia wyśpiewywał: „Kiedy Garilla zostanie kiedyś burmistrzem, a jego przyjaciele zasiądą w radzie miejskiej, wtedy w Barbastro spłoną wszystkie stogi siana”.

Anarchiści z Barbastro mieli powiązania z podobnymi ugrupowaniami w Barcelonie i w południowej Francji. Zdaje się, że do Barcelony pojechał Eugenio Sopena albo Movilla, który wygłosił kiedyś w *Teatro Principal* w Barbastro niezwykle interesujący wykład na temat „Bóg nie istnieje”. Francisco Chinestra pracował zazwyczaj w Carcassone (południowa Francja), chociaż zasłynął również z wywrotowej działalności w Katalonii. Zanim zaginał, na krótko pojawił się w Barbastro. Z relacji Eugenia Sopeny wynika, że anarchiści organizowali mnóstwo zebrań, „aby ustalić, co w razie zbrojnego powstania powinniśmy robić”. Ich plan zakładał przejęcie kontroli nad oddziałem uzbrojonym w karabiny maszynowe i skierowanie ich luf na koszary pułkownika Villalby. Na wypadek powstania chcieli również wysadzić w powietrze stację benzynową na szosie do Monzón.

Po tym, jak utworzono komitet rewolucyjny i jak doszło do napadu na sklep

z bronią, klaretyni tak jak i pozostali mieszkańcy Barbastro czekali na reakcje pułkownika Villalba. Nic się jednak nie działo. Villalba nie stanął, jak oczekiwano, po stronie nacjonalistycznego powstania przeciw republice, chociaż należał do grona nacjonalistycznych spiskowców. Wszystkich ciągle uspokajał, że dopóki pełni swą funkcję, nic złego się nie stanie. W obliczu mających miejsce wydarzeń coraz trudniej było wierzyć w te zapewnienia.

Ojciec Felipe de Jesús Munárriz zdecydował, aby podjąć w związku z tym pewne działania w celu zabezpieczenia się. Ukryto cenne rzeczy. W nocy ustawiono strażę, a z sąsiadami podjęto pewne ustalenia na wypadek ataku na dom.

Pułkownik Villalba nie rozporządzał już nieograniczoną władzą. W sobotę po południu spotkał się z kilkoma oficerami ze swojego garnizonu. Atmosfera w czasie rozmów stawała się coraz bardziej napięta. W końcu porucznik Garda Morales, jeden z nielicznych lewicowych oficerów w Barbastro, oświadczył, że jeżeli Villalba wprowadzi stan wyjątkowy, to wtedy on złoży swój urząd komendanta garnizonu i uchyla się od jakiegokolwiek odpowiedzialności. Villalba znalazł się między młotem a kowadłem. Jeśli ogłosi gotowość bojową i opowie się po stronie nacjonalistów, musi się liczyć z groźbą, że nie wszyscy żołnierze go poprą. To by znaczyło, że jego zaangażowanie doprowadziłoby do zamieszek, a przecież tego właśnie chciał uniknąć. Toteż odetchnął z ulgą, gdy po rozważeniu wszystkich możliwości postanowiono na razie czekać na rozwój wydarzeń i nasłuchiwać informacji płynących z radia. Dzięki temu zyskał na czasie. Ale równocześnie pozbawiono go możliwości samodzielnego decydowania. Jego stanowisko przestało się już liczyć; wszystko zależało teraz od sytuacji w prowincji. Ci, którym Villalba miał zapewnić ochronę, nie dostrzegali jeszcze tego związku.

Wyraźnie jednak widzieli, jak rośnie niebezpieczeństwo. Ojciec Pedro Cunill, 33-letni klaretyn, poszedł z samego rana do szpitala, aby tam odprawić Mszę świętą. Przy śniadaniu jedna z pracujących w szpitalu siostr wincentynek zapytała go, czy idąc do nich, nie zauważył czegoś niepokojącego. „Na ulicach jest dużo ludzi, ale nikt mnie nie zaczepiał” - brzmiała krótka odpowiedź. „Nie boi się ksiądz sam iść do domu?” Ojciec Pedro uspokajał siostrę: „Kto ma czyste sumienie, nie ma się czego bać”.

Ojciec Pedro Cunill przyjechał do Barbastro w 1932 roku, aby objąć zarząd prowadzonego przez klaretynów diecezjalnego seminarium duchownego. W nocy z 1 na 2 sierpnia 1933 roku był świadkiem, jak agresywny tłum przypuścił gwałtowny atak na seminarium. Nieustraszony wyszedł na taras i starał się perswazyjną powstrzymać awanturników, którzy właśnie chcieli podpalić bramę na dziedzińcu. Aby uratować Eucharystię przed groźbą profanacji, księża klęcząc przyjęli komunię na dziedzińcu w środku nocy. W momencie kiedy główna brama uległa pod szturmem napastników, klaretyni zdążyli już ująć bramę z dziedzińca i ukryli się w budynku kolegium klaretynskiego. Po tym wydarzeniu ojciec Cunill wyjechał do Solsony, ale w roku 1935 powrócił znowu do seminarium w Barbastro. Kiedy w maju 1936 roku zlikwidowano seminarium diecezjalne, znalazł on ponownie schronienie w seminarium klaretynów.

Owego ranka po Mszy świętej w szpitalu i po krótkiej rozmowie z siostrami wyruszył samotnie w drogę do domu. Siostry patrzyły, jak odchodzi. Obserwowały, jak w najzwyklejszy sposób pozdrowiał mijających go na moście ludzi, zanim zniknął w zaułkach dzielnicy San Hipólito. Jedna z sióstr widziała, że za księdzem podążało kilku mężczyzn.

Od jakiegoś czasu rewolucjoniści często gromadzili się pod domem klaretynów. Uzbrojone bandy starały się nawet wtargnąć do domu. Raz powstrzymała ich pewna kobieta, wołająca do nich z balkonu sąsiedniego domu: „Uwaga, w środku jest dużo młodych chłopaków!” Rewolucjoniści bali się, że seminarzyści zdobędą nad nimi przewagę, zwłaszcza że nie było wiadomo, ile broni zgromadzili w swoim dużym domu. Wśród anarchistów krążyły na ten temat najdziwniejsze plotki. Mówiono nawet o tym, że klaretyni w mieście i benedyktyni z Pueyo dysponują siecią podziemnych korytarzy i odpowiednimi urządzeniami, które pozwolą im w razie ataku zniknąć pod ziemią. Opowiadano również inne wyssane z palca historie, w które w normalnych czasach nikt by nie uwierzył, a którym jednak w podnieceniu i zamieszaniu nadchodzącej rewolucji dawano posłuch.

Tymczasem zaczynało się regularne polowanie na księży. Przy czym bez znaczenia było, co kto zrobił czy powiedział, czy rzeczywiście można było kogoś o coś faktycznego oskarżyć. Wystarczyło, że ktoś był księdzem, aby go prześladować, aresztować, a nawet rozstrzelać. W całej republice słychać było zawołanie: „Dopaść księdza!”

Przyczyny prześladowań księży nie zaistniały nagle. Narastająca tuż przed wybuchem wojny domowej nienawiść przeciw wszystkiemu, co miało związek z Bogiem, religią i Bożą posługą, nie osiągnęłaby tak koszmarnych rozmiarów, gdyby wcześniej nie został przygotowany odpowiedni grunt. Od czasów oświecenia w Hiszpanii poparcie dla postępu szło w parze z wrogością wobec kleru. Antyklerykalizm w takim wymiarze mógł się narodzić chyba tylko w kraju tak silnie katolickim. Głosiciele idei oświecenia uważali Kościół, ze względu na jego związki z tronem, za jedną z głównych przeszkód hamujących wszelkie zmiany. Dlatego starano się ograniczyć możliwość kontaktu duchownych ze świeckimi. W efekcie mimo dużej liczby księży, mnichów i zakonnic, nie wszędzie w kraju wierni mieli dostęp do duszpasterza. A skoro ksiądz nie zawsze był tam, gdzie go potrzebowano, wielu księży było praktycznie bezczynnych, jeżeli chodzi o duchową opiekę nad wiernymi. Znaczyło to także, że Kościół nie miał już władzy nad sercami Hiszpanów.

Naturalnie nie był to powód do zmartwień dla liberałów, którzy kształtowali oblicze polityki w XIX wieku. Niepokoił ich raczej fakt, że darowizny na rzecz Kościoła miały wieczysty charakter. Ponieważ majątku kościelnego nie wolno było sprzedawać, był on jako „towar z martwej ręki” wyłączony z normalnego obiegu gospodarczego. Warto dodać, że w żadnym innym kraju własność kościelna nie obejmowała tak dużego obszaru. W tej sytuacji kapitalistyczni liberałowie doprowadzili do zniesienia zakazu sprzedaży własności kościelnej, co w praktyce oznaczało wywłaszczenie Kościoła na wielką skalę, porównywalne z sekularyzacją

kościół w Rzeszy Niemieckiej na początku XIX wieku. Tym wysiłkom towarzyszyła odpowiednia kampania propagandowa. Doszło wreszcie do tego, że Kościół oskarżano o wszystkie niepowodzenia kraju i zawsze kiedy lud wyrażał niezadowolenie, starano się go skierować przeciw Kościołowi.

Wyrzedaż dóbr kościelnych przysporzyła korzyści tylko nielicznym kapitalistom, natomiast spowodowała pogorszenie warunków życia ludności, która pod władzą Kościoła miała zapewnione przynajmniej minimalne bezpieczeństwo społeczne. Mimo to liberalna propaganda potrafiła przekonać prostych ludzi, że to Kościół jest odpowiedzialny również za ich obecną nędzę. Po tę samą argumentację sięgały także późniejsze socjalistyczne i anarchistyczne ugrupowania. W drugiej połowie XIX wieku antyklerykalizm niepostrzeżenie przerodził się w walkę z religią jako taką; następstwem walki z Kościołem było zatem całkowite odrzucenie Boga.

Już w XIX stuleciu na tle tych procesów miały miejsce polityczne przewroty i próby rewolucyjnych zmian, którym często towarzyszyły napady na klasztory. Wymowny jest fakt, że w języku hiszpańskim trwale zagościły zwroty takie jak *quemada de conventos* i *matanza de frailes*, które można przetłumaczyć jako „podpalenia klasztoru” i „polowania na mnichów”. Tego rodzaju zbrodnicze działania osiągnęły dramatyczne natężenie w roku 1909 podczas tak zwanego „Tragicznego Tygodnia” w Barcelonie. W czasach Republiki Hiszpańskiej od 1931 roku działania takie przybrały na ostrości, przy czym anarchiści, socjaliści i republikanie stale zarzucali prawicowym nacjonalistom, że to oni sami podpalali kościoły i klasztory, aby później przypisać te poczynania lewicy. Z początkiem wojny domowej przesładowanie księży i zakonników, do tej pory ograniczone czasowo i terytorialnie, po raz pierwszy objęło cały obszar republiki.

W przypadku niektórych rewolucjonistów nienawiść wobec Kościoła mogła również wypływać z osobistych motywów.

Życiorysy poszczególnych uczestników i obserwatorów wydarzeń są znane zbyt fragmentarycznie, aby w pełni wykluczyć rolę, jaką mogły odegrać osobiste rozczarowania czy krzywdy wyrządzone przez przedstawicieli Kościoła. Na tyle jednak, na ile można się zorientować, osobiste motywy jako bodziec antykościelnych akcji były raczej sprawą drugoplanową. Być może w niektórych przypadkach czynnik osobisty sprawił, że pewni ludzie szczególnie otwarci byli na antyreligijne ideologie. W sumie, można jednak stwierdzić z pewnością, że decydujące znaczenie miały uzasadnienia ideologiczne. Do tego dochodzi kolejny aspekt, który dotyczy całego ruchu rewolucyjnego. Rewolucyjny ruch traci bardzo szybko na sile, jeżeli w pierwszych dniach nie może wykazać się żadnymi sukcesami i jeśli rewolucjoniści natychmiast nie mogą napaść na jakiegoś przeciwnika. Pod tym względem księża i zakonnicy wydawali się doskonałym celem rewolucyjnych działań: w kontekście antykościelnego prawodawstwa w Republice Hiszpańskiej mogli uchodzić za nieprzejednanych wrogów republiki, byli głęboko znienawidzeni przez rewolucjonistów i, co nie jest bez znaczenia, podjęcie przeciwko nim walki nie groziło przegraną.

Pierwszym księdzem aresztowanym w Barbastro był José Martínez Lahuerta, jeden z najlepszych kaznodziejów w diecezji. Zabrano go w niedzielę 19 lipca po południowej mszy z katedry do miejskiego więzienia. Biskup, który był świadkiem zdarzenia, wezwał wikariusza generalnego, aby zaprotestować przeciw temu bezprawiu. Ten ubrany w sutannę i mantylę udał się prosto do ratusza. Kiedy szedł przez plac ratuszowy, towarzyszyło mu pełne wrogości milczenie zgromadzonego tam tłumu. Wikary generalny złożył protest na ręce komitetu, który samowolnie przejął władzę w mieście. Udając się w powrotną drogę do domu, nie zauważył, że jest śledzony, podobnie jak kilka godzin wcześniej śledzony był ojciec Cunill. Piętnaście minut później dwóch uzbrojonych strażników zabrało go do więzienia w ratuszu. Teraz tłuszcza pałała żądzą krwi i zemsty.

Księża z miasta wędrowali jeden po drugim do więzienia.

Pewna kobieta słyszała wczesnym rankiem dochodzące z ulicy ochryple głosy mężczyzn, którzy mówili: „Dzisiaj wyciągniemy tę świnię Mariano Frago”. Maruno Frago był księdzem, który pisał w katolickim tygodniku *Cruzado Aragonas*. I rzeczywiście tego samego popołudnia duża grupa milicjantów z nabitą bronią zamknęła małą uliczkę, gdzie mieszkał ksiądz. Widok tak wielu uzbrojonych mężczyzn zaskoczył księdza, ponieważ wyglądało to tak, jakby chodziło o najgroźniejszego na świecie bandytę. Wydawało mu się to zupełnie groteskowe; wręcz nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad nim i całym klerem diecezji Barbastro. Pewien zaprzyjaźniony lekarz chciał go ratować, stawiając diagnozę stwierdzającą zapalenie wyrostka robaczkowego. Na nic się to jednak nie zdało. Księdza wyciągnięto z domu. Na schodach chwyciły go nagle bóle i zaczął wymiotować. Milicjantów to nie obchodziło. Śmiali się z niego, obrażali go i kopali. Chwilę później aresztowano jego brata Manuela, również księdza. Aresztowano także gospodarza domu Mariano Sese i beneficjanta Tomasa Ardany.

Niektórzy księża ukryli się na kilka dni, ale szybko ich odnaleziono i złapano. Tylko jednemu udało się ująć z życiem, ponieważ na kilka dni przed wybuchem rewolucji pewien zatroskany człowiek z Barbastro podarował mu swoje najlepsze ubranie. Don José Grau, bo o nim mowa, nie chciał przyjąć tego podarunku, ale mężczyzna nalegał: „Don José, sprawa jest poważna. Proszę zdjąć sutannę i ubrać się w garnitur. Przyda się księdzu”.

Ubrany w ten świecki strój, zarzuciwszy marynarkę na ramiona niczym letnik, don José wyszedł z domu. Schronienia udzieliła mu pewna wdowa, która kochała go jak własnego syna, a mieszkała w sąsiedztwie rynku. Na początku don José nie podejrzewał, że sytuacja była rzeczywiście tak poważna, później jednak zaczęły się groźby i łapanki „antyfaszystowskiego komitetu”. W tych warunkach uznał, że powinien stawić się przed owym komitetem.

I rzeczywiście, udał się w drogę do ratusza. Kiedy jednak zobaczył na głównej ulicy dużą grupę milicjantów, przestraszył się bardzo. Przechodził właśnie koło domu Marii Buil, sąsiadki mężczyzny, który dał mu garnitur. Cicho przeszedł przez wąski dziedziniec, nie pozdrawiając dwóch znajdujących się tam kobiet.

Wszedł po schodach na drugie piętro i zapukał do drzwi. „Proszę mnie ukryć, ścigają mnie.” Siedemdziesięciokilkuletnia kobieta wpuściła go do środka. Pierwszą noc spędził w jej mieszkaniu. Następnego dnia gospodyni ukryła go na strychu. Tam, w obskurnej rupieciearni pod nagrzanym od słońca ceglany dachem, spędził najgorszy miesiąc swojego życia. Wodę i jedzenie przynosiły mu wtajemniczone kobiety, które mieszały w tym samym domu na czwartym piętrze.

Klaretyni wiedzieli, co się dzieje w mieście. Brat Ramón Vall, który znowu w cywilnym ubraniu wychodził do miasta, aby zebrać informacje, co się dzieje w Barbastro i zorientować się, czy misjonarzom grozi niebezpieczeństwo, przynosił do domu coraz groźniej brzmiące wieści. Również inni zaufani ludzie alarmowali klaretynów. Kilku studentów pilnowało domu na zmianę z bratem Simónem Sanchezem i bratem Ramónem.

Niejeden ze studentów zastanawiał się pewnie teraz nad słowami, które ich 65-letni prefekt, ojciec Juan Díaz Nosti wypowiedział kiedyś z pewnością w głosie, że to niemożliwe, aby „nasi” musieli kiedykolwiek pełnić służbę wojskową: „Coś musi się wydarzyć, coś co uchyli to zarządzenie”. Jednak obecnie wyglądało na to, że nie obowiązywały już żadne prawa i nie był to bynajmniej powód do radości. Ojciec Díaz na różne sposoby próbował dodać swoim studentom otuchy. „Nic nam nie zrobią, bo nas nikt nie zna. Będą aresztować tylko tych, którzy swoimi czynami szczególnie się w okolicy wyróżnili.” Ale również pod tym względem optymizm prefekta okazywał się coraz mniej uzasadniony.

W niedzielę rano przyszło do spowiedzi niewiele osób. Tej niedzieli miały się rozpocząć w kościele Klaretynów czterdziestogodzinne modlitwy. Na uroczystości miał być obecny biskup. Wczesnym popołudniem przyszedł pewien młodzieniec. Ojciec Leoncio Pérez Ramos, 61-letni zarządca wspólnoty klaretynów, który po ośmiu latach swojego pobytu w Barbastro należał do ulubionych spowiedników i księży najczęściej proszonych o poradę, zapytał go: „Co się dzieje w mieście?” Młody człowiek odpowiedział bez namysłu: „Wygląda na to, że przyjdą, aby was zabrać”. „W takim razie nie przychodź dzisiaj wieczorem, dzisiaj nie ma świętej godziny” - odpowiedział na to ojciec.

W poniedziałek brat Simón Sanchez, który był również zakrystianinem, otworzył kościół o zwykłej godzinie. Potem zmówił swoje modlitwy. Brat czuł jednak, że coś jest nie w porządku. Rozejrzawszy się, stwierdził, że jest sam. Żadna z kobiet, które zawsze były już o tej porze w kościele, nie przyszła. Uznał to za podejrzanę i zameldował o tym przełożonemu. Ten odpowiedział mu, że kiedy zakończy swoją mszę, którą właśnie miał odprawić, a w dalszym ciągu nikogo nie będzie, brat Simón powinien zamknąć kościół. Nie trzeba było długo czekać, aby coś zaczęło się dziać. W czasie trwania mszy, dokładnie w momencie Przejścia, do kościoła weszło dwóch opalonych brodatych mężczyzn z bronią w rękę. Stańli na środku i krzyknęli do odprawiającego mszę: „Proszę posłuchać!”, Ksiądz podeszedł do nich, aby zapytać, czego chcą. Tym razem odezwali się po cichu, jak nakazywał szacunek dla miejsca: „Z polecenia komitetu rewolucyjnego rozkazuje się: zamknąć drzwi od kościoła!” Brat zakrystianin wykonał polecenie.

Pozostałych ośmiu ojców celebrowało dalej wspólnie mszę - choć na ćwierć wieku przed II Soborem Watykańskim nie było jeszcze koncelebracji - przy zamkniętych drzwiach.

Wiadomości, które przynosił brat Ramón Vall, były coraz groźniejsze. Niebezpieczeństwo było realne. Wkrótce klaretyni odczuli to na własnej skórze. Na ulicach wokół seminarium kręciło się coraz więcej uzbrojonych grup, głównie po Calle del Conde, gdzie znajdowało się główne wejście, i po Calle Monzón. Ojcowie, bracia i studenci zaczęli rozumieć, że są uwięzieni w budynku niczym mysz w pułapce. Męczeństwo, które od lat niewyraźnie majaczyło na horyzoncie, w jednej chwili nabrało wyrazistych konturów. Tym razem nie dotknie

to kogoś innego, lecz ich samych, klaretynów z Barbastro. Upragniona korona męczeństwa znalazła się nagle w zasięgu ręki. Istnieje relacja o tym, jak grupa studentów odbywających nowicjat rozmawiała podczas spaceru z przełożonym nowicjatu o męczeństwie i w uniesieniu uczuć prosiła Ojca Niebieskiego o łaskę męczeństwa. Ale jednocześnie zaczęło doświadczać uczucia zagrożenia, lęku przed cierpieniem. Obawiano się wyniku zbliżającej się próby wytrzymałości związanej z męczeństwem. Seminarzyści uświadomili sobie swoją ludzką słabość. Bali się, że nie podołają, chociaż nie wiedzieli dokładnie, co ich czeka. Wiedzieli wszakże jedno: droga do męczeństwa nie będzie łatwym spacerkiem.

W chwili próby siła może być dana tylko od Boga. O tę siłę modlili się zapewne nie tylko rano, kiedy wszyscy zebrali się w kościele przed wystawionym Przenajświętszym Sakramentem. Niejednemu z nich w ciszy modlitwy przyszedł na myśl obraz Jezusa na Górze Oliwnej i nawet jeśli nie czuli Boskiego wsparcia tak wyraźnie, jak wtedy ich Pan i Nauczyciel, ich modlitwa została wysłuchana.

Jeszcze przed adoracją ojciec przełożony i ojciec Nicasio Siewa przebyli w modlitwie stacje drogi krzyżowej, jak relacjonuje jedna z kobiet, które ośmieliły się przyjść do kościoła i przystąpić do komunii, mimo że było to naprawdę ryzykowne. Ponieważ drzwi do kościoła były zamknięte, zadzwoniły do furty i zostały wprowadzone przez brata odźwiernego przez dom do kościoła. Po dziękczynieniu również one odbyły drogę krzyżową; kiedy one już skończyły, obydwaj ojcowie, którzy zaczęli długo wcześniej przed nimi, byli dopiero przy siódmej lub ósmej stacji...

Czterdziestosześcioletni ojciec Nicasio Siewa po święceniach przez trzy lata pracował jako nauczyciel w Aranda de Duetu. Wtedy spełniło się jego życzenie, które nosił w swoim sercu od dzieciństwa: został kaznodzieją. Dziewięć lat spędził w Calatayud, sześć w Cartagenie, a od dwóch lat przebywał w Barbastro. W wielu miejscach wygłaszał kazania do wiernych. Wobec Republiki Hiszpańskiej odnosił się początkowo z obojętną rezerwą, jednak szybko zorientował się, jakie konsekwencje dla dzieci i młodzieży pociąga za sobą edukacja pozbawiona Boskiej nauki. Był jednym z nielicznych, którzy przewidzieli prześladowania, jakie spadły na Barbastro. Kiedy zarząd miasta przejął kontrolę nad seminariami duchownymi diecezji i zburzył kościół seminaryjny, ojciec Nicasio nie miał już wątpliwości: nie była to ostatnia i największa akcja wymierzona w Kościół.

Po adoracji wszystko wyglądało tak jak zazwyczaj. Kontynuowano codzienny plan zajęć. Sprzątanie za kwadrans jedenasta, o jedenastej zajęcia, o wpół do dwunastej tak zwane *Preces* lub modlitwy południowe kongregacji i czytanie duchowe, o pierwszej obiad, potem krótki odpoczynek. O wpół do drugiej modlitwa różańcowa, od wpół do trzeciej do wpół do czwartej wspólna nauka w salach wykładowych. I chociaż właściwie były ferie, czas był wypełniony.

Wszystko odbywało się według ustalonego porządku, a to bez wątpienia miało wpływ na nastroje seminarzystów i z pewnością pomagało uczynić lżejszym do zniesienia wewnętrzne napięcie, które każdym z nich targało. Za dwadzieścia piąta ta konfrontacja zwykłego rytmu i niezwykłego obciążenia dobiegła końca. Ojciec Juan Díaz, prefekt, zwołał studentów, aby wygłosić do nich krótkie przemówienie. Ze spokojem i opanowaniem, które promieniowało z niego tak samo jak podczas prowadzonych przez niego wcześniej wykładów z teologii moralnej, mógł dodać studentom odwagi w tej niepewnej sytuacji. Zaapelował do nich, aby się więcej modlili i zachowali spokój. Zażądał od nich, aby oddali się w ręce Boskiej Opatrzności; co Bóg im ześle, będzie dla nich najlepsze. „A kiedy nas zamkną, będzie wielkim zaszczytem cierpieć prześladowania w imię sprawiedliwości i cierpieć dla Boga. A kiedy przyjdzie chwila, że nas zabiją, cóż za radość i cóż za zaszczyt oddać życie za Jezusa i umrzeć za nasze ideały! Koniec końców: kilka chwil bólu i cierpienia, a potem do nieba! Tam, w niebie znowu się wszyscy spotkamy.”

5. MISJONARZE W SZEREGU

Studenci wysłuchali pokrzepiających słów prefekta. Była właśnie pora codziennego odpoczynku, kiedy to zazwyczaj wychodzono z domu, aby cieszyć się świeżym powietrzem na wsi albo nad brzegiem rzek Vero i Cinca. Tym razem seminarzyści wyszli na taras, z którego rozciągał się widok na miasto. Atmosfera była napięta: w każdej chwili można było się spodziewać najścia. „Nie mogli się na to zdecydować - pisał ojciec Atilio Parussini, jeden z dwu argentyńskich studentów, których wypuszczono później na wolność - z całkiem prostego powodu: ponieważ się nas boją. Martwią się, że możemy się bronić, ponieważ wierzą, że mamy broń. I sześćdziesięciu ludzi, w większości silnych i młodych, którzy mogą im napędzić niezłego strachu.”

Nagle od strony bramy doszły głośnie wrzaski. Energicznie, wręcz ze wściekłością zaczęto wydzwaniać do drzwi. Brat Francisco Castan, 25-letni odźwierny wzdrzygnął się z przerażenia. Za drzwiami słyszał kroki wielu mężczyzn. Słyszał stukot drewnianych przedmiotów o bruk - to musiały być kolby karabinów! Nagle wszystko umilkło. A więc już tu byli. Odźwierny skierował się w stronę masywnych drzwi, trzymając w ręku duży klucz, który tylko on lub jego zastępca mógł nosić. Usłyszał za sobą czyjeś kroki. Pomyślał, że to przełożony i poczuł się pewniej. Ledwo przekręcił klucz w zamku i uchylił nieco drzwi, ujrzał ich: krępych, ordynarnych typów z zaniedbanymi brodami, ciasno sfłoczonych tuż przy wejściu.

Dwóch z uzbrojonych mężczyzn natychmiast wstawiło nogi między uchylone drzwi i przyparło je kolanami, aby nie można już było ich zamknąć. „Pozwólcie, panowie, że powiadomię ojca przełożonego” - uprzejmie, choć nieco zakłopotanym tonem powiedział brat odźwierny. Jednak ojciec przełożony Felipe de Jesús Munárriz nadszedł już razem z administratorem ojcem Leoncio Perezem i prefektem ojcem Juanem Diazem.

Przywódca milicjantów Eugenio Sopena dał swoim ludziom znak i bezwzględnie sześćdziesięciu mężczyzn wdarło się do kruchty - niektórzy byli w mundurach, inni w koszulach z rewolucyjnymi opaskami. Rozglądali się nieufnie na wszystkie strony, patrzyli na sufit, na rozmównicę i na krużganek rozgałęziający się na dwie strony. Sopena rozkazał swoim ludziom, aby się zatrzymali i zwrócił się do ojców: „Kto tu jest szefem?” „Jestem przełożonym wspólnoty” - odpowiedział ojciec Felipe de Jesús. „W imieniu zjednoczonego komitetu z Barbastro przyszedliśmy dokonać rewizji, nic więcej jak tylko rewizji.” „W takim razie proszę wejść - spokojnie odpowiedział przełożony - w tym domu nie ma żadnej broni.” „Zobaczymy. Proszę zwołać wszystkich. Nic się im nie stanie” - zapewnił przywódca.

Weszli na wewnętrzny dziedziniec, z którego jedne z troję drzwi prowadziły do kuchni, a pozostałe były przeciwnym wejściami na krużganek. Milicjanci zauważyli, że z gór skierowane są na nich liczne spojrzenia. Za czarną balustradą

stłoczyło się dwunastu młodych mężczyzn w czarnych sutannach. „Uwaga!” - krzyknął jeden z napastników bezwolnie. Jego towarzysze natychmiast skryli się pod ścianami, kierując karabiny i strzelby w górę. Niektórzy patrzyli z niepokojem na okna, które wychodziły na dziedziniec. Również stamtąd mogło im grozić niebezpieczeństwo. „Wszyscy muszą natychmiast zejść na dół!” - rozkazał Sopena. Zabrzmiał dzwon domowy, który wzywał zazwyczaj do modlitwy, na zajęcia, na odpoczynek lub na posiłki. W kilka sekund młodzi mężczyźni w sutannach zbiegli na dół po schodach i stanęli wzdłuż szeregu uzbrojonych milicjantów na dziedzińcu, bez krzyku, bez najmniejszej próby oporu. Napastnicy nie wierzyli własnym oczom. Nie spodziewali się tego.

„Czy brakuje jeszcze kogoś?” - chcieli wiedzieć rewolucjoniści. „Tylko jednego chorego i jednego starca” - poinformował zgodnie z prawdą przełożony. „Wszyscy muszą zejść. Wszyscy!” - rozkazał milicjant przełożonemu. „Ależ chory ma 40 stopni gorączki!”

Jeden ze studentów musiał zaprowadzić kilku uzbrojonych mężczyzn do pokoju chorego, aby mogli się przekonać, czy rzeczywiście tak się mają sprawy. Chory, 24-letni student Jaime Falgarona, przywitał ich bladym uśmiechem. Oczywiście miał zaczerwienione od gorączki. „Natychmiast do szpitala!” - powiedziano tonem nie znośnym sprzeciwu. Tymczasem 84-letni brat Joaquin Muñoz próbował o własnych siłach zejść ze schodów, kurczowo trzymając się balustrady.

Obrażliwe słowa i bluźniercze przekleństwa, jakich jeszcze nie słyszały klasztorne mury, przeszły powietrze. „W dwuszeru pod ścianę, wy...!” „Do diabła, ręce z kieszeni!” Ale chociaż rozkazy padały okraszone wulgarnymi słowami i obscenicznymi gestami, nie wywoływało to żadnej reakcji.

Dwóch milicjantów zabrało się do rewidowania ustawionych w szeregu zakonników. Parussini potwierdza, że zachowywali się przy tym bardzo poprawnie: „Byli opanowani i nie wyrządzili nam ani naszym rzeczom żadnej szkody; nie usłyszeliśmy również od nich żadnych obraźliwych słów. Wydawali się być dobrymi ludźmi i ich całe postępowanie ograniczyło się do tego, że wkładali ręce do naszych kieszeni - chociaż wielu z nas podchodziło do nich i wywracało na zewnątrz kieszenie, aby zaoszczędzić im wysiłku - sprawdzili pobieżnie, czy nie mamy ukrytych przedmiotów i pilnowali, aby powstrzymać jakoś wściekłość tamtych ludzi. Podczas rewizji absolutnie nic nam nie zabrali”.

Przy każdych z trojga drzwi na dziedzińcu ustawiły się warty po dwóch milicjantów z odbezpieczoną bronią. Kiedy zaczęła się rewizja osobista, kazano przyprowadzić najpierw trzech zakonników starszych rangą. Po sprawdzeniu, że nie mają przy sobie żadnej broni, nakazano im pójść razem z milicjantami, którzy mieli przeszukać dom. Trzej ojcowie musieli im towarzyszyć. Rozpoczęto od najwyższego piętra. Zaglądano do każdej szafy, wrywano z podłogi deski, rozsuwano stoły i ławki, otwierano kufry i skrzynie, sprawdzano wszelkie druki, które dostrzeżono, nawet notatki z wykładów... i nic. Najmniejszego śladu propagandy lub tajnych rozkazów i naturalnie żadnej broni.

Ponieważ było tam wielu ludzi i każdy uważał za konieczne przeszukać

dom, wszystko przebiegało bez jakiegokolwiek planu i bez skoordynowania działań poszczególnych grup. Niektóre części domu sprawdzano po wielokroć, kuchnię i spiżarnię co najmniej siedem razy. W zakrystii brat Simón Sanchez musiał opróżnić doniczki ze sztucznymi kwiatami, ponieważ podejrzewano, że w piasku coś ukryto. „Musiałem nawet otwierać szafki z przyborami mszalnymi i butelkę wina - przypominał sobie później brat - tak że zaproponowałem im w końcu, by skosztowali mszalnego wina. Ale odmówili.” W kościele porozrzucano figurki świętych, ale również w żadnej z nich nie ukrywano broni. Któryś z milicjantów próbował otworzyć tabernakulum, jednak jeden z „towarzyszy” powstrzymał go, mówiąc: „Uwaga! To może otwierać tylko ksiądz. Wiem coś o tym”. Tak więc wezwano jednego z ojców Oczywiście w tabernakulum były tylko cyboria i kustodii. Znowu rozczarowanie.

W tym samym czasie kontynuowano rewizję osobistą klaretynów. Jakiś młody człowiek spisywał imiona, nazwiska ojca i matki, wiek i miejsce urodzenia. Potem kazano seminarzystom ustawić się plecami do ściany. Na prośbę jednego z klaretynów rewolucjoniści zgodzili się, aby 84-letni brat Joaquin Muñoz mógł usiąść. Brat Simón Sanchez poprosił, by pozwolono mu wystąpić z szeregu. Źle się czuł od chwili, kiedy rano dwaj uzbrojeni mężczyźni zażądali zamknięcia kościoła. Teraz czuł kłujący ból w nerkach. Ale rewolucjonistów nic to nie obchodziło. Brat Buenaventura Peñalosa, 58-letni kucharz, poprosił o pozwolenie przygotowania kolacji, ponieważ była już na to najwyższa pora. „Co wam przyszło do głowy! - padła odpowiedź. - Dostyc już tego! Nie opowiadajcie żadnych bajek, tylko oddajcie broń.”

Im dłużej to trwało, tym bardziej nerwowi i niecierpliwi stawali się milicjanci. „Przecież musicie mieć broń! Każdy trzyma w domu broń, aby się bronić.” „Gdzieś ją schowaliście. Liczycie na to, że nie znamy dobrze domu. Ale i tak wiemy, że broń gdzieś tu jest.” I ostukiwali ściany kolbami karabinów, czy nie było gdzieś schowka na broń. Niektórzy krzyczeli wściekli: „Gdzie jest wasza broń? Powiedzcie wreszcie, wy psie syny, bo drogo za to zapłacicie”. Inni, mniej rozdrażnieni, dawali rady bez krzyku i gróźb: „Jeżeli rzeczywiście macie broń, powiedzcie całkiem szczerze; w przeciwnym razie pogorszycie swoje położenie”. Ojciec Munárriz w odpowiedzi na to tłumaczył wyraźnie: „W tym domu nie ma żadnej broni. Jeśli nie chcecie nam uwierzyć, to dajcie nam spokój. Przeszukajcie cały dom tyle razy, ile wam się podoba. Przekonajcie się sami”.

Pięćdziesiąt lat później przywódca anarchistów Eugenio Sopena rozmawiał o tamtym dniu z klaretynem, ojcem Gabrielem Campo Villegasem. Na pytanie, czy znaleźli wtedy broń, odpowiedział: „Żadnej, nic”. „Sądzę, że było tam wielu młodych ludzi.” „Właściwie wyłącznie młodzi ludzie.” „I jak się zachowywali? Czy byli agresywni, zdziwieni, czy spokojni?” „Nie, nie, nie. Wydaje się, że przełożony klasztoru musiał odradzić im próby oporu... A my wszystko przeszukaliśmy i nie znaleziono żadnej broni.” „To znaczy, że oni się praktycznie nie bronili.” „Zachowywali się bez zarzutu.” Jedyłą „podejrzaną” rzeczą, jaką znaleziono, była pusta luska od naboju, którą zapewne znalazł jakiś student podczas spaceru i przyniósł ze

sobą, aby ją później dokładnie obejrzyć. Znajomość amunicji należała do podstaw wiedzy wojskowej, którą poborowy musiał posiadać, jeśli chciał skrócić swoją służbę.

Właśnie to chcieli zrobić młodzi klaretyni. I nie było w tym nic niezwykłego. Niemal w każdym mieście byli emerytowani oficerowie, którzy w wolnym czasie szkolili młodych ludzi.

Kto zdobył odpowiednie umiejętności i zapłacił 1000 pesos - ówczesnie była to duża suma pieniędzy - ten zyskiwał znaczne korzyści: jego służba wojskowa skracała się z dwóch lat do półtora roku; można było wybierać, gdzie się chce odbyć służbę wojskową; nie trzeba było mieszkać w koszarach i wolno było, kiedy nie miało się warty, nocować w domu. Również klaretyni chcieli skorzystać z tych udogodnień, zwłaszcza że dwuletnia służba wojskowa wydawała im się niepotrzebnym wydłużeniem i tak już wiele lat trwającego kształcenia. Nie bez powodu obawiano się również, że mogłyby ucierpieć powołania, jeśliby seminarzyści tak długo przebywali poza klasztorną społecznością.

Doprowadzono do tego, że spora grupa studentów z seminarium klaretynów rozpoczęła 6 lipca swoje wstępne szkolenie wojskowe. Za zgodą pułkownika Villalby codziennie od 17 do 19.30 byli szkoleni przez dwóch emerytowanych nauczycieli na terenie areny walki byków. Starano się rzecz całą utrzymać w tajemnicy. Mimo to 13 lipca, kiedy zamordowano w Madrycie Calvo Sotelo, Barbastro obiegła wieść, że klaretyni odbyli na arenie szkolenie wojskowe. Socjalistyczny burmistrz Pascual Sanz chciał zbadać sprawę dokładnie i odnieść z tego korzyści. W towarzystwie czterech radnych i siedmiu członków gwardii obywatelskiej przyszedł niespodziewanie na stadion. Oskarżył obecnych o szykowanie faszystowskich manewrów. Ponieważ nic tym nie wskórał, wysunął zarzut, że szkolenie odbywa się bez jego pozwolenia. Ale i to okazało się nietrafne - oficerowie udowodnili mu, że wystarczy jedynie pozwolenie pułkownika Villalby, które uzyskali. Wtedy burmistrz spróbował nowej taktyki i stwierdził, że widział, jak ksiądz prowadził szkolenie, a oficerowie w tym czasie siedzieli beczynnie. Rzeczywiście Faustino Pérez, którego widział burmistrz, nosił sutannę, ale nie był jeszcze księdzem. Poza tym przyszedł tylko raz właśnie tego dnia na arenę i to wcale nie po to, by wyręczać oficerów. Po bezowocnych sporach burmistrz zarządził przeszukanie. Gwardziści przeprowadzili je niechętnie, ponieważ wiedzieli, jak śmieszne było całe to wystąpienie.

Oczywiście poza drewnianymi imitacjami karabinów nic nie znaleziono. Wszystko skończyło się na tym, że oficerowie nie chcieli brać całej sprawy na siebie i złożyli meldunek pułkownikowi Villalbie. Ten udzielił następnego dnia burmistrzowi surowej reprymendy i w rezultacie szkolenie mogło być kontynuowane.

Jednak krążące po okolicy plotki stały się źródłem uprzedzeń wobec klaretynów. Ale to nie to wydarzenie było powodem poszukiwania broni w domu klaretynów. Przyczyna leżała raczej w bezgranicznej nienawiści anarchistów do wszystkiego, co było związane z Kościołem.

W zakrystii ojcu administratorowi Leoncio Pérezowi zagrozono rozstrzelaniem na miejscu, jeśli natychmiast nie powie, gdzie ukrył broń. Na dziedzińcu brat Atilio Parussini pokazał jednemu z milicjantów swój argentyński paszport i oznajmił, że on i brat Pablo Hall są cudzoziemcami. Usłyszał wymijającą odpowiedź, że nie się na to nie da poradzić i że są to sprawy w gestii nowej władzy. Starano się jednak również czynić pewne nadzieje. Milicjant o przydomku *Zapatillos* („Pantofel”) podszedł do klaretynów i zwrócił się do nich poufnym tonem: „Tak więc, wystawimy teraz każdemu z was paszporty i będziecie mogli wrócić do domów”. Parussini zdobył się na odwagę i zaproponował: „Proszę to powiedzieć ojcu przełożonemu”. Milicjant wpadł w szal. Ciskając przekleństwa, wykrzykiwał: „Teraz my tu rozkazujemy, a wy macie robić, co wam powiemy, bo jeśli nie...” „W takim razie będziemy z przyjemnością was słuchać.” Ta odpowiedź studenta zupełnie wyprowadziła milicjanta z równowagi. Odwrócił się bez słowa i odszedł.

W trakcie przeszukiwania przed domem zgromadził się tłum ludzi. Szybko rozeszły się wieści o bezowocnym poszukiwaniu broni. Ponieważ brama była otwarta, hołota wdarła się do środka. Coraz bardziej hałaśliwa rzesza gapiów domagała się głów misjonarzy. Eugenio Sopena sam przyznał po latach, że masy wymykały mu się spod kontroli. Sytuacja jego zdaniem wyglądała następująco: „Kiedy kontynuowaliśmy rewizję, wdarła się do środka grupa antyfaszystowskich obywateli. Zaczęli ogołacać kościół. Wynosili krzesła, ławki, obrusy, bieliznę - dosłownie wszystko, co znajdowało się w kościele i w klasztorze. Rzucali to na kupę na ulicy, żeby zacząć palić »ognisko«. Kiedy to zauważyłem, wyszedłem na ulicę i powiedziałem: »Towarzysze! To, co robicie, do niczego nie prowadzi. Co nam z tego przyjdzie, że spalimy ławki i krzesła, i te wszystkie użyteczne przedmioty? Czy nie zauważyliście, że możemy jeszcze tego potrzebować? Religia przecież nie ma z tym nic wspólnego!« Natychmiast przestali i wróciłem do klasztoru. Wreszcie zakończono przeszukiwanie domu. Księżom i seminarzystom kazano zgromadzić się na placyku, który był czymś w rodzaju wewnętrznego dziedzińca. Ale plebs zaczął krzyczeć: »Rozstrzelać ich! Zabić ich!« Wtedy powiedziałem: »W imieniu Narodowego Związku Pracy (CNT) i Iberyjskiego Związku Anarchistów (FAI) nie możemy tu pozwolić na żadną masakrę. Nikogo tu nie zabijemy. Naszym obowiązkiem jest zatrzymanie ich jako zakładników w ramach działań zapobiegawczych... potem staną przed sądem i zostaną osądzeni, i dostaną wyroki, ile się należy za to, co zrobili«,.

Wtargnięcie tłuszczy pogorszyło sprawę. Jakaś kobieta ukryła w zakrystii potężny nóż w szufladzie z szatami mszalnymi. Jeden z milicjantów zauważył to i chciał ją rozstrzelać. Zagroził każdemu, kto się ośmieli dokonać tak nikczemnego postępku.

Trzej ojcowie odpowiedzialni za dom: przełożony Felipe de Jesús Munárriz, administrator Leoncio Pérez i prefekt Juan Díaz, zostali oddzieleni od reszty. Pozostałym powiedziano, że aresztowano ich za posiadanie broni, której tak naprawdę nikt nie mógł znaleźć. Zapytano ich, czy chcą coś zabrać ze sobą, aby mieć czym się okryć w więzieniu. Przełożony poprosił, aby każdy z nich mógł wziąć

przynajmniej koc. Pozwolono im na to.

Chwilę wcześniej przełożony poprosił przywódców anarchistów, aby starych i chorych współbraci umieścić w domu starców prowadzonym przez siostry zakonne. Ojciec Munárriz widział już, że sytuacja pogarsza się. Wykorzystał jeszcze krótką chwilę nieuwagi strażników, aby ojcu Nicasio Sierze, drugiemu konsułowi, zlecić zajęcie się tą sprawą.

Jedyne, co ojciec Felipe de Jesús mógł jeszcze zrobić dla swojej wspólnoty, to dać przykład opanowania. Przeszedł przez dziedziniec razem ze swoimi towarzyszami w kierunku bramy i pozdrowił przy tym paru studentów. Jeden z nich zapytał go, co powinni założyć - świeckie ubrania czy sutanny. Przełożony energicznie wydał swój ostatni rozkaz: „Sutanny!” Potem dodał: „Niech Bóg ma was w swojej opiece, kochani bracia”. Zbladł i było widać, że to pożegnanie rani mu serce.

Według wypowiedzi brata Atilia Parussiniego, kilku studentów próbowało uniemożliwić milicjantom zabranie ich prefekta. Jednym z nich był Juan Echami Vique, energiczny i prostoliniwny 23-letni student z Nawarry, drugim był chyba José Brengaret, Katalończyk z prowincji Gerona, młodzieniec o podobnym jak Juan usposobieniu, a ponadto wykazujący pewne zdolności literackie; współpracował nawet z dwoma maryjnymi czasopismami. Milicjant odepchnął ich brutalnie na bok.

Wprowadzenie klaretynów do więzienia miało oczywiście charakter demonstracji wobec ludności. Otoczeni przez prawie pięćdziesięciu uzbrojonych ludzi, musieli trzej ojcowie przejść przez najbardziej uczęszczane ulice Barbastro. Szli krokiem pewnym i pełnym godności, jak potwierdzają to zeznania świadków.

Pozostali rozumieli, że cała sprawa nie skończy się na aresztowaniu zarządzających domem. Chociaż przełożeni nie mogli nic zdziałać wobec napastników, to jednak ich obecność dawała poczucie, że ktoś był odpowiedzialny za wszystko. Anarchiści zakładali chyba, że łatwiej sobie poradzą ze wspólnotą pozbawioną kierownictwa. Bowiem, mimo że mieli małe pojęcie o życiu zakonnym, wiedzieli, że posłuszeństwo wobec przełożonych było jego ważnym składnikiem.

Tymczasem mieli jednak więcej problemów z tłumem niż z młodymi klaretynami, jak relacjonuje ojciec Pablo Hall, drugi z ocalałych argentyńskich studentów: „Hołota zbierała się

przed naszym domem i stawała się coraz bardziej agresywna. Niektórzy żądali, żeby zabić nas w domu, z zimną krwią. Inni domagali się, aby nas jak najszybciej wydać ulicy. W przeciwnym razie napadną w nocy na dom, nas wszystkich pozabiją i spalą budynek”. Milicjanci nie byli zgodni co do tego, co zrobić z klaretynami.

Dla klaretynów wszystko to stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Spróbujmy wyobrazić sobie, co czuli ci - w większości bardzo młodzi - ludzie. Oczywiście wiedzieli o zagrożeniach, jakie czyhają na zakonników w Hiszpanii, co potwierdzają ich listy pisane w ciągu roku przed wybuchem wojny domowej. Było dla nich jasne, że męczeństwo stanowi realną możliwość. Ale mimo tej wiedzy

niełatwo im było zachować spokój wobec agresywnych gróźb, na które byli teraz wystawieni: „Trzeba ich od razu wykończyć!”, „Pozabijać ich od razu na miejscu!”, „Wysadźcie ich w powietrze!”, „Zróbmy z nimi to, co oni by z nami zrobili!”, „Teraz, kiedy ich wszystkich mamy, musimy ich pozabijać, tak żeby żaden nie uciekł i żebyśmy potem nie wpadli w ich łapy”.

Nie dziwi więc, że Atanasio Vidaurreta, 25-letni student z Navarry, który niedawno przebył ciężką chorobę, nie wytrzymał psychicznego napięcia i piekącego słońca i upadł, tracąc przytomność. Jeden z milicjantów krzyknął: „Dobijmy go od razu!” Inni jednak pozwolili, aby kilku studentów zaopiekowało się nim i nawet by zanieśiono go do łóżka. Trzeba przyznać, że w Komitecie Rewolucyjnym nie kierowano się ślepą nienawiścią, w przeciwieństwie do nastrojów, jakie zapanały wśród tłumu. Przywódcom rewolucyjnym nie chodziło o krew, lecz o skuteczność, o dyscyplinę i bezpieczeństwo na tyłach. Tak więc wśród pełnych nienawiści okrzyków coraz częściej było słycać umiarkowane, trzeźwe i realistyczne głosy: „Przecież nie można tak zabić kogoś z zimną krwią, zwłaszcza jeśli jest nieuzbrojony”; „Frago poczynił nam wszystkim jeszcze większe szkody, a jednak go nie zabiliśmy”; „Jeśli będzie trzeba, możemy przecież zabić trzech przełożonych, którzy są już w więzieniu. Tym tutaj możemy wystawić pasz

porty, żeby wrócili do domów, i nie będzie ryzyka, że się zbuntują przeciw nam”. Jeden z rewolucjonistów, prawdopodobnie Sopena, uspokajał bardziej wzburzonych towarzyszy, a tych najbardziej rozpalonych wyrzucił nawet z powrotem na ulicę. Musiał im jednak obiecać, że „księżulkowie” zostaną zabrani z klasztoru do więzienia. „Nam jednak - pisał Pablo Hall w swojej relacji - obiecał »czerwony« przywódca, że zaprowadzi nas do kolegium ojców pijarów, gdzie dostaniemy wszystko co potrzeba i będziemy pilnowani przez wystarczającą liczbę »czerwonych« gwardzystów, by w razie potrzeby zdołali nas ochronić przed gniewem tłumu.” Napięcie trochę opadło. Sopena odetchnął z ulgą. Klaretyni również. Najgorsze udało się raz jeszcze odsunąć. Ale czy na długo?

Wobec takiego obrotu spraw 24-letni ojciec Luis Masferrer, który nie jeden już raz dowiódł swoich praktycznych uzdolnień, postanowił natychmiast zająć się zabezpieczeniem tabernakulum. W każdej chwili można było się spodziewać, że ojcowie, studenci i bracia zostaną wyprowadzeni, a dom rewolucjoniści wykorzystają dla swoich celów. Czy można było w tej sytuacji pozostawić Eucharystię w tabernakulum?

Ojciec działał szybko. Wbiegł do kaplicy seminarium i wyjął cyborium z tabernakulum. Sopena i pozostali obecni milicjanci zgodzili się, aby klaretyni przyjeły na dziedzińcu Komunii świętą. „Przyjeliśmy Pana - pisał Pablo Hall - który będzie naszą siłą.”

Jednocześnie ojciec Pedro Cunill wyniósł z kościoła Przenajświętszy Sakrament. Schował hostie do małego kuferka, który mógł zabrać ze sobą. Dzięki temu przez kolejnych sześć dni klaretyni mogły przyjmować Ciało Chrystusa.

Teraz ustawiono wszystkich w jednym szeregu. Ze względu na szczególne okoliczności ojciec Sebastian Calvo udzielił współbraciom całkowitego rozgrze-

szenia. Zaraz potem wyszli na ulicę i poprowadzono ich przez gapiący się tłum. Pewna kobieta, która jako młoda dziewczyna obserwowała całą scenę ze sklepu, tak to opisała: „Wyszli na chodnik przed kościołem, na ulicę Calle del Conde. Wychodzili pojedynczo, jeden po drugim, w odstępie od 3 do 4 metrów. Kiedy weszli w Calle Costa, zwarli szyki i ruszyli, teraz już środkiem ulicy, w kierunku Calle del General Ricardos”.

Na każdym rogu stał milicjant z odbezpieczoną bronią. Procesja szła w milczeniu pomiędzy równie milczącymi widzami, którym przywódca milicjantów zabronił jakiegokolwiek - czynnego lub słownego - ataku na klaretynów. W oknach i na balkonach można było zobaczyć tu i ówdzie płaczących ludzi. Pewien 13-letni chłopiec, który patrzył z balkonu na idących klaretynów, miał wrażenie, że „wszyscy wyglądali jak wierni, którzy wracają od ołtarza po przyjęciu komunii”. Nie mógł wiedzieć, że istotnie tak właśnie było.

Dowódcy rewolucjonistów wyraźnie starali się, aby doprowadzić aresztowanych do celu tak dyskretnie, jak to tylko możliwe. Dlatego nie prowadzono ich przez najruchliwsze ulice, tak jak wcześniej przełożonych zgromadzenia, lecz przez zaułki i boczne uliczki. Kiedy kolumna dotarła do placu ratuszowego, idący z przodu milicjanci skierowali się jak zwykle do miejskiego więzienia. Jednak Maruno Acin Coll, przewodniczący komitetu rewolucyjnego z Barbastro, zawołał z tyłu, by się zatrzymali. Okazało się, że mają pójść do sali teatralnej kolegium piarystów, po prawej stronie czworobocznego placu. Tam pozwolono klaretynom porozmawiać chwilę z ojcami pijarami, którzy byli jeszcze na wolności. Wykorzystując tę okazję, klaretyni poprosili dwóch purystów, aby przynosili im codziennie w tajemnicy poświęconą hostię.

W domu klaretynów zostali jeszcze ojciec Nicasio Siewa i ojciec Pedro Cunill razem z Miguelem Massipem i kilkoma innymi studentami. Rewolucjoniści zezwolili na to, by zaopiekowali się chorym bratem Jaime Falgaroną, Atanasio Vidaurretą, który stracił przytomność na dziedzińcu, i starszym Joaquinem Muñozem, dopóki wszyscy trzej nie zostaną zabrani samochodem do szpitala wojskowego. Zaraz po tym, jak chorych odwiedziono, ich opiekunowie musieli dołączyć do wyprowadzonych wcześniej współbraci. Ojciec Nicasio Siewa przyniósł ze sobą do sali teatralnej kuferek z Przenajświętszym

Sakramentem z kościoła klasztornego. Poza tym udało mu się wraz z ojcem Cunillem uratować przynajmniej 4000 pesos. Pieniądze przekazali purystom, aby przeznaczyci je na koszty ich pobytu u nich w czasie „prewencyjnego” aresztu.

Zamkniętych w sali teatralnej klaretynów pozostawiono samych. Strażnicy obserwowali ich z zewnątrz przez otwór w drzwiach, wydrążony specjalnie w tym celu. Teraz dopiero do uwięzionych dotarła cała prawda o ich tragicznym położeniu. Reakcje były różne. Wielu płakało, niektórzy szykowali się na śmierć. Cierpienia duchowe wywarły silny wpływ na stan fizyczny niektórych braci. Brat Simón Sanchez, który źle się czuł cały dzień, poczuł ostre bóle w okolicach serca i skroniach i bał się, że nie przeżyje kolejnej nocy. Ojciec Cunill spróbował pomóc. Rozmawiał ze strażnikami i zaproponował, aby również brata Sancheza przewieźć

do szpitala. Ci, zanim podjęli decyzję, chcieli najpierw przyjrzeć się choremu. Dopiero kiedy usłyszeli, że już wcześniej źle się czuł, a jego stan się pogorszył na skutek obciążenia pęcherza i nerek, ponieważ nie mógł pójść do toalety, zezwolili na przetransportowanie go. Jednak zamiast do szpitala wojskowego zabrano go do domu starców Sióstr Miłosierdzia, położonego naprzeciwko kolegium purystów po lewej stronie placu ratuszowego.

Tym niemniej ojciec Cunill poczuł się podniesiony na duchu. Zwrócił się też do strażników z kolejną prośbą: by braciom najstarszym i najmlodszy fizycznie zapewniono lepsze traktowanie. I tym razem udało się zmiękczyć serca funkcjonariuszy. Zgodzili się, choć nie szczędzili cynicznych uwag: „Tych starców nie warto zabijać. Niech odmawiają różaniec za pozostałych! Po nich nic nie zostanie!” Bracia Bibiano Echegaray, Pablo Delgado, José Lascorz, Buenaventura Peñalosa i Simón Sanchez zostali przeniesieni z sali teatralnej do domu starców.

W nieoczekiwany sposób został potraktowany brat Ramón Vall. Kiedy milicjanci wkroczyli do domu, był w kuchni, ubrany jak zwykły robotnik. Ponieważ biła od niego woń potu, a na jego rękach widoczne były ślady smarów i odciski od pracy, milicjanci nie sądzili, że jest jednym z „księżulków”. Wzięli go raczej za wyzyskiwanego robotnika. Na pytanie, czy również należy do „księżulków”, brat Ramón odpowiedział zgodnie z prawdą, że jest misjonarzem i zakonnikiem, ale innego rodzaju. Ponieważ po hiszpańsku „rodzaj” brzmi jak „klasa”, milicjanci uznali to za potwierdzenie ich przypuszczeń. „To znaczy, jesteś parobkiem?” - zapytali go. Chociaż zaprzeczył, nie został aresztowany. Zaprowadzono go natomiast do kuchni kolegium i kazano mu gotować dla uwięzionych klaretynów. Miał korzystać głównie z zapasów żywności zgromadzonych w domu klaretynów. Poza tym dysponował sumą 4000 pesos, które ojciec Cunill przekazał przełożonemu purystów, a na końcu korzystał z tego, co dostał od pijarów.

Wieczorem 20 lipca wielkie seminarium klaretynów było puste. Jego dotychczasowi mieszkańcy zostali w następujący sposób rozlokowani w mieście: W szóstej celi miejskiego więzienia zamknięto trzech ojców: przełożonego, administratora i prefekta domu klaretynów. Dwaj studenci i starszy wiekiem brat leżeli w szpitalu wojskowym. Sala teatralna purystów była zajęta przez sześciu młodszych ojców w wieku od 24 do 46 lat; do tego należy dodać trzydziestu siedmiu studentów teologii, z których najstarszy, 29-letni Wenceslao Claris Vilaregut był już subdiakonem (większości pozostałych brakowało jeszcze roku do ukończenia studiów); było też pięciu braci: 56-letni Gregorio Chirivas i czterej inni, którzy nie skończyli jeszcze 25 lat. W domu purystów przebywał również brat Ramón Vall, który jako kucharz cieszył się pewną swobodą: zamieszkiwał we wspólnocie pijarów, a z więzionymi klaretynami mógł się spotykać przy wydawaniu posiłków.

6. W MIEJSKIM WIĘZIENIU

Kiedy trzej ojcowie klaretyni dotarli do więzienia, zostali zaprowadzeni przez ciemną klatkę schodową z nierównymi stopniami na trzecie piętro. Drzwi do celi były tak wąskie i niskie, że trzeba było się pochylić i wchodzić bokiem. Cella była prawie kwadratowa, szerokości około czterech metrów. Światło i powietrze wpadały tylko przez mały, podwójnie okratowany lufcik, wysoki na jakieś 30 cm, a szeroki na 15. Głęboko w dole pod tym okienkiem płynęła rzeka Rio Vero. Cella znajdowała się na tyłach więzienia, zbudowanego bezpośrednio przy ratuszu.

W pomieszczeniu o takich rozmiarach można było przetrzymywać niewielu więźniów; było to jakby tymczasowe miejsce odosobnienia dla tych, którzy mieli być odtransportowani do właściwego więzienia lub puszczeni wolno. W tym celu ten areszt zbudowano, ponieważ w normalnych warunkach nie przewidywano dużej liczby więźniów w tak małym mieście jak Barbastro. Kiedy jednak trzej ojcowie weszli do celi 20 lipca 1936 roku, była ona już dość zatłoczona. Niektórzy z więźniów byli im znani. Byli tam między innymi: dwaj kanonicy Félix Sanz i Mariano Sese, następnie prawniczy deputowany Moncasi, dalej Salvador Perrela Estaduti i jego syn Salvador Perrela Blasco (obaj byli taksówkarzami i prowadzili warsztat samochodowy i już w niedzielę po sumie w katedrze zostali aresztowani, ponieważ pełnili kierownicze funkcje w Akcji Katolickiej). Ponieważ pojawiali się ciągle nowi więźniowie, w małej celi musiało się w końcu pomieścić dwudziestu dwóch mężczyzn.

W pomieszczeniu nie było ani pryczy, ani krzeseł. W rogu za zasłoną stał kubeł na nieczystości; nietrudno się domyślić, jakim powietrzem musieli oddychać ludzie stłoczeni w tej dusznej celi. Więźniowie musieli spać na gołej podłodze, ponieważ nie było nawet sienników. Każdy miał co najwyżej koc, oczywiście jeżeli przyniósł go ze sobą z domu.

Uwięzieni musieli sami starać się o jakiegokolwiek pożywienie. Żywili się tylko tym, co przynieśli im lub przysłali krewni. O trzech klaretynów troszczył się brat Ramón Vall; regularnie przynosił im koszyk z jedzeniem, dostarczany do celi pod ścisłym nadzorem milicjantów. Kiedy otwierano drzwi i stawiano kosz na podłodze celi, porządku pilnował milicjant z wymierzoną w aresztantów bronią.

Kilka szczegółów, jakie znamy na temat warunków panujących w tej celi, zawdzięczamy wspomnieniom ówczesnego dozorczy więziennego i jednego z aresztantów, który chyba jako jedyny uszedł z życiem. Ale również to, o czym nie wspominali świadkowie, można sobie z łatwością wyobrazić. W celi panowała nieznośna duchota. Przez cały dzień letnie słońce nagrzewało dach nad celą i było gorąco jak w piecu. Małe okienko nie zapewniało dopływu świeżego powietrza. Zapach potu wielu mężczyzn, gnieźdzących się na małej powierzchni, dopełniał reszty. W nocy spali, leżąc na podłodze stłoczeni obok siebie niczym śledzie w beczce. O tym, jak mogło to wpływać na samopoczucie więźniów, można by na-

kręcić długometrażowy film fabularny.

Jak relacjonował później ów uratowany więzień, po jedzeniu trzej ojcowie klaretyni odmawiali brewiarz. Starali się nie zważać na panującą duchotę i nawet zrezygnowali z możliwości zaczerpnięcia świeżego powietrza przez okienko w celi. Podczas gdy inni więźniowie ustawiali się w kolejce do okienka, ojcowie, kiedy przychodziła ich kolej, pozostawali na swoich miejscach, aby mogli skorzystać wszyscy współwięźniowie. „Skromność klaretynów niech będzie znana wszystkim ludziom” - mówi reguła ich zakonu, o której nie zapomnieli nawet w tak niehumanitarnych warunkach.

Dużo się modlili. Zawsze co rano z ekstazą oddawali się modlitwie. Mimo dokuczliwej ciasnoty, potrafili zachować wewnętrzne skupienie. Z relacji świadka wiadomo, że czas spędzali chodząc po celi i odmawiając na palcach różaniec. Raz dziennie odmawiali różaniec również wspólnie z pozostałymi więźniami. Także dozorca więzienny przyznaje, że nie raz widział przez wziernik, jak modlili się w rogu celi.

Mimo że raczej nie włączali się do rozmów innych więźniów, nikt nie dopatrywał się w ich postawie wyniosłości czy arogancji. Sprawiali raczej wrażenie całkowicie oddanych kontemplacji i żarliwym modlitwom. Często spowiadali się wzajemnie. Spowiadali również innego uwięzionego księdza oraz deputowanego Moncasi.

Jeżeli rozmawiali ze współwięźniami, to po to, aby ich duchowo i moralnie umocnić. Nikt bowiem nie wiedział, jak długo będą więzieni i jak to się skończy. Również wiadomości, które otrzymali od później przybyłych więźniów, przynosiły mniej pewności niż wątpliwości, tak więc wszyscy nieustannie potrzebowali porzucenia.

Ojciec Leoncio Pérez widział sytuację w szerszej perspektywie: „Kościół był zawsze prześladowany, ale nigdy zwyciężony. To nie pierwszy raz my, zakonnicy, zostaliśmy wszystkiego pozbawieni. Jeżeli tylko zostawią nas przy życiu, wszystko z czasem wróci do normy”. Mimo tej szczerej ufności, ojciec administrator również się niepokoił. Myślał o drobnych oszczędnościach, które powierzyły mu pewne osoby i które w tym zamieszaniu zostaną stracone, a on nic na to nie może poradzić.

Dzień po dniu wypełniało się więzienie nowymi aresztantami, ponieważ komitet Barbastro musiał przetrzymywać także tych, którzy zostali przysłani z okolicznych wsi i miasteczek. Wkrótce liczba uwięzionych wzrosła do 350 osób. Każdy więzień został zarejestrowany i był przesłuchiwany przez komitet rewolucyjny. Nikt z „czarnej listy” nie mógł się wymknąć.

Dzień po aresztowaniu wezwano „do złożenia wyjaśnień” (co w języku komitetu oznaczało po prostu „na przesłuchanie”) również trzech ojców klaretynów. Zaprowadzono ich do położonego kilka kroków dalej ratusza.

Ojciec Leoncio Pérez pierwszy wrócił do więzienia. Sprawiał wrażenie zadowolonego i śmiał się głośno. Pozostali w celi chcieli natychmiast wiedzieć, jak przebiegło przesłuchanie. „O co was pytano, ojczyste?” „Gdzie ukryłem broń?”

„Wtedy wyciągnąłem z kieszeni różaniec i powiedziałem: To moja jedyna broń i nie chcę żadnej innej. Oni na to: »A więc to jest wasza broń, co?« Odpowiedziałem: Tak, innej nie mam. Zaczęli mnie oskarżać: »Dopuszciliście się wiele zła«. Każdy musi zdać rachunek z własnych czynów - odparłem - a jeśli o mnie chodzi, nie popełniłem żadnego przestępstwa. Wtedy sięgnęli po inny argument: »Nie o to chodzi, mamy na myśli pochodzenie klasowe«. W każdej grupie społecznej - kontynuowałem - mogą się znaleźć niegodne jednostki. I pośród nas także, chociaż oczywiście nie tak dużo jak w jakiegokolwiek innej...” I ojciec Perez długo jeszcze miał na twarzy natchniony uśmiech, uśmiech dany mu od Boga.

7. W SALI TEATRALNEJ PIJARÓW

Sala teatralna purystów ma zaledwie 25 metrów długości i tylko 6 metrów szerokości i znajduje się na niskim parterze. Jeżeli po przekroczeniu bramy zejdziesz się po kilku schodach na prawo, stanie się przed wejściem na salę. Wewnątrz sporo miejsca zajmuje nieco podwyższona scena, którą zamykają z przodu po lewej i prawej stronie kolumny. Pomiędzy obiema kolumnami rozciąga się mocno wygięty do góry łuk. Scena ma podłogę z desek, a widownia jest wyłożona jak zazwyczaj w Hiszpanii płytami kamiennymi. W ciągu dnia na scenę pada naturalne światło z jednego okna, które znajduje się na poziomie placu ratuszowego. W nocy można włączyć siedem elektrycznych lamp. Naprzeciwko okna znajduje się troje drzwi prowadzących na wewnętrzny dziedziniec. Wszystkie te drzwi były zamknięte w czasie uwięzienia klaretynów, którzy musieli wychodzić za potrzebą na podwórze przez drzwi wejściowe. Gdy chodzi o umeblowanie, sala była prawie pusta. Nie było żadnych sprzętów poza pianinem, kilkoma ławkami, jednym stołeczkiem i stołem na projektor.

Pijarzy oddali klaretynom wszystko, z czego mogli zrezygnować. Dwa materace sprężynowe, dziewięć zwykłych, dwa koce wełniane, dwie poduszki i siedem bawełnianych obrusów, które wykorzystywano wcześniej jako zasłony chroniące przed słońcem. Nie było to za dużo dla czterdziestu ośmiu dorosłych mężczyzn, ale była to jakaś pomoc, tak że przynajmniej ci, którzy czuli się gorzej, nie musieli spać na gołej podłodze.

W momencie aresztowania nie pozwolono im zabrać z seminarium żadnej pościeli ani koców.

Pierwszego wieczoru puryści przynieśli również skromną kolację do sali teatralnej. Niektórzy z więźniów byli tak zmęczeni, że nie mogli przełknąć ani kruszyny. Każdy szukał tylko miejsca do spania. Starsi i podupadli na zdrowiu otrzymali materace. Ponieważ były tylko dwie poduszki, trzeba było korzystać z nich na zmianę. Niektórzy mogli się owinąć w koce i zasłony, aby ochronić się przed porannym chłodem. Większość jednak spała po prostu na deskach sceny, pozostali zaś - na trybunie w tylnej części sali i na nielicznych znajdujących się tam ławkach.

Zaraz następnego dnia niemal wszyscy odczuwali skutki tych niewygód. O bólu pleców nawet nie trzeba mówić. Niektórych rozboleły również żołądki i brzuchy. Najgorzej poczuli się 23-letni student Esteban Casadevall i brat Gregorio Chirivas, który miał 56 lat i był najstarszy na sali. Esteban dzięki opiece współwięźniów szybko doszedł do siebie. W przypadku brata Gregorio sprawa była poważniejsza. Postarano się, aby dostał gorący rosół i by choć kilka nocy spędził w łóżku. Dzięki temu również on doszedł do siebie. Co więcej, nie korzystał z mate-

raców i poduszek, mimo że współbracia z uwagi na jego wiek - chętnie mu je odstępowali.

Szczególnie uciążliwe i trudne do zniesienia dla studentów było to, że całe ich życie toczyło się teraz na oczach ludzi, którzy byli do nich wrogo nastawieni. Całymi dniami, a zwłaszcza wieczorami, kiedy w sali paliło się światło, każdy z placu mógł obserwować, co się działo w sali teatralnej. Prawie nie było sposobu, aby uciec przed ciekawskimi spojrzzeniami, ponieważ tylko część sceny była niewidoczna. W oknach nie było zasłon ani żaluzji, a że czas uwięzienia przypadł na najcieplejsze dni hiszpańskiego lata, kiedy słońce mimo kontynentalnego klimatu grzeje bezlitośnie, w sali panowało gorąco prawie nie do wytrzymania. Nic dziwnego zatem, że klaretyni w swoich czarnych sutannach stale się pocili. Stale też odczuwali pragnienie. Na śniadanie przynoszono im w dzban

kadr wodę, aby mogli napełnić *botijos*, rozpowszechnione w Hiszpanii pojemniki, z których można wlać do ust strumień wody bez dotykania wargami krawędzi i w których woda, dzięki lekkiemu parowaniu, zachowuje przyjemną świeżość. Wystarczało to jednak co najwyżej na przepłukanie gardła, nie sposób zaś było ugasić pragnienie. Ale byli ludzie, którzy im żalowali nawet tej odrobiny wody. Kiedyś jakaś kobieta powiedziała ze złością do drugiej, która niosła wodę pitną dla więźniów: „Przynosisz im dobrą wodę? Trzeba im dać raczej zatrutą, żeby się szybciej wykończyli”.

Skoro takie problemy były z wodą do picia, to cóż mówić o wodzie do mycia czy do prania! Nikt nie zatroszczył się o to, by umożliwić więźniom jakiegokolwiek zabiegi higieniczne. Rewolucjoniści nie uważali tego za konieczne. Nie było mowy ani o zmianie bielizny, bo klaretynom nie pozwolono zabrać czegokolwiek z domu, ani o upraniu sztywnej od zasychającego potu odzieży. Łatwo sobie wyobrazić, jakie były tego skutki: u niektórych odparzenia, u wielu piekące zadrapania na skórze. Wszystkim zaś dawał się we znaki zaduch, który zamienił się w smród nie do wytrzymania. Jeden z pijarów zapisał w kronice swojego zgromadzenia, że kiedy zabrano ostatniego klaretyna, sala wymagała gruntownej dezynfekcji.

Do tych fizycznych obciążeń doszły udręki duchowe. Więźniowie żyli w stanie ciągłego napięcia wskutek zupełnej niewiedzy co do swojej przyszłości. Każdy szmer, każdy ruch strażnika, każde przejście człowieka po placu ratuszowym - wszelkie odgłosy z zewnątrz budziły strach, którego czarne cienie opadały powoli, lub nadzieję, która albo szybko ginęła, albo powoli się dopalała.

Ponieważ do pilnowania klaretynów oddelegowano różnych ludzi, panowało ciągłe zamieszanie i brakowało jednolitego planu działania. To, co jeden strażnik akceptował, mogło po kwadransie być kategorycznie zakazane przez innego, pod groźbą brutalnych kar i szykan.

W pierwszych dniach po uwięzieniu klaretyni dostawali do posiłków również trochę wina, jak to się powszechnie praktykuje w Hiszpanii. Niestety, dowiedział się o tym niejaki *Ropero* („Handlarz ubraniami”). Rozgniewany wylądował swoją złość na przełożonym pijarów: „Ojczy Ferrer, to nawet wino im dajecie?! Ja pracuję całymi dniami i nie mogę wypić szklanki wina!” *Ropero* oczywiście wie-

dział, że swoje pretensje skierował pod zły adres. Udał się zatem do komitetu rewolucyjnego i tam znalazł posłuch. Zapadła oficjalna decyzja: żaden z więźniów nie będzie już dostawał wina. Później okazało się, że egzekwowano to tylko w przypadku klaretynów więzionych w sali teatralnej. Do jedzenia klaretyni otrzymywali niepokrojony chleb, którego w Hiszpanii nie powinno zabraknąć przy żadnym posiłku. Mogli go pokroić i rozdzielić za pomocą kilku noży, które im przyniesiono. Jeden ze strażników kazał jednak zabrać „wszystko, co może służyć jako broń”, jak się wyraził, „łącznie ze szpilkami”.

O ile to polecenie da się wytłumaczyć jako środek ostrożności, to tylko bezgraniczna nienawiść do wszystkiego, co ma związek z religią, mogła być powodem tego, że niektórzy strażnicy nie pozwalali więźniom modlić się. Kiedy klaretyni przekazywali sobie z rąk do rąk nieliczne książki modlitewne, aby możliwie najwięcej modlitw, poza tymi wyuczonymi na pamięć, zaniósło ich życzenia do Boga, zawsze wtedy wkraczali do sali wściekli anarchiści z rozkazem: „Zamykać książki! „Więźniowie bez sprzeciwu wykonywali polecenie i czekali na zmianę warty, z nadzieją, że kolejni strażnicy okażą się bardziej tolerancyjni. Wśród funkcjonariuszy byli tacy, którzy starali się zachowywać poprawnie wobec więźniów. Ale byli też tacy, którzy nie przepuścili żadnej okazji, aby zranić ich uczucia religijne obraźliwymi uwagami, złośliwymi szykanami i urągającymi Bogu przekleństwami.

„Czerwoni” gwardziści często urządzali w sali zainscenizowane rozstrzelania, co stanowiło duchową udrękę trudną do zniesienia. Więźniów stawiano pod ścianą, a milicjanci składali się do strzału. Były to chwile pełne trwogi, które tak opisuje uwolniony później argentyński student Atilio Parussini: „Co najmniej cztery razy odpuszczaliśmy sobie grzechy, wierząc, że stoimy w obliczu śmierci. Pewnego dnia staliśmy prawie godzinę bez ruchu, oczekując w milczeniu odgłosu wystrzału. Koszmar! W takich chwilach cierpienie jest największe. Minuty ciągną się wtedy bez końca i każdy pragnie, aby karabinowa salwa przerwała wreszcie tę przerażającą zabawę ze śmiercią; zabawę, która kończyła się ostatecznie bluźniącym przekleństwem i sarkastycznym śmiechem okrutnego czerwonego gwardzisty”.

Prawie codziennie grożono nowymi terminami egzekucji: „Dzisiaj w nocy...”, „Jutro was zniszczymy”. Albo: „To wasz ostatni posiłek”. Wypowiedzi gwardzistów świadczyły o tym, że nie mają najmniejszego pojęcia o życiu w religijnej wspólnoty: „Zabijemy was, żebyście przynajmniej raz dotrzymali waszych ślubów”. Strażnicy nie rozumieli, że klaretyni - tak samo jak wszyscy zakonnicy - właśnie to robili przez cały czas. Dla wrogów Kościoła rzeczą niepojętą była wierność ślubom posuszeństwa, ubóstwa, a zwłaszcza ślubowi czystości. Stąd brały się najróżniejsze podejrzenia i domysły, i to one były zapewne powodem szczególnej prowokacji, którą urządzili strażnicy. Otóż w pierwszych dniach więzienia klaretynów w teatrze zaczęły ich nachodzić kobiety lekkich obyczajów. Na rozkaz komitetu rewolucyjnego kilka przedstawicielek „najstarszego zawodu świata” zgłosiło się do szpitala wojskowego, gdzie przebywali dwaj chorzy seminarzyści, Atanasio

Vidaurreta i Jaime Falgarona. prostytutki chciały się zatrudnić jako pielęgniarki. Główny lekarz szpitala obawiał się, że te niechciane pomocnice nie tylko nie odciążą personelu, a wręcz spowodują spore zamieszanie. Z dużym trudem udało mu się wreszcie przekonać komitet rewolucyjny, że kobiety tego pokroju nie są najważniejszą „kadrą” w szpitalu, którego pacjenci w większości byli młodymi ludźmi.

Ale co wobec tego można było zrobić z tym kobiecym „potencjałem rewolucyjnym”? Jakie zadanie w służbie rewolucji można było zlecić tej jakże specyficznej grupie „ochotniczek”? Komitet rewolucyjny posłał je w końcu do kolegium purystów. Miały tam pomagać przy wydawaniu jedzenia. To oczywiście, że pracy nie było wiele, dużo natomiast było wolnego czasu. Wydelegowane panie, wyraźnie pod wpływem nastrojów antykościelnych i gorącej atmosfery zaczynającej się wojny domowej, postanowiły wykorzystać całe swoje „doświadczenie zawodowe”, aby uwieść młodych klaretynów. Różne, częściowo niemal sprzeczne motywy mogły je utwierdzić w tym postanowieniu: z jednej strony szeroko rozpowszechniona kalumnia, że śluby czystości zakonników i księży to czysta fantazja, z drugiej posmak dokonania czegoś niezwykłego, czyli skuszenie do grzechu osoby duchownej. Wśród prostytutek zaczęła się niemal rywalizacja o to, która jako pierwsza uwiedzie księdza.

Dwie siostry, prostytutki z domu publicznego w Barbastro, nie chciały brać w tym udziału i nie poszły do sali teatralnej. Inne, z tego samego domu rozpusty, były na to gotowe... Trudno dokładnie opisać przebieg wydarzeń. Relacje świadków nie zawierają zbyt wielu szczegółów. Oto, co mówi na ten temat argentyński student Pablo Hall: „Nasyłali na nas kobiety publiczne, które szdyziły z nas i obrażały nas”. Jesús Quibus tak streszcza usłyszane wypowiedzi: „Nie zabrakło również najbardziej wyuzdanego i ordynarnego kuszenia. Na salę weszły kobiety, które rzekomo miały usługiwać więźniom. Były wśród nich prostytutki, ale nawet te, które nimi nie były, zachowywały się wyzywająco. Wykonywały perwersyjne gesty, które mogłyby wzburzyć zmysły anachorety. Uwodzicielsko podchodziły do seminarzystów, ciągnęły ich za sutanny, aby zwrócić na siebie uwagę...”

Inny świadek relacjonuje, że niektóre kobiety już wcześniej upatrzyły sobie studentów, których potem zadreślały zalotami. Świadkowie wspominają również, że prostytutki z Barcelony i Barbastro oraz milicjantki bezwstydnie kręciły się wśród klaretynów w czasie sjeisty i nawet w nocy. Niektóre z nich pokazywały się nago, i to nie raz, aby sprawdzić, czy misjonarze pozostaną wierni swoim przekonaniom.

Bezskuteczność ich wysiłków musiała bardzo je zmartwić. Wielu świadków potwierdza, że żaden z klaretynów nie uległ pokuszeniu. Jeden ze strażników relacjonował później: „Kobiety były wyraźnie rozłoszczone tym, że żaden nie dał się uwieść. I ponieważ nie mogły ścierpieć okazywanej przez klaretynów cnotliwości i wstrzeźliwości, zaczęły się zachowywać agresywnie, obrzucając swoje ofiary niewybrednymi obelgami. Koledzy z oddziału wartowniczego opowiadali mi, że podczas mojej nieobecności przyszło trzech milicjantów w towarzystwie pięciu

bezwstydnym kobiet. Weszli do sali i zapowiedzieli misjonarzom: »Kto chce ocalić życie, ma prosty wybór. Wyjdźcie z tymi kobietami i idźcie walczyć na front w obronie ludu! W przeciwnym razie zginiecie«,.

Trwało to cały tydzień. W końcu pojawiły się groźby użycia siły. Zapowiedziano, że przyjdzie więcej kobiet. „Jeżeli będziecie się opierać, rozstrzelamy was wszystkich na miejscu!” Młodzi klaretyni nic nie odpowiadali. Kiedy jednak zostawiono ich samych, postanowili się naradzić, co powinni robić w takiej sytuacji. W żadnym wypadku nie chcieli się poddawać, nawet gdyby miało to ich kosztować życie. Kobietom postanowili nie okazywać wrogości, uznawszy - całkiem słusznie - że one same dały się omamić i „nie wiedzą, co czynią”. Pozostało więc tylko jedno wyjście, jeżeli rozpocznie się atak na ich niewinność: zawołanie *Viva Cristo Rey!* - „Niech żyje Chrystus Król!” Misjonarzom surowo zakazano wypowiadania wszelkich religijnych zwrotów i nic bardziej nie rozsierdziłoby milicjantów jak uznanie Chrystusa za Króla. Na pewno sięgnęliby natychmiast po broń i rozstrzelaliby misjonarzy, zanim jeszcze kobiety stałyby się niebezpieczne. Do tego jednak nie doszło. Tak sytuację tę relacjonował brat Pablo Hall w liście do ojca Ramóna Ribery, który był mistrzem nowicjatu większości męczenników z Barbastro:

Komuniści grożą, że aby nas złamać, poddadzą nas najcięższemu próbowi. Nas jednak chroni Serce Naszej Matki i Pan Bóg nie pozwoli, abyśmy byli poddani takiej próbie. Umówiliśmy się już, że będziemy się bronić tak jak potrafimy, i wiemy, że nas ze złości pozabijają, ponieważ powiedzieli nam, że jeśli ubliżymy tym kobietom i będziemy im się opierać, pozabijają nas wszystkich od razu, na miejscu, w naszym więzieniu.

W szczególny sposób próbowano „zachęcić” 23-letniego studenta Estebana Casadevalla. Opowiada o tym ojciec purysta, Eusebio Ferrer: „Dziewczyny pracujące u nas w kuchni przyszły do sali, aby ich prowokować. Wyróżniła się wśród nich zwłaszcza jedna, nazywana *Trini la Pallaresa*. Była najbardziej bezwstydną i posunęła się do tego, że kładła się obok śpiących na scenie seminarzystów. Co ciekawe, owa *Trini* zupełnie oszalała na punkcie jednego z seminarzystów, który przypominał wyglądem słynnego amanta filmowego Rudolfa Valentino. O swoim zauroczeniu powiedziała mi ona sama”.

Według relacji świadków, *Trini*, dziewczyna bardzo ładna, pochodziła z Barbastro. W dzieciństwie zaznała nędzy. Jej matka pracowała w rzeźni i czyściła owcze kiszki. Nie jest pewne, czy *Trini* była prostytutką, w każdym razie nie pracowała w żadnym domu publicznym. Mieszkała niedaleko klaretynów. W czasie strajków i demonstracji anarchistycznych jeździła na koniu i machała flagą republiki. Jej brat za swoje zaangażowanie w ruch anarchistyczny został później rozstrzelany.

O dziewczynie nazywanej *Trini* wspomina również w swojej relacji Pablo Hall: „Do naszego więzienia przyszły pewnego popołudnia bardzo młode kobiety lekkich obyczajów i molestowały nas. Jedna z nich obserwowała stale studenta Casadevalla. Później zwróciła się do nas i zaczęła mówić o tym studencie, przy

czym pod płaszczykiem fałszywego współczucia i litości skrywała targające nią namiętności. Powiedziała, że to byłaby wielka szkoda, gdyby dał się zabić tylko dlatego, że od dziecka wmawiano mu, że ma zostać księdzem. A to taki piękny chłopiec, więc ona postara się zrobić wszystko, co możliwe, aby uratować go od śmierci. Gdyby tylko mogła z nim porozmawiać, wytłumaczyłaby mu, że go oszukiwano. W tym celu wykorzysta moment, kiedy będzie wychodził z sali (to znaczy wtedy, gdy będzie wychodził za potrzebą). Dlatego, aby uniknąć tego niebezpieczeństwa, zawsze któryś z nas towarzyszył mu (na co pozwolili komuniści). Tak więc Casadevall zachował przykłądną i budującą czystość, a jego wiara w najmniejszym stopniu nie uległa zachwianiu”.

A w innym miejscu dodaje: „Casadevall zwierzył mi się, że przepelnia go ufność w opiekę Serca Naszej Matki Niebieskiej i wiara w łaskę doświadczenia męczeństwa, kiedy jego cnota zostanie wystawiona na próbę. Ponieważ jest zdecydowany bronić się, będzie wołać: »Niech żyje Chrystus Król!«, co na pewno skończy się męczeńską śmiercią”. Postawa młodych klaretynów odbiegała od tego, czego spodziewali się rewolucjoniści. Stało się to widoczne już pierwszego dnia. Dwudziestodwuletni brat Alfonso Miquel - który został klaretynem w wieku siedemnastu lat i zanim przyjechał do Barbastro, pracował w pracowni krawieckiej, w kuchni, w zakładzie szewskim w Cervera i jako ogrodnik w Alagón - otrzymał zadanie przyniesienia żywności z domu klaretynów do purystów. Jeden z milicjantów zapytał go: „Dlaczego nie pójdziesz razem z nami na wojnę? Rozdajemy broń”. Brat Alfonso nie skorzystał z tej propozycji. Powrócił do współbraci więzionych w sali teatralnej.

Jeden z milicjantów z Katalonii usłyszał podczas odczytywania listy więźniów nazwisko: Torras Sais. Podszedł do seminarzystów i zapytał: „Który z was to Torras?” „Ja” - odpowiedział najmłodszy z klaretynów. „Skąd jesteś?” „Z Sant Marti Vell, wioski spod Gerony.” „Ja również.” „Ty?” „Z jakiej rodziny?” „Can Bordes.” „Jeśli chcesz, możesz iść wolno. Nikt nie wie, czy jest was trzydziestu, czy czterdziestu.” „Czy możemy wszyscy odejść wolno?” „Nie, to by mnie kosztowało głowę.” Manuel Torras pozostał w sali teatralnej. Milicjant z Katalonii opowiedział później o tym zdarzeniu.

Podobna sytuacja przytrafiła się również 24-letniemu studentowi Salvadorowi Pigem. Pewnego dnia jeden z milicjantów zapytał go: „Nazywasz się Salvador Pigem?” Młody klaretyn był zaskoczony: „Dlaczego pan pyta?” „Kiedy pracowałem jako kucharz w Hotel del Centro w Geronie - wyjaśnił funkcjonariusz - poznałem siostrzeńca właściciela, młodego chłopca, który powtarzał, że chce być księdzem. Ten chłopiec wyglądał tak jak ty.” Salvador Pigem pochodził z Vilobi d'Onyar i miał rodzinę w Geronie. „Posłuchaj - mówił dalej milicjant - jeśli chcesz, ocalę cię przed śmiercią.” „Czy uratuje pan również moich towarzyszy?” - zapytał Salvador. „Nie, tylko ciebie.” „Jeśli tak - odparł student - nie skorzystam z tej propozycji; wołę umrzeć z innymi jako męczennik.”

Dwanaście lat minęło od chwili, kiedy kucharz Vctor natrząsał się z małego Salvadora w Geronie, gdy ten oświadczył, że chce zostać księdzem. Kucharz

zartował, że będzie kiedyś całował Salvadora w rękę, ponieważ „zostanie jeszcze biskupem”. Od tamtej pory Salvador rozwinął się pod każdym względem. Był wyróżniającym się studentem i dobrym kolegą; chętnie pomagał tym, którzy nie rozumieli czegoś na wykładzie. Nauka przychodziła mu z łatwością, toteż mógł sobie pozwolić na to, aby codziennie grać na pianinie. Poza tym miał jeszcze czas na pisanie. Pod pseudonimem *Vilonyar* opublikował już artykuł dla czasopisma *La Fiesta Santificada*, które wydawał ojciec Luis Ribera w Cervera. Nie krył on swego zachwytu dla pisarskich umiejętności studenta i chciał go uczynić swoim uczniem i następcą.

Salvador Pigem spodziewał się nadejścia ciężkich czasów. Ale potrafił również nadać właściwy sens swoim przemyśleniom, o czym świadczy jego list do rodziców z marca 1936 roku:

Kiedy spacerujemy po Barbastro, mijający nas ludzie zwracają się do nas obraźliwie: „klechy”. (...) Wydaje im się, że wyrządzą nam krzywdę, szycząc z nas; ale w żadnym przypadku nie mają racji. Już przed wieloma wiekami mówił dobry Jezus, że będą nas prześladować. I dlatego jesteśmy na to przygotowani. W Ewangelii świętego Jana jest napisane: „Jeśli świat was nienawidzi, wiedźcie, że Mnie pierwaj znenawidził. Gdybyście byli ze świata, świat by was kochał jako swoją własność. Ale ponieważ nie jesteście ze świata, bo Ja was sobie wybrałem ze świata, dlatego was świat nienawidzi”. Jezus powiedział także: „Owszem, nadchodzi godzina, w której każdy, kto was zabije, będzie sądził, że oddaje cześć Bogu. (...) Ale powiedziałem wam o tych rzeczach, abyście, gdy nadejdzie ich godzina, pamiętali o nich, że Ja wam to powiedziałem”.

Dzięki swojej wierze i bezgranicznemu zaufaniu Bogu Salvador Pigem mógł świadomie odrzucić kuszącą propozycję byłego kucharza hotelowego.

Młodzi klaretyni zamknięci w sali teatralnej okazywali solidarność nie tylko sobie nawzajem, ale również innym ludziom. Kiedy proponowano im pomoc, odmawiali, nie chcąc kogokolwiek narażać na niebezpieczeństwo. Pewna kobieta z Barbastro, która jako jedenastoletnia dziewczynka widziała uwięzienie klaretynów, opowiada o tym, jak ponownie ich widziała za oknem sali teatralnej: „Moja siostra pracowała jako szwaczka w mieście. Matka bała się, ponieważ siostra była starsza ode mnie i wyglądała bardzo dojrzała jak na swój wiek... Przyniosłam jej wiadomość, że nie powinna przychodzić na noc do domu, ponieważ rodzina mieszkała w stróżówce klasztoru Klarysek, a klasztor był co noc niepokoiony przez milicjantów, którzy przychodzili z położonej w sąsiedztwie knajpy. Kiedy szłam znowu do siostry, było bardzo gorąco. Była czwarta po południu. Gdy szłam przez Calle del Palacio i przechodziłam przez plac ratuszowy, słyszałam odgłosy dochodzące z sali teatralnej purystów. Podeszłam więc do okna. Na placu nie było nikogo, również pusto było na Calle Mayor. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że okratowane okno sali teatralnej purystów było otwarte. Nachyliłam się, a wtedy podszedł do mnie pewien młody misjonarz w sutannie i zapytał, czy jestem z Barbastro. »Tak« - odpowiedziałam. Wtedy zamilkł. »Dlaczego mnie zapytaliście? Chcecie czegoś?« Zawahał się. Nie chciał narażać mnie na niebezpieczeństwo. Zapytałam,

czy potrzebny mu ołówek. »Nie, nie - odpowiedział - jeśli cię zobaczą, mogą ci zrobić coś złego«,.

W tamtych strasznych czasach sutanna była znakiem - zarówno dla tych, którzy ją nosili, jak i dla ich prześladowców. Noszenie jej było przyznaniem się do stanu duchownego lub przynależności do zakonu. Ludzie w sutannach często narażeni byli na szykany. Dowodziło to jednak, że nie prześladowano ich za popelnienie jakiegoś przewinienia, ale za to, kim byli i kim być chcieli: oddanymi Bogu sługami Kościoła. Gdyby zechcieli być tacy jak inni w owych czasach, wszystkie drogi stałyby przed nimi otworem. Jeśliby zrzucili sutanny, odwiesili je na kołku, aby uniknąć śmierci, to tak jakby pożegnali się z życiem - bo powołanie do służby Bogu i bliźnim stanowiło treść ich życia. Odrzucenie sutanny oznaczałoby sprzeniewierzenie się temu, co było dla nich najważniejsze. Tę postawę jasno wyraził Pablo Hall w swoim liście:

Uważamy się za szczęśliwych, skoro możemy cierpieć w imię Boże. Oni przecież chcą nas zabić tylko dlatego, że jesteśmy zakonnikami, księżmi lub kandydatami na księży. Komuniści powiedzieli nam wprost: „Nienawidzimy was nie jako ludzi. Nienawidzimy waszego powołania, waszych czarnych habitów, sutann, tych wstrętnych łachów. Zrzućcie z siebie te szmaty, a staniecie się tacy jak my i puścimy was wolno. (...) Pozabijamy was wszystkich w sutannach, aby pogrzebać te lachy razem z tymi, którzy je noszą”.

Skąd klaretyni brali siłę, aby znosić cierpienia i trudy uwięzienia, a przy tym zachować tyle spokoju, o którym tak często wspominali świadkowie? Pewien żołnierz, który na początku sierpnia 1936 roku przez dwa dni ich pilnował, a później sam został księdzem, w ten sposób opisał swoje wrażenia: „Godne uwagi było opanowanie, które wszyscy okazywali na co dzień. Ten ich spokój mnie poruszył. Mój ojciec był wtedy więziony w Senie, a ja byłem poszukiwany. Tym większe wrażenie wywarła na mnie ich odwaga. I we mnie wstąpił wówczas duch walki i zmalał strach. Za każdym razem, gdy to było możliwe,

zaglądałem przez dziurkę od klucza, aby ich obserwować i ich przykład dawał mi siłę. Nie znam nikogo, kto mógłby wyobrazić sobie, w jakim strachu i przerażeniu żyli wtedy wszyscy w Barbastro. (...) Milicjanci zagląдали przez okno. Mierzyli do misjonarzy z broni i grozili, że ich pozabijają. Misjonarze pozostawali jednak nieustraszeni i spokojni. (...) Nie raz musiałem odganiać ludzi, którzy chcieli wdrzeć się do środka, aby ubliżyć więźniom i naśmiewać się z nich”.

Ten sam świadek próbuje dociec, skąd klaretyni czerpali ten nadzwyczajny spokój: „Stali razem w małych grupkach. Z odgłosów można było wywnioskować, że odmawiają różaniec. Jeden z księży prowadził modlitwę, a pozostali mu odpowiadali. Po modlitwie chodzili spokojnie po sali, zawsze po trzech”.

Rzeczywiście, kontakt z Bogiem, tak mocno wyczuwalny dzięki modlitwie, stanowił dla nich źródło niezwykłej siły. W więzieniu modlili się według tego samego porządku dnia, który obowiązywał ich w seminarium.

„Między 11 przed południem a 12 odmawialiśmy zwyczajowe *Preces*, jeśli w każdej z małych grupek był ktoś, kto znał je na pamięć. Jeśli nie było w grupie

nikogo pamiętającego tekst tej modlitwy, zastępowaliśmy ją różańcem. Potem było *crystanie duchowe*. Siadaliśmy razem w szeregu pod ścianą i po cichu, aby komuniści nie domyślili się, co się dzieje, czytaliśmy *Oficjum*, ewentualnie fragmenty związane z męczeństwem lub poświęcone poszczególnym świętym, jak na przykład w dniu świętego Wawrzyńca - *Oficjum Świętych*. Po południu zmagaliśmy wspólny różaniec w małych grupkach.”

Do wspólnych modlitw, opisanych przez Pabla Halla, doszły modlitwy indywidualne. „Każdy z nas modlił się bardzo dużo sam lub z jednym czy dwoma kolegami; przede wszystkim zmagaliśmy różaniec. Wielu odmawiało różaniec codziennie 25, a nawet 30 razy, ale korzystaliśmy też z innych form modlitwy, oddawaliśmy się lekturze duchowej i prowadziliśmy pobożne rozmowy.”

Zwolniony później argentyński student Atilio Parussini zawarł w swoich notatkach wiele ciekawych informacji o życiu religijnym niektórych spośród uwięzionych klaretynów. Atilio zamierzał wykorzystać swoje zapiski do sporządzenia wyczerpującej relacji; niestety, nagła śmierć 11 marca 1938 roku przeszkodziła mu w tym. Oto kilka zanotowanych przez Parussiniego uwag: „Student Echami bardzo długo pogrążony jest w medytacji nad różańcem”; „Student Illa odmawia brewiarz jak w klasztorze”; „Studenci Ruiz, Codina i Rippol postanowili odmawiać różaniec tyle razy, ile tylko zdołają”; „Student Blasco modli się dużo”; „Brat Castan odmawia Koronę Dwunastu Gwiazd Świętej Marii”; „Codziennie modlimy się za wszystkich Hiszpanów, za grzeszników, za naszych prześladowców (...) i za czciogodnego ojca generała prowincjała”.

Przytoczone wypowiedzi wyraźnie dowodzą, że wszelkie wycuczone na pamięć modlitwy, oparte na określonych regułach, mają nieocenioną wartość w ekstremalnych okolicznościach, kiedy człowiek często nie ma siły, aby swoje cierpienia i pragnienia wyrazić własnymi słowami. Szczególnie różaniec okazuje się wtedy bardzo pomocny, ponieważ niezauważalnie prowadzi on modlącego się od wypowiedzianych słów do rozmyślań nad tajemnicą Jezusa Chrystusa i pomaga zagłębić się w Chrystusie, połączyć się z Jego życiem, cierpieniem i zmartwychwstaniem, wręcz wejść w Chrystusa i znaleźć w Nim siłę do walki z wszelkimi zagrożeniami.

Siłę i odwagę czerpali uwięzieni klaretyni również ze wspólnie śpiewanych pieśni. Z zachowaniem ostrożności, tak by strażnicy nie mogli usłyszeć, śpiewali cicho w małych grupkach. Najczęściej śpiewali słynną już pieśń *Jesús, ya sabes*:

*Jezu, Ty wiesz przecież,
że jestem Twoim wojownikiem. Zawsze po Twojej stronie będę walczyć,
zawsze z Tobą aż do śmierci:
Pod Twoim sztandarem
i za Twoje ideały. A jakież to ideały? Za Ciebie, Mój Królu, przelać krew.
Gdy na mojej drodze nikczemne zastępy
do odwrotu chat mnie zmusić: Do odwrotu! Do odwrotu!
Kiedy do mnie strzelają, raniąc mnie kulami,
Twoje ideały skrzydeł mi dodadzą. A jakież to ideały?*

*Za Ciebie, Mój Królu, przelać krew.
Panienka Maryja, Królowa Niebieska,
będzie mym słodkim pocieszeniem, gdy w walce
padnie Twój wierny wojownik niezłomnie oddany swym ideałom.
A jakież to ideały?
Za Ciebie, Mój Królu, przelać krew.*

Język i symbolika tej pieśni dzisiaj mogą nam się wydawać obce. W czasach, kiedy pokój uważany jest za największą wartość, taki wojowniczy ton wydaje się nie na miejscu. Mówienie o ideałach w naszych czasach, kiedy tak wiele ideałów upadło, sprawia wrażenie fanatycznego zaciętrzewienia kojarzonego z postawami niechęci wobec wszelkiego kompromisu. Ale po chwili zastanowienia słowa pieśni ujawniają głębszy sens: chodzi o duchową walkę z siłami zła, obecnego w naszym świecie pod wieloma postaciami. W tej walce uczestniczy każdy chrześcijanin: w walce ze złem, które każdy w sobie nosi, w walce ze złymi strukturami naszego świata, które krzywdzą ludzi, zwodzą ich, wręcz zmuszają do czynienia zła, i pod wpływem których ludzie stają się źli... W tej walce rzeczywiście nie ma miejsca na obojętność i uległość.

Żołnierz Chrystusowy nie walczy z użyciem śmiertelnej broni. Postępuje zgodnie z życzeniem Jezusa, „aby mieć w sobie życie w pełni”. Wie jednak, że jego przeciwnicy w walce nie przebierają w środkach. Odpowiedzią sił zła są często karabinowe kule. Męczennicy z Barbastro wiedzieli doskonale, do jakiego boju przyszło im stanąć. Nie zamierzali walczyć ze swymi przeciwnikami za pomocą broni, bo w ten sposób sprzeniewierzyliby się prawdziwym ideałom królestwa Bożego.

Podobna myśl przyświeca również innej pieśni, którą chętnie śpiewali:

*Mocnym głosem i zdecydowanym spojrzeniem wobec świata pozwól nam
wyśpiewać naszą wiarę; Kościół Chrystusa, Boga, jest naszą matką triumfalną
Król Rzymski jest naszym ojcem: Wolimy śmierć niż z nimi rozstanie.
Wierny i szlachetny ludu Hiszpanii, pozostań wierny temu zawołaniu:
Choćby piekło zawrzało i szatan przeklinał z wściekłości, wiara Hiszpanów
nigdy nie zaginie.*

Ta pieśń może się komuś wydać zanadto triumfalna, i n pewno tak ją rozumiano i w takim tonie śpiewano. Jednak w ustach męczenników na pewno tak nie brzmiała. Dla nich piekielne jęki i diabelskie wrzaski nie były poetycką metaforą, lecz realnym zagrożeniem. Oni wiedzieli, że wielu Hiszpanów wyrzekło się swojej wiary. Trzeba było wielkiej ufności w Boga, aby w ich położeniu śpiewać: „Wiara Hiszpanów nigdy nie zaginie”.

Trzecia często śpiewana pieśń była skierowana do Maryi, która dla klaretynów jest wzorem do naśladowania:

*O Mario, błogosławiona Gwiazdo Poranna, zaprowadziłaś okręt do portu,
a żeglarz ze łzami w oczach rzucił Ci się do stóp.*

*Każde uderzenie mojego serca po tysiąc razy
dla Ciebie wyraża mą wdzięczność.*

*Dla Ciebie pulsuje ma chrześcijańska krew,
dla Ciebie pulsuje niczym rozgrzana lawa. Umrę, kiedy będzie trzeba,
rycie oddam za mną Królowa i mojego Boga.*

*Będę walczył, walczył aż do śmierci,
do końca pod Twymi sztandarami.*

*Spraw, o Matko, abym w tej krwawej walce w Twoim imieniu zwyciężył lub
poległ.*

Centralnym punktem życia religijnego uwięzionych klaretynów była Eucharystia. Już pierwszego wieczoru udało się więźniom porozmawiać o tym z rektorem purystów, co relacjonuje Pablo Hall: „Ponieważ z góry wiedzieliśmy, że zabronią nam przyjmować komunię, poprosiliśmy pijarów, aby, o ile to możliwe, przynieśli potajemnie poświęconą hostię, abyśmy mogli codziennie przyjmować komunię w czasie naszego uwięzienia. Rzeczywiście udało się im przynieść nam poświęconą hostię, którą podzieliliśmy między siebie, bardzo uważając, by obserwujący nas stale strażnicy niczego się nie domyślili. Zachowaliśmy też kawałeczki hostii na dzień następny. Dzięki księdzu rektorowi, który sam przynosił nam hostie lub późno wieczorem przysyłał przez brata Ramóna Valla (któremu pozwolono gotować dla nas w kuchni purystów), mogliśmy (czasami tylko niektórzy, a czasami podczas rozdawania chleba na śniadanie nawet wszyscy) przyjmować komunię do 26 lipca; to był bowiem ostatni dzień, kiedy mogliśmy przyjąć Najświętszy Sakrament”.

Ciągła obecność Pana w Chlebie Eucharystycznym miała wpływ na atmosferę w sali teatralnej, która zamieniła się w ten sposób w kaplicę modlitewną. Niemniej jednak należało zachować daleko posuniętą ostrożność, aby nie zwrócić uwagi strażników i uniknąć wielkiego niebezpieczeństwa. Tak opisuje tę sytuację Pablo Hall: „Nie da się opisać, z jaką czcią niektórzy ze współbraci, którzy nie mieli szczęścia otrzymać poświęconej hostii na przechowanie, podchodzili do mnie i starali się być jak najbliżej mnie, ponieważ ja miałem nieopisane szczęście w ciągu pierwszych dni więzienia nosić na piersiach Naszego Pana pod postacią Eucharystii. Udało nam się więc ocalić słodką bliskość Jezusa, co czyniło z nas wspólnotę podobną do tych z czasów pierwszych chrześcijan. Należy dodać, że to samo miało miejsce w innych grupach i że dzięki temu mogliśmy nieustannie adorować Pana Jezusa”.

Pablo Hall, ocalały świadek wydarzeń, zaświadcza, jaką wartość miało dla klaretynów ostatnie świadectwo: „Wszyscy z mojego otoczenia zostali uznani godnymi, aby przelać krew za to, co ukochali, podczas gdy ja oplakuję mój smutny los; modłę się jednak i wierzę, że spełni się to, co mi obiecali moi towarzysze przed śmiercią: że oni wypełnią plany Boskiej Opatrzności i w ten sposób spowo-

dują, że tak jak oni otrzymam łaskę przelania krwi pod koniec życia”.

Rzeczywiście 26 lipca był ostatnim dniem, kiedy klaretyni przyjęli komunię w sali teatralnej purystów. Dnia 23 lipca aresztowano benedyktynów z El Pueyo i biskupa, a od 25 lipy i pijarom zakazano odprawiania mszy. Dbali oni jednak w dalszym ciągu o możliwość udzielania komunii, ponieważ wcześniej wynieśli hostię w kuferkach i ukryli w różnych miejscach sali gimnastycznej w szkole. Podczas komunii łamali hostię na mniejsze kawałki, aby wystarczyło na jak najdłużej.

Od 26 lipca klaretynom pozostała jedynie możliwość duchowej komunii. Opierali się przy tym na krótkiej modlitwie z modlitewnika klaretynów *Camino recto*. Dzięki temu w dalszym ciągu czuli krzepiącą obecność Boga wśród nich.

8. DANINA KRWI DLA KOLUMN ANARCHISTÓW

Obok regularnej armii i pospiesznie organizowanych oddziałów milicji, na linię frontu po stronie hiszpańskiej republiki ciągnęły jednostki zbrojne zorganizowane przez różnorodne ugrupowania. Należały do nich kolumny imienia legendarnego anarchisty Durrutiego, które wyruszyły z Barcelony do Aragonii. Na początku wojny linia frontu biegła na wschód od miasta Huesca - więc niedaleko na zachód od Barbastro - i stamtąd na południe w kierunku Saragossy.

Anarchistyczne kolumny stanowiły barwną zbieraninę właściwych anarchistów, socjalistów i komunistów. Dołączyły do nich również liczne prostytutki z zaułków Barcelony. Dnia 23 lipca kolumny zajęły miasto Cervera, z którego dwa dni wcześniej ewakuowała się grupa stu klaretynów. Następnego dnia dotarli do Leridy. Tam podzielili się na różne grupy. Durruti zawrócił wzdłuż rzeki Ebro w kierunku Saragossy, kiedy natknął się na nieoczekiwany opór pod Caspe. Kolumna Francisca Ascaso wyruszyła natomiast na północny zachód przez Monzón do Barbastro. Dowodzący tą kolumną był anarchosyndykalista.

Anarchistyczne oddziały siały strach i przerażenie. W imieniu „władzy ludu” bezwzględni żołdacy palili kościoły, rabowali i dokonywali konfiskat. W Lerdzie spalili katedrę. W Monzón wdarli się do więzienia i rozstrzelali więźniów, których uznali za faszystów.

Przyczyna tego brutalnego postępowania tkwi chyba w tym, że do kolumn prócz zdeklarowanych idealistów przyłączali się również pozbawieni sumień kryminaliści i recydywiści. Dołączało do nich także wielu młodych ludzi, którzy niewiele mieli do powiedzenia w kwestiach ideologicznych, a satysfakcję sprawiało im dopuszczanie się gwałtów. Przywódcy nie próbowali w niczym powstrzymać tych działań. Walka z Kościołem była ich zdaniem częścią walki o wolność „republikańskiej ojczyzny”. Poza tym wiedzieli doskonale, że ich „wojownicy” potrzebują sukcesów, które dodadzą im potrzebnej odwagi i będą zachętą do ciężkiej walki na froncie z batalionami dowodzonych przez Franco nacjonalistów.

Co by się stało, gdyby te kolumny wkroczyły do Barbastro? Wszakże u bram miasteczka stały koszary z żołnierzami pułkownika Villalby, który obiecał, że dopóki on jest tu odpowiedzialny za bezpieczeństwo, nikomu włos z głowy nie spadnie. Czy Villalba, który z pewnością należał do kręgu wtajemniczonych w spisek Franco, opowiedziałby się wreszcie po stronie nacjonalistów i stawiłby zbrojny opór anarchistom? Jakie konsekwencje miałyby to dla ludności cywilnej? Jak zareagowałby komitet rewolucyjny, który nie dość że dysponował bronią, to jeszcze mógł decydować o losie więźniów? Podobne pytania zadawano sobie, kiedy dowiedziano się o marszu anarchistów. Klaretyni uwięzieni w sali teatralnej purystów nie zdawali sobie jeszcze z tego sprawy, podobnie jak ich trzech przełoże-

ni w miejskim więzieniu Barbastro.

Villalba postanowił grać na zwłokę, ale czas zaczął pracować na jego niekorzyść. Komitet rewolucyjny z Barbastro przesłał do koszar rozporządzenie nakazujące pułkownikowi niezwłoczne poddanie się. W przeciwnym razie koszary zostaną zaatakowane i powtórzy się to, co się działo w Madrycie i w Barcelonie, gdzie żołnierze opowiedzieli się za Franco, ale później poddali się rewolucjonistom i zostali postawieni przed sądem wojennym. Wielu zostało zamordowanych na miejscu przez rozwścieczonych rewolucjonistów. „Lud nie może dłużej czekać” - grożono pułkownikowi.

Villalba rozpoczął pertraktacje. Nalegał, aby zagwarantowano wolność oficerom, którzy nie chcieli przejść na stronę rewolucjonistów. Anarchistyczni przywódcy zgodzili się. Villalba podał im rękę i objął ich na koniec jak towarzyszy. Na jego rozkaz miała się odbyć w centrum Barbastro parada żołnierzy wiernych republice. Teraz też wyszło na jaw, jak wielu żołnierzy było chętnych do służenia rewolucji, ponieważ koszary w Barbastro były od dawna celem potajemnej agitacji anarchistów, socjalistów i komunistów, którzy niezauważeni utworzyli już wśród wojska komórki rewolucyjne.

Przyszła noc. Nad koszarami na tle gwiazdzistego nieba rozbłysła świetlna raca. W ten sposób przedstawiciele komitetu rewolucyjnego dali umówiony znak swoim towarzyszom w mieście, że żołnierze przeszli na ich stronę. „Niech żyje Rosja!” - rozległy się okrzyki. Wartownicy przy bramie koszar nie wiedzieli, o co chodzi. W koszarach rozlegały się coraz głośniejsze hasła lewicowe i rewolucyjne. Niektórzy oficerowie zerwali z ramion dystynkcje wojskowe. Razem z żołnierzami i rewolucjonistami wyszli na ulice. Pułkownik Villalba i przedstawiciele komitetu rewolucyjnego dołączyli również do tej manifestacji.

O 11 w nocy w Barbastro rozległy się werble i krzyki rewolucjonistów, wywołując przerażenie wśród mieszkańców. Ulicami maszerowali żołnierze trzymający w górze zaciśnięte pięści. Prowadził ich pułkownik Villalba w samej koszuli, ręka w rękę z dwoma anarchistami wesoło roześmianymi. W głębi serca pułkownik ciągle próbował prowadzić podwójną grę. Chciał dowieść swojej wierności republice i tym samym zyskać na czasie, aby ratować, co jeszcze się dało. Jednak coraz trudniej było połączyć obydwa cele.

We wczesnych godzinach nocnych następnego dnia (25 lipca) Villalbę zmuszono do usunięcia karabinów maszynowych, których lufy były skierowane na ulicę wychodzącą w kierunku Monzón i miały stanowić ochronę przed atakiem rewolucjonistów na koszary.

Było oczywiste, że to nie ostatnie ustępstwo. O wpół do czwartej pułkownik spotkał się przy drodze do Monzón z trzema przywódcami komitetu rewolucyjnego. Wszyscy trzej mierzyli do niego z pistoletów i w ostrym tonie domagali się spełnienia swoich żądań. Chcieli, aby pułkownik uchylił wszystkie obowiązujące w koszarach środki bezpieczeństwa i zapewnił rewolucjonistom nieograniczony dostęp do koszar. Villalba odmawiał, powtarzając, że jako żołnierz nie może tego zrobić bez rozkazu generała Pozasa z Lóridy. Trzej rewolucjoniści wpadli w

gniew. Zagrozili, że go zabiją i jego zwłoki wrzucą do przydrożnego rowu. W końcu Villalba ustąpił. Oficerowi dowodzącemu wartą, który nie mógł wiedzieć, że grożono jego przełożonemu, wydał wyraźne polecenie, aby złożyć broń i otworzyć bramę. W tym samym momencie zaatakowała koszary grupa około trzydziestu uzbrojonych milicjantów. Dobrze zamaskowani, przycaili się wcześniej niedaleko bramy.

Aby dowieść swojej lojalności wobec rewolucjonistów, tego samego dnia pułkownik Villalba aresztował w Monzón kapitana Frago, którego dwaj bracia byli pierwszymi księżmi aresztowanymi w Barbastro. Pod pretekstem regulaminowego sprawdzenia stanu broni pułkownik osobiście odebrał kapitanowi pistolet. Tego samego dnia Villalba skontaktował się ze swoim przełożonym, raz w Saragossie i wielokrotnie w Huesca po drugiej stronie frontu. Za każdym razem żądano od niego, aby ogłosił stan wojenny i przeszedł na stronę powstańców pod wodzą generała Franco. Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej z gubernatorem wojskowym Huesca padły ostre słowa. Wzburzony pułkownik z Barbastro odłożył słuchawkę, nie czekając do końca rozmowy. Był u kresu wytrzymałości.

Po wojnie wśród zwycięskich nacjonalistów często dały się słyszeć nieprzychylnie opinie na temat pułkownika Villalby, a nawet oskarżenia o zdradę lub tchórzostwo. Dostępne dzisiaj świadectwa z tamtego czasu wyraźnie wskazują, że była to raczej nieszczęśliwa postać dramatu: na początku głęboko zaangażowany w spiskowe plany, następnie przybity klęską powstańczych oddziałów nacjonalistów w Madrycie i Barcelonie i przejęciem marynarki przez rewolucyjnych marynarzy, prowadził niekończące się dyskusje z oficerami, ale nie był w stanie udźwignąć ciężającej na nim odpowiedzialności.

Rząd republikański mianował Villalbę dowódcą na froncie aragońskim. Ale chociaż pułkownik miał pod swoją komendą duże oddziały wojska, w rzeczywistości jego możliwości były ograniczone, ponieważ liczne kolumny anarchistyczne walczące w Aragonii ignorowały jego rozkazy. Rozgoryczony brakiem sukcesów podczas oblężenia i szturm na Huesca, pułkownik Villalba poprosił o odwołanie ze stanowiska. Mianowano go komendantem wojskowym Malagi. Jednak kiedy na początku lutego nacjonałiści przypuścili szturm na całej długości frontu, rozkazał przedwczesny odwrót, nie podejmując najmniejszej próby obrony miasta. Postawiono go za to przed sądem wojennym i skazano na symboliczną karę za niedopełnienie swoich obowiązków. Do zakończenia wojny sprawował różne funkcje w administracji wojskowej. Po wojnie zniknął. Krążyły słuchy, że opuścił Hiszpanię, ale również, że zajmuje się handlem nieruchomościami w Asturii.

To, jakie były motywy postępowania Villalby i jak się potoczyły jego dalsze losy, nie miało już żadnego znaczenia w sprawie uwięzionych klaretynów. Wiadomo było, że kolejne nadzieje obróciły się wniwecz. Zdecydowane i uspokajające zapewnienia pułkownika okazały się obietnicami bez pokrycia. Znowu zwyciężyli ci, dla których klaretyni byli solą w oku.

Nastąpiła noc pełna trwogi. Podniesione głosy rewolucjonistów słyhać było coraz wyraźniej i młodzi klaretyni zrozumieli, że wybiła ich godzina. Na uwięzio-

nych w sali pijarów posypały się pełne nienawiści wyzwiska. Grozono im, że zostaną zmieni i przerobieni na siekane kotlety. Powinni się przygotować, bo „ta noc jest ostatnia, którą spędzą wśród żywych w swoich śmierdzących, ohydnych sutannach”.

Najwyraźniej minął definitywnie czas, kiedy jeszcze coś znaczyły rozsądne argumenty i można było rozmawiać z niektórymi członkami komitetu rewolucyjnego, nawet jeśli ze względu na swoją indoktrynację ideologiczną i ograniczone horyzonty myślowe nie byli to równorzędni partnerzy do dyskusji. Na zaczepki tych, którzy teraz doszli do głosu, można było odpowiedzieć jedynie milczeniem. Doszło już do tego, że tylko ten, kto trzymał w rękę lepszą broń i głośniej krzyczał, mógł liczyć na posłuch. Z wolna zaczęły dominować pojedyncze głosy: „Pozabijaj ich! Pozabijaj ich!” Ile czasu trzeba, aby znalazł się ktoś gotowy spełnić zachcianki tłumu? I kto potrafiłby jeszcze powstrzymać zbliżający się gwałt?

Klaretyni modlili się w milczeniu. Ogarniało ich przerażenie na myśl o tym, co ich czeka. O wypoczynku czy spaniu nie było nawet co myśleć. Nie pozwalały na to napięte do granic możliwości nerwy. Wyobrażenia podpowiadała coraz to inne i coraz koszmarniejsze obrazy przerażających tortur. I to nie bliskość śmierci budziła największe obawy. Gorszy był strach, że cierpienie przed śmiercią okaże się nie do wytrzymania. Myśli te towarzyszyły każdemu. Ale strach zdawał się najbardziej zadreżać 24-letniego studenta Josć Marię Blasco. Zdaniem jego kolegów, był on z natury strachliwy. Teraz groziło mu wręcz pomieszanie zmysłów.

I oto właśnie on napisał tej nocy zdecydowanym charakterem pisma następujący list:

Kto znajdzie tę kartkę, jest proszony o powiadomienie mojej rodziny [tu następuje adres], że Josć Maria Blasco zginął 25 lipca jako męczennik w Barbastro, przelewając swoją krew za Jezusa.

Co działo się wtedy w jego wnętrzu? Ponieważ się bał, że sprzeniewierzy się swojemu powołaniu lub nawet wyprze się swojej wiary, być może doszedł do wniosku, że nie powinien wystawiać się na tak straszne niebezpieczeństwo. Aby go uniknąć, musiałby uciekać, przynajmniej spróbować ucieczki. Ale nie może narazić współbraci, na których oprawcy z pewnością wyładowaliby swój gniew. Jeśli ktoś nie wie, czy podoła próbie, mądrze robi, decydując się na męczeństwo zamiast ucieczki. Wszak męczeństwo jest niezwykłą łaską, na którą nie każdy zasłużył...

Jego myśli krążyły w kółko. Klaretyni wiedzieli, że tylko wiara i modlitwa dają możliwość wyrwania się z diabelskiego kręgu strachu. Starali się rozweselić brata Josć, a ich zdecydowana postawa była dla niego przykładem do naśladowania. Dodawali mu odwagi, tak że z dnia na dzień bał się coraz mniej. Jego współbracia dużo się modlili za niego, aby nie stracił panowania nad sobą, kiedy usłyszy swoje nazwisko odczytane z listy. Prosil też Boga, by brat Josć nie musiał sam stawić czoła wyzwaniu męczeństwa. Świadomi tego, jak wielkim oparciem jest wspólnota w chwili próby, każdego dnia utwierdzali się w tym przekonaniu. Nawet

ogromne napięcie nerwowe nie mogło całkowicie przysłonić ludzkich uczuć. Tak więc seminarzysta Javier Luis Bandres przypomniał sobie, że jego matka obchodziła 26 lipca imieniny. Jeden ze świadków pamięta jego wzruszającą prośbę: „Powiedzcie mojej matce, że kiedy dzisiaj rano widziałem gołębicę, zapragnąłem, aby pofrunęła do matki i złożyła jej wizytę w moim imieniu”. Na opakowaniu po czekoladzie napisał do swojej matki czuły list, który ocalał:

Mojej matce w dniu jej imienin Tak jak delikatna szuka gniazda swojej miłości; wartkie wody górskiego strumyka wpływają ze śpiewem do morza; i pszczoła zbiera z kwiatów nektar na słodkie plastry miodu, tak wzdycha nieustannie moje serce na wygnaniu do dalekiej miłości, która nigdy nie umrze, wiecznej miłości mojej Świętej Matki, która jest niczym wieczny ogień pełen kadzidla płonący przed świętym ołtarzem!

*W więzieniu w Barbastro,
26 lipca 1936 Javier Luis*

Dla ojców w więzieniu miejskim dzień 25 lipca przyniósł ważną zmianę. Eugenio Sopena wpadł na pomysł, aby przenieść więźniów z przepelnionego więzienia do klasztoru Kapucynek.

Wcześniej, podejrzewając o przechowywanie broni nawet te żyjące z dala od spraw tego świata siostry, anarchiści nakazali przeszukać klasztor. Ponad pięćdziesiąt lat później Sopena pamięta jeszcze dokładnie przebieg wydarzeń: „Ponieważ chodziło o kobiety, towarzyszyło nam cztery czy pięć kobiet należących do ruchu anarchistycznego, które miały wziąć udział w rewizji siostr. Nie od razu nas wpuszczono. Czekaliśmy co najmniej kwadrans”. Anarchiści przeszli przez długi korytarz, zaglądając do każdej z celi wywracając wszystko do góry nogami. W tym czasie zakonnice zostały poddane rewizji prowadzonej przez kilka młodych anarchistek. „Nie dotknęliśmy żadnej z siostr” - podkreśla Sopena.

Anarchiści wielkodusznie umożliwili siostram dokonanie wyboru: Te, które mają krewnych lub przyjaciół w Barbastro, zostaną w mieście. Pozostałe otrzymają odpowiednie dokumenty i wyjadą do Katalonii. Siostry, które pochodzą z terenów zajętych przez faszystów, mogą pracować jako pielęgniarki.

W południe otworzyły się bramy więzienia i blisko trzystu pięćdziesięciu więźniów wyszło na plac przed ratuszem. W więzieniu pozostało tylko kilku złodziejasków, którzy zdaniem rewolucjonistów „nie byli tak groźni”. Tamtych zaś odprowadzono w kierunku klasztoru siostr Kapucynek. Szli czwórkami i byli eskortowani przez dwudziestu czterech uzbrojonych w karabiny milicjantów.

Całą scenę obserwowało zbiegowisko żądnych widoku krwi gapiów. Okrzyki tłumy były tak agresywne, że puryści i ulokowani u nich benedyktyni ukryli się w prezbiterium kościoła. W obawie, że tłuszcza zaatakuje dom, również biskupa zaprowadzono do bezpiecznej kryjówki. Klaretyni zamknięci w sali teatralnej na parterze kolegium purystów nie mieli oczywiście żadnej możliwości, aby się ukryć. Odetchnęli z ulgą, kiedy rozjuszony tłum zaczął się powoli oddalać.

W klasztorze Kapucynek widoczne były ślady niedawnej rewizji: krzyże, obrazy, figury leżały porozrzucane na podłodze. Anarchiści kierujący więźniów do kolejnych cel reagowali na to szyderczym śmiechem. Trzej ojcowie klaretyni trafili do celi numer osiem. Jeden z nich wspomina: „Kiedy przybyliśmy, zobaczyliśmy, jak dopalają się figury świętych i krucyfiks. Z cel powynoszono małe drewniane krzyże. Kiedy poszliśmy po wodę z ojcami wyznaczonymi razem z nami do sprzętania, zobaczyliśmy w studni sześć albo siedem figurek świętych”.

Do klasztoru zabrano także kilka kobiet. Jedna z nich spotkała ojca Munárriza na korytarzu i poprosiła go o rozgrzeszenie. „Pani jest bardzo przejęta, señora Antonia - powiedział do niej - wszyscy będziemy potrzebowali rozgrzeszenia.”

Według relacji tej kobiety, ojcowie mimo wszystko nie tracili odwagi i spokoju.

Po południu 25 lipca dotarły do Barbastro kolumny katalońskich anarchistów. Pierwsza fala partyzantów przybyła koleją. Wielu miało broń: głównie naostrzone topory, sierpy, kosy, widły, ale także strzelby i pistolety. W chustach na głowach wyglądali jak banda zuchwałych piratów. Zaraz potem przyjechały ciężarówki, załadowane karabinami maszynowymi, lekkimi działkami i skrzyniami z amunicją.

Właściwe wojskowe kolumny były lepiej zorganizowane. Anarchiści z CNT i FAI nosili na czapkach godła swoich organizacji. Mieszkańcy Barbastro szybko zapoznali się z dziwnym sposobem, w jaki „związkowcy” dokonywali zakupów: za kupione przez siebie towary płacili „bonami”, które nie przedstawiały żadnej wartości.

Z kolumną Ascaso przybył do Barbastro również Angel Samblancat, niedoszły klaretyn, znany teraz ze swojego nieprzejednanego antyklerykalizmu. Pochodził z rodziny o konserwatywnych tradycjach: jego ojciec był oberżystą o karlistowskich poglądach. W Barbastro i Barcelonie uczęszczał jako postulant do szkoły klaretynów. Z czasem jego hierarchia wartości uległa całkowitemu odwróceniu. Stał się jednym z najbardziej ekstremistycznych polityków, demagogiem pierwszej wody, jak również literackim idolem anarchistycznych proletariuszy. Pracował w Barcelonie jako dziennikarz, zanim założył własną gazetę. Po wojnie domowej wyemigrował do Meksyku, gdzie także trudnił się dziennikarstwem.

Kiedy ów Angel Samblancat przybył z inspekcją do klasztoru przemienionego w więzienie, redaktor naczelny *Cruzado Aragones*, kościelnej gazety z Barbastro, zobaczył go przez szparę w drzwiach. Rozpoznawszy go, zawołał przerażony: „Jesteśmy zgubieni; już nic się nie da zrobić!”. I rzeczywiście już kilka godzin później na obrzeżach Barbastro padły pierwsze ofiary anarchistycznego terroru. Jednakże jeszcze zanim to się stało, rektor pijarów rozmawiał z Santiago Ferrnando Codiną, członkiem komitetu rewolucyjnego, oraz z komendantem kolumny. Codina, były uczeń kolegium purystów, tak przedstawił rektora: „Oto dyrektor tego zakładu. Pracują tutaj nauczyciele, którzy całkowicie utożsamiają się z ludem, a lud z nimi. A ten pan, mój ziomek, od początku oddał kolegium i jego personel do dyspozycji komitetu”. „Daję panu moje słowo honoru - zapewnił komendant -

że w tym domu nic złego się nie stanie.” Potem jednak poproszono rektora, by polecił mieszkańcom domu zebrać poduszki i przekazać je milicjantom. Około trzydziestu poduszek zabrano purystom, w tym również te, które oddano do dyspozycji klaretynom. Żadna z nich nie powróciła już do domu.

W tym samym czasie anarchistyczni bojownicy starali się jakoś wyładować swoją złość. Podobnie jak w Monzón, tutaj także chcieli dokonać linczu na swoich politycznych wrogach. Pułkownik Villalba wysłał oddział wojska, który rozpedził zbiegowisko na placu ratuszowym, zanim doszło do szturm na więzienie miejskie. Tłum przemieszczył się na Coso, szeroką główną ulicę Barbastro. Jeden z policjantów miejskich, należący do anarchistycznych związków zawodowych, wezwał wtedy Eugenia Sopenę na miejsce wydarzeń.

Nienawiść do religii przyjmuje dziwne formy, o czym mógł się przekonać Sopena, idąc na Coso: „Byłem w drodze na Coso, kiedy zobaczyłem grupę milicjantów, którzy stojąc na drabinie, z bronią przewieszoną przez ramię, rozbijali marmurowy szyld z napisem *Calle de San Ramón* (ulica Świętego Rajmunda)”. W podobny sposób usunięto również słówko *San* z nazwy *Hotel San Ramón*, tak że został tylko „Hotel Rajmunda”.

Eugenio Sopena wdrapał się na dach stojącego na ulicy autobusu - niektórzy świadkowie mówią o ciężarówce - i krzyknął: „Towarzysze! Milicjanci! Możliwe, że za kilka godzin wyruszyście na front. Mówi do was członek połączonych komitetów sił antyfaszystowskich w Barbastro. Uważamy się za odpowiedzialnych rewolucjonistów i potrafimy dopilnować, aby sprawiedliwości stało się zadość, a więźniowie zostali należycie osądzeni. Ale musimy załatwić to sami!”

Wyglądało na to, że tłum nie przejął się specjalnie tymi słowami. „Pozabijać ich! Pozabijać!” - rozlegało się na szerokiej ulicy, wypełnionej już nie tylko bojówkarcami, ale również licznymi mieszkańcami Barbastro.

Energicznym ruchem dłoni Sopena uciszył tłum. Sięgnął teraz po przekonujący argument: „Nie wiecie, że naszym braciom w Huesca i Saragossie grozi niebezpieczeństwo z rąk faszystów. Ci na pewno pozabijają ich za każdego, którego my zabijemy tutaj. Wysoka to cena!” I nie czekając na reakcję, zaczął wiwatować na cześć zjednoczonych sił antyfaszystowskich i zaraz potem na cześć CNT. Tłum przyłączył się do niego z entuzjazmem. Dzięki temu zaniechano pomysłu, aby powyciągać wszystkich więźniów i pozabijać ich.

Zaraz potem Sopena spotkał komisarza antyfaszystowskich sił z Katalonii. Ten zabrał go do koszar i przekazał mu sporą ilość broni, którą Sopena rozdał młodym milicjantom z Barbastro jako rodzaj rezerwy bezpieczeństwa. Ale chociaż udało mu się powstrzymać anarchistów od szturm na więzienie, pewne było, że i tak będą chcieli dać ujście swojej nagromadzonej energii. I co mogło być lepszego w takiej sytuacji niż pomysł, aby ruszyć na kościół?

Od zapadnięcia mroku do samego rana rozgrywały się potworne sceny. Na środku ulicy rąbano siekierami figury świętych. Tym czynnościom towarzyszyły śmiechy i urągające wyzwiska. Na ulicach i placach płonęły stosy z porąbanymi figurkami świętych, szatami liturgicznymi, książkami do nabożeństw i innymi

przedmiotami kościelnymi. Po ulicach biegali uzbrojeni po zęby mężczyźni, a prostytutki z Barcelony pokazywały, że w swoim „zawodzie” nie są przyzwyczajone do noszenia zbyt wielu ubrań. Z zaciśniętymi pięściami, także one wykrzykiwały w noc swoje wulgarne komentarze.

Kościół Klaretynów nie uniknął niszczycielskiej pasji, chociaż wciśnięty pomiędzy domy mieszkalne w wąskiej uliczce, nie rzucał się w oczy. Najpierw próbowano rozwalić portal. Wznoszono pełne nienawiści okrzyki. Obrusy ołtarzowe i szaty liturgiczne, kielichy i cyboria, figurki świętych i krzyże, wszystko wyrzucano na ulicę. Wewnątrz ktoś przeciął zawieszenie dużego żyrandola, który z głośnym trzaskiem spadł na podłogę. Sprzęty wyrzucone na ulicę były deptane i opluwane. Nie sposób powtórzyć, jakie przy tym wykrzykiwano bluźnierstwa. Brali w tym również udział niektórzy mieszkańcy Barbastro. Jakiś milicjant nałożył na siebie mszalny ornat. Pijany, wyszedł zataczając się na ulicę i z groteskowym wyrazem twarzy udawał, że błogosławi wszystkich dokoła.

Zniszczenie kościoła nie zadowoliło tłumu; przyszła teraz kolej na dom. Wybijano szyby w oknach, połamano drzwi i stoły. Nie pomyślano o tym, że meble mogły się jeszcze przydać, kiedy dom klaretynów służył jako kwatera różnym oddziałom wojskowym i jako publiczna jadalnia. Z pokoi ojca przełożonego i administratora posypały się na ulicę papiery. Awanturnicy nie zauważyli nawet, że wśród wyrzuczanych papierów znajdują się również banknoty. Przy furcie piętrzyły się książki, meble, bielizna. Sąsiedzi z przerażeniem patrzyli, jak kilku milicjantów znosi kanistry z benzyną. Ulica była tak wąska, że zaczęli się bać o swoje domy. Ale nikt nie śmiał zaprotestować. Pociągnęłoby to za sobą tylko wściekłość i mogło kosztować życie.

W końcu jednak zwyciężył rozsądek. Trzem przedstawicielom komitetu rewolucyjnego udało się odwieść podpalaczy od ich zamiarów. Meble nadające się jeszcze do użytku wniesiono z powrotem do domu. Były one warte jakieś 500 pesos, co ówczesnie stanowiło dużą sumę pieniędzy.

Katedry w Barbastro również nie ominęła niszczycielska furia. Zdemolowano liczne boczne oparce i chciano podpalić nawet ołtarz główny, którego cenne retabulum było wykonane z marmuru i z drewna. Na ambonie stanął *El Garilla*, znany w mieście piroman, ubrany w ornat. Wiedzano doskonale, że był zdolny do wszystkiego. Trzech anarchistów z Barbastro zakończyło ten koszmar, oddając strzały ostrzegawcze w powietrze. Wypędzono ludzi i zamknięto katedrę.

Kościół pod wezwaniem Świętego Bartłomieja i Świętego Hipolita zostały doszczętnie zniszczone. Pozostałe także zamieniono w ruiny i zgliszcza. Tej samej nocy zwolniono niektórych więźniów. Nie wiadomo dokładnie ilu: szesnastu czy może nawet więcej. Wydaje się, że ciągle obawiano się szturmów na więzienie i chciano ocalić od linczu kolumn anarchistów tych więźniów, których uważano za mniej groźnych lub którzy byli zaprzyjaźnieni albo spokrewnieni z członkami komitetu rewolucyjnego. Nie wszyscy długo cieszyli się wolnością. Zwolniono ich o 3 rano i wysłano do domów, jednak jeszcze tego samego ranka niektórych znów zatrzymano i rozstrzelano. Do pierwszych ofiar należał student medycyny, członek

falangi i urzędnik bankowy, który kierował Akcją Katolicką.

W ciągu tego dnia w Barbastro prześladowania jeszcze się nasiliły. Ofiarami represji padali nie tylko księża i kościelni aktywiści. Chciano zniszczyć wszystko, co wiązało się z wiarą katolicką. Tak więc komitet rewolucyjny postanowił, że z cmentarzy powinny zniknąć krzyże. Każda rodzina była odpowiedzialna za to, aby usunięto krzyże z grobów ich krewnych. W przeciwnym razie zrobią to anarchistyczni funkcjonariusze, a kosztami obciążą rodziny zmarłych. To rozporządzenie okazało się złotym interesem dla dwóch anarchistów z Barbastro. „Oczyszczaniem” zajmował się między innymi Maruno Abad (nazywany „Grabarzem”), który chodził od domu do domu i za każdy „oczyszczony” grób inkasował 30 pesos. Zarobił na tym również José M. Lopez („Kamieniarz”), który przerabiał nagrobki zgodnie z zaleceniami komitetu.

Powody aresztowań, aktów przemocy, a nawet rozstrzelań stawały się coraz bardziej absurdalne: wystarczyło brać kiedyś udział w procesji, być członkiem Akcji Katolickiej, zagrać

kiedyś w sztuce wystawianej w kolegium pijarów. Aresztowano nawet ludzi, których jedynym przewinieniem było to, że czytali kiedyś monarchistyczną gazetę *ABC*. Nie szło przy tym o ujawnienie rzekomo popełnionych wykroczeń i skarcenie winnych. Oprawcom chodziło przede wszystkim o publiczne upokorzenie swoich ofiar. Włamano się więc do biskupiego archiwum i ujawniono przechowywane tam prywatne i tajne akta. Nad niektórymi więźniami znęcano się w sposób szczególnie wyrafinowany: pod groźbą śmierci musieli wykonywać rozkazy oprawców (pewnej grupie katolików kazano zburzyć kaplicę purystów), a gdy spełnili żądania, i tak ich rozstrzelano.

Po pojedynczych egzekucjach pod koniec lipca, na początku sierpnia egzekucje większej liczby więźniów były na porządku dziennym lub, mówiąc dokładniej, nocnym. W nocy 2 sierpnia w siedzibie komitetu rewolucyjnego pojawiło się kilku bandytów z milicji o nazwie GINESTA czy CHINESTRA, znanej w Barbastro ze swojego okrucieństwa. Zażądali wprost, aby „mordować więźniów”. Nie wiadomo, czy swoje żądanie poparli groźbą szturmowania więzienia. Wiadomo jednak, że komitet tym razem uległ. Zaplanowano egzekucje dwudziestu więźniów. Nie miało to nic wspólnego z sądowym wyrokiem, które go domagał się jeszcze kilka dni wcześniej z dachu autobusu Eugenio Sopena. Z odpowiednimi dokumentami w ręku uda. się bandyci do więzienia i do klasztoru Kapucynek i szukali swoich ofiar. Komitet zgodził się na rozstrzelanie dwudziestu ludzi, nie wskazując konkretnych osób. Decyzja o rozstrzelaniu dwudziestu więźniów mogła być próbą zapobieżenia gorszym ekscesom w mieście. Ale fakt, że nie podano żadnych nazwisk, rodzi podejrzenie, że komitet rewolucyjny z góry skazywał na śmierć wszystkich więźniów. Ten sam los miał dosięgnąć każdego uwięzionego wcześniej czy później.

Między 2 a 3 rano gwałtowne pukanie do drzwi celi zbudziło trzech ojców klaretynów, Felipe de Jesús Munárriza, Juana Díaza i Leoncio Póreza. „Natychmiast wstawać i wychodzić! „ - padł rozkaz. Ojciec Díaz ubierał się powoli. Mili-

cjanci niecierpliwili się: „Szybciej, reszta już czeka!” „Ale nałożę tylko sutannę” - odpowiedział ojciec. „Tam, dokąd się wybierasz, nie będzie ci potrzebna” - odparł milicjant sucho i wymownie.

Trzej ojcowie dołączyli do grupy więźniów, wśród których było wielu księży. Około 3 nad ranem przemaszerowali w dwuszeregu przez ulicę wiodącą w kierunku Huesca i minawszy szpital, skierowali się w stronę cmentarza. Więźniowie mieli ręce związane na plecach, poza tym każda dwójka więźniów była przywiązana do siebie za ramiona. Pielęgniarka, która widziała przemarsz aresztantów, rozpoznała trzech klaretynów, którzy jako jedyni szli w sutannach. Wydawali się spokojni i skupieni.

Na cmentarz przybyli razem z inną grupą, którą przywiozła ciężarówka z więzienia. Wśród więźniów było ośmiu świeckich, trzydziestu pięciu księży i jeden kleryk, który miał tylko niższe święcenia. Wśród księży był także Maruno Frago, którego anarchiści szczególnie nienawidzili za jego artykuł opublikowany w *Cruzado Aragones*.

Na cmentarzu wykopano już groby. Mimo wczesnych godzin rannych, nad miastem unosiło się parne letnie powietrze. Ani więźniowie, ani pluton egzekucyjny nie byli ustawieni w jakimkolwiek porządku. Zapanowało dzikie zamieszanie. Milicjanci bliscy zaspokojenia swojej żądzy zabijania strzelali po prostu na oślep. Strzelanina była tak chaotyczna, że zagrożeni byli sami oprawcy. W tym zamieszaniu kule dosięgły również trzech klaretynów. Na początku czekali, aż ranni więźniowie wykrwawią się na śmierć. Jęki konających dobiegały przez otwarte okna do szpitala położonego blisko cmentarza, budząc grozę wśród pacjentów. Wskutek skarg szpitalnego personelu, milicjanci dobijali pojedynczymi strzałami tych więźniów, którzy przeżyli salwę plutonu egzekucyjnego. Wczesnym rankiem 2 sierpnia uwaga milicjantów skoncentrowała się na znenawidzonym przez nich Maruno Frago. A tymczasem jeden ze skazańców, który został tylko draśnięty w rękę, próbował uciec w kierunku muru cmentarnego. Kiedy policzono ciała rozstrzelanych, ustalono, że jednego brakuje. Wówczas jeden z milicjantów przyznał się, że widział jakiś cień przesuwający się wzdłuż muru, a zaraz potem usłyszał po drugiej stronie głucho uderzenie, jakby spadło na ziemię coś ciężkiego. Milicjanci zaraz sprawdzili to miejsce pod murem, ale nikogo nie znaleźli. Uciekinier zniknął, jakby się rozplynął.

Uciekinierem był członek gwardii obywatelskiej Camilo Sabater Toll. Po tygodniu udało mu się przedostać do rodzinnego Velilla de Cinca. W ciągu dnia spał w ukryciu, w nocy próbował niezauważony iść dalej. W końcu dotarł do domu rodziców, gdzie ukrywał się na strychu aż do końca wojny. Jego żona została powiadomiona, że mąż żyje, ale cały czas nosiła dla niepoznaki żałobę i żyła jak wdowa.

Zwłoki rozstrzelanych 2 sierpnia 1936 roku leżały na cmentarzu, tam gdzie padli od kul, do następnego dnia. Nazajutrz o ósmej rano zostały pochowane przez miejską „brygadę pracy”. O tej porze nazwiska rozstrzelanych były już wszystkim znane. Milicjanci chwalili się bowiem, że rozstrzelali w końcu „te kruki”, jak na-

zywali księży.

Tymczasem klaretyni zamknięci w sali teatralnej mogli tylko się domyślać, co dzieje się w mieście. Wiedzieli o wyprowadzeniu więźniów z więzienia miejskiego, dotarli do nich jakieś oderwane fragmenty komentarzy milicjantów i oczywiście słyszeli w nocy odgłosy strzałów.

Więcej możliwości, aby się czegoś dowiedzieć, miał oczywiście brat Ramón Vall. Ponieważ zanosił jedzenie również trzem ojcom zamkniętym w więzieniu, klaretyni co dzień pytali go o nich. Zwykle odpowiadał: „Mają się dobrze”. Ale przez kilka dni unikał jednoznacznej odpowiedzi i tylko jego oczy zdradzały, że coś się wydarzyło. W końcu, zdaje się że 10 lub 11 sierpnia, wyrzucił z siebie: „A gdybym wam powiedział, że trzech nasi przełożeni zostali rozstrzelani...?” Wszyscy zamarli z przerażenia. Domyślali się tego, ale i tak trudno im było w to uwierzyć.

Brat Ramón Vall tak tłumaczył później swoje zachowanie: „Gdy misjonarze pytali mnie o trzech ojców, odpowiadałem im, że wszystko w porządku. Mówiłem to, aby ich nie denerwować. A poza tym wierzyłem, że ojcowie poszli do nieba. W ostatnich dniach, kiedy domyślili się, że ojcowie zostali zabici, i pytali mnie, czy tak się rzeczywiście stało, odpowiedziałem im zdaniem z Ewangelii: »Bądźcie przygotowani na nadejście Syna Człowieczego«. Kiedy potwierdziłem, że ojcowie nie żyją, zachowali spokój. Byli już tak oddani śmierci, że nie robiła już na nich wrażenia”. Książeczka do nabożeństwa klaretyńców *Mantr del cristiano* („Manna chrześcijan”) krążyła z rąk do rąk. Młodzi klaretyni odmawiali z tej książeczki modlitwę o gotowość przyjęcia śmierci: „O Panie, dobry Boże, w tej chwili przyjmuję każdy rodzaj śmierci, jaki zechcesz mi zesłać, bez względu na ból i cierpienie, które jej będą towarzyszyć, ponieważ pochodzić będą z Twojej ręki”.

Pablo Hall tak opisuje nastrój tamtych dni: „Wszyscy pogodziliśmy się z planem Boskiej woli; słyszałem to od każdego. Dodawaliśmy sobie nawzajem odwagi, z nadzieją, że wkrótce pójdziemy do nieba, i modliliśmy się o dar świętej wytrwałości dla siebie i dla wszystkich aż do samego końca”.

Rzeczywiście potrzebowali odwagi, choćby po to, aby znieść to, co każdego dnia słyszeli przez okno: „Zabijemy was, ponieważ kłamiecie, mówiąc, że ukochaliście lud i biednych. Pozabijamy was w sutannach, aby zakopać te łachy razem z tymi, którzy je noszą”. A kiedy rozlegały się strzały plutonów egzekucyjnych, musieli ciągle wysłuchiwać: „Dobrze się przygotujcie, dzisiaj w nocy przyjdziemy po was, a jutro rano w Barbastro nie będzie żadnych księży i mnichów”. A niektórzy dorzucali jeszcze: „Nie będziecie już mogli zabawiać się z zakonnicami!” Zdarzały się też bardziej drastyczne groźby: „Kiedy was pozabijają, zeżre wam wątroby!”, „A ja mózg!”, „A ja wydłubię wam oczy, zanim was pozabijam!”

Członkowie komitetu rewolucyjnego nie byli zgodni co do tego, co należy zrobić z seminarzystami. Niektórzy coraz mocniej nalegali: „Rewolucja powinna przede wszystkim zacząć od tego, aby bez względu na cokolwiek poleciały głowy księży i mnichów”. Z wypowiedzi innych młodzi klaretyni mogli natomiast odnieść wrażenie, że „wystarczą głowy przełożonych tej »fabryki klechów«, i że

„tych biednych chłopców, którzy byli tumanieni od dzieciństwa i zasługują na litość, należy uwolnić od tej szkodliwej niewoli i pozwolić im cieszyć się radościami życia”.

Klaretyni w sali teatralnej pijarów zdawali sobie sprawę z braku jedności wśród członków komitetu. Wskutek tego również oni podzielili się na dwie grupy: jedni wierzyli, że umiarkowani rewolucjoniści zdobędą przewagę i klaretyni pojedą do domu z odpowiednimi paszportami, ale pozostali spodziewali się, że zostaną rozstrzelani. Błędem jednak byłoby określanie obydwu grup mianem optymistów i pesymistów. Całkowicie pozytywny stosunek do męczeństwa - to była postawa, jaką przyjęli w atmosferze wrogości wobec Kościoła panującej w Republice Hiszpańskiej. Przy takim nastawieniu myślom o śmierci nie towarzyszyło poczucie klęski. Mimo to napięcie rosło przecież z dnia na dzień, a razem z nim rosło również niebezpieczeństwo, że nerwy w końcu nie wytrzymają i że mniej odporni więźniowie stracą panowanie nad sobą. O tym, że rzeczywiście istniało takie niebezpieczeństwo, świadczą problemy psychiczne studenta José Marii Blasco w pierwszych dniach po aresztowaniu.

Istniały dwie możliwości, aby złagodzić nieco wewnętrzne napięcie. Pierwsza: szukanie wewnętrznego spokoju i oparcia w modlitwie. Młodzi klaretyni stale korzystali z tej możliwości, zarówno indywidualnie, jak i razem, we wspólnocie. A czas był sprzyjający - dla klaretynów sierpień to miesiąc Serca Maryi. Jak wspomina Pablo Hall: „Kiedy zaczął się sierpień, poświęcony pierwszej osobie w szeregu świętych, Naszej Matce i Jej Sercu, odmawialiśmy Nowennę do Niepokalanego Serca Maryi, zawartą w *Mantr del cristiano*. Po zmówieniu jednej nowenny zaczęliśmy kolejne, które moi towarzysze zakończyli już w niebie”.

Drugim sposobem na uporanie się z wewnętrznym napięciem był, co może wydać się zaskakujące - humor. Nie chodzi przy tym o jakiś rodzaj humoru wisielczego, który wyraża brak nadziei, lecz o humor oparty na głębokim zaufaniu Bogu, taki, który towarzyszył 300 lat wcześniej Tomaszowi Morusowi. Tomasz Morus, uwięziony w Tower, stał przed podobną alternatywą jak teraz klaretyni w Barbastro. Miał do wyboru: albo ulec politycznym naciskom i zdradzić religię katolicką, albo umrzeć za swoją wiarę.

Klaretyni z Barbastro umieli dostrzec komiczne strony rewolucyjnej rzeczywistości, takie jak na przykład moda na tworzenie komitetów wszelkiego rodzaju, często o dźwięcznych nazwach; mnożyły się one jak grzyby po deszczu. Wykpiwając tę manię, zawiązano komitet również w sali teatralnej. Nadano mu nazwę: „Komitet Pobożnego Śmiechu”.

Opowiadano sobie anegdoty z czasów szkolnych i studenckich, nieszkodliwe dowcipy, wymyślano igraszki słowne. Zwłaszcza ojciec José Pavón, człowiek z natury skory do żartów, nigdy nie tracił poczucia humoru: wspaniale opowiadał o własnych i cudzych przeżyciach i gdy jeszcze nie umilkł śmiech z jednego żartu, on opowiadał już następny. Milicjanci pełniący wartę i przechodnie zaglądający przez okno łapali się za głowę. Z sali teatralnej często dobiegał głośny śmiech. Co tam się takiego działo? Nikt nie wiedział, z czego śmiali się więźniowie, ponieważ

anegdoty i żarty opowiadano naturalnie po cichu. Milicjanci szybko znaleźli wytłumaczenie: „Musieli wszyscy postradać zmysły!”

O tym, że „Komitet Śmiechu” działał z powodzeniem, świadczy również krótka notatka, którą zamieścił Argentyńczyk Atilio Parussini w swoim niestety niedokończonym dzienniku. Jednakże w pewnym momencie ojciec Nicasio Siewa uznał, że rozbawienie studentów zaszło za daleko. Jako najstarszy w sali, zgodnie z regułą klaretynów, pełnił funkcję przełożonego. Mając na względzie dobro wspólnoty, ojciec Nicasio rozwiązał „Komitet Pobożnego Śmiechu”.

9. „ZA DUŻO CZARNYCH JESZCZE ŻYJE”

Revolucja nie jest wydarzeniem o jedynie politycznym znaczeniu. Na zamieszaniu, które zazwyczaj towarzyszy gwałtownej zmianie systemu politycznego, korzysta często niepewny element. Zawsze znajdują się tacy, którzy pod pretekstem polityki będą załatwiać osobiste interesy. Ogólny chaos wykorzystują też kryminaliści, z rewolucyjnymi hasłami na ustach dopuszczając się rabunków, szantażu, grabieży i mordów.

Oczywiście te niepożądane zjawiska towarzyszące nie pasują do wizji rewolucji, jaką mieli anarchiści. Walkę z takimi przypadkami zaczął jako pierwszy anarchistyczny dziennik *Solidaridad Obrera* („Solidarność Robotników”). Rozpoczął kampanię przeciwko tym, którzy w imię wzniosłych celów rabowali na własny rachunek i napadali na bezbronną ludność. Komitet z Barbastro uchwalił w końcu dekret grożący karą śmierci za napady rabunkowe. W ten sposób próbowano zaprowadzić porządek według zasad zgodnych z wyobrażeniami socjalistów i anarchistów.

Właśnie gdy ta kampania nabierała rozpędu, do Barbastro przyjechała grupa ludzi przedstawiających się jako anarchiści. Twierdzili, że są członkami FAI i pracują dla komitetu rewolucyjnego w Barcelonie. Przyjechali z Tardienty. Tam „zabezpieczyli” skonfiskowaną biżuterię i wartościowe przedmioty zebrane w tamtejszych zakładach, warte wtedy ponad milion pesos (dzisiejsza wartość nabywcza tej sumy wyniosłaby około trzech milionów marek). Przybysze zaparkowali ciężarówkę w garażu Hotelu Ramón (z którego nazwy usunięto słowo „San”), rozlokowali się i poszli spać.

Strażnikowi cała sprawa nie wydawała się czysta. Podejrzewając raczej, że dokonano grabieży w pobliżu frontu, a teraz złodzieje chcą ukryć łup, zawiadomił komitet. Nocną służbę pełnili akurat Codina i Salamem. Diego się nie zastanawiając, postanowili działać. Wyciągnęli podejrzanych z łóżka. Wybuchła gwałtowna sprzeczka. Nie pomagały żadne wyjaśnienia ani papiery, które okazywali. Codina i Salamem przeszukali ich i uznali, że miała miejsce kradzież. Wyrok zapadł natychmiast: śmierć przez rozstrzelanie. Ciężarówka i kosztowności miały zostać skonfiskowane. Wydarzenie to potwierdzili liczni świadkowie. Również ówczesny sekretarz komitetu rewolucyjnego Eugenio Sopena po pięćdziesięciu latach dobrze sobie je przypomina: „Około 3 nad ranem przyszli dwaj towarzysze, pełniący straż na drodze pod miastem, i powiedzieli, że zatrzymali samochód z czterema milicjantami. Podczas rewizji znaleźli biżuterię i inne kosztowności. Ani Codina, ani Salamero nie przeprowadzili regulaminowego śledztwa. To był duży błąd! Nie dowiedli bowiem, czy istotnie miał miejsce rabunek popełniony za linią frontu, czy też zatrzymani zostali wysłani przez władzę z frontowego Huesca, aby wesprzeć

kasę ruchu oporu w Barcelonie. Chociaż nic nie było jawie, postanowili ich rozstrzelać”.

To, że akcja była błędem, okazało się już nazajutrz, a kilka dni później -że było to działanie katastrofalne w skutkach. Oto co mówi o tym Sopena: „Następnego ranka spotkałem się z towarzyszem Lalaną z kierownictwa związków zawodowych CNT. Powiedział mi: »Nie wiesz, co się stało dzisiaj w nocy?« »Nie« - odpowiedziałem. »Zdaje się, że rozstrzelali kilku towarzyszy z organizacji.« »Dlaczego?« »Ponieważ powiedzieli, że wiozą ze sobą biżuterię.« Zakląłem i poszedłem do komitetu. Dowiedziałem się tam tylko, że znaleziono przy nich biżuterię, którą ukradli. Ale kilka dni później przyjechał Durruti”.

Durruti był uzbrojony po zęby. Towarzyszyło mu dwunastu milicjantów. Okazało się, że wśród rozstrzelanych był syn portugalskiego milionera, który przekazał „czerwonym” dużą sumę na zakup broni. Jak tylko się dowiedział o tragicznej śmierci syna, wysłał patrol z Barcelony do Barbastro, aby ekshumować ciała i stwierdzić, czy jest wśród zabitych jego syn. Prawdopodobnie zażądał, aby rozstrzelano cały komitet w Barbastro. Buenaventura Durruti, który jako komendant kolumn anarchistycznych cieszył się dużym autorytetem, najwyraźniej zamierzał porachować się z tymi z Barbastro.

Relacje o tym, jak próbowano wyjaśnić całe to nieporozumienie, są rozbieżne. Na pewno zabrano dwóch członków komitetu do Barcelony, gdzie postawiono ich przed trybunałem rewolucyjnym. Czy byli to przewodniczący i sekretarz komitetu, jak relacjonuje pijar Santiago Mompel, czy Codina i Salamero, jak twierdzi Eugenio Sopena, trudno powiedzieć z całą pewnością. Druga wersja jest bardziej prawdopodobna, jako że sekretarzem był przecież sam Sopena. Można przypuszczać, że Durruti zażądał osądzenia przewodniczącego i sekretarza, skoro jednak bezpośrednimi winnymi okazali się Codina i Salamero, udało się komitetowi z Barbastro obronić swoich przywódców przed aresztowaniem. Finał sprawy był taki, że postawionych przed sądem uratował od wyroku śmierci pochodzący z Barbastro, ale mieszkający w Barcelonie i bardzo poważany anarchista Chinestra. Uwolnieni od zarzutów, wrócili do Barbastro.

Dla klaretynów w sali teatralnej purystów, i dla wielu innych księży i zakonników z Barbastro, o wiele groźniejsza w skutkach niż wewnętrzne spory między rewolucjonistami okazała się podburzająca mowa, jaką wygłosił Durruti, kiedy przyjechał do Barbastro, aby wyświetlić sprawę. Zarzucił komitetowi z Barbastro, że zabijają jego towarzyszy, a jednocześnie tyle „sutann” siedzi sobie bezpiecznie po więzieniach. Tymi słowami wyznaczył ostatecznie kierunek dalszych działań rewolucjonistów z Barbastro. Ciekawe, co o tych wszystkich wydarzeniach i związanych z nimi konsekwencjach myśleli klaretyni. Warto zauważyć, że rewolucjoniści z Barbastro wyolbrzymiali wobec klaretynów i pijarów, u których wielu z nich się uczyło, swoją zależność od władz z Barcelony. Chcieli się w ten sposób postawić w lepszym świetle i zrelatywizować własną odpowiedzialność za rozstrzelania. Pablo Hall tak interpretuje przebieg wydarzeń: „Komitet z Barbastro wydał rozporządzenie, że napady rabunkowe i wszelkie inne czyny przestępcze

będą karane śmiercią. Kilka dni później przyjechała do Barbastro ciężarówka jadąca do Barcelony z pięcioma pasażerami, którzy wspólnie z innymi osobami z okolic Barbastro zrabowali z kościołów przedmioty wartości miliona pesos. Komitet z Barbastro aresztował ich i skazał na rozstrzelanie. Towarzysze rozstrzelanych złodziei donieśli o tym do komitetu w Barcelonie, skąd natychmiast przysłano oddział milicjantów z zadaniem dostarczenia do Barcelony przewodniczącego i kogoś z władz komitetu z Barbastro. Nakazano też przewieźć łup oraz zwłoki jednego z pięciu rozstrzelanych, syna pewnego Portugalczyka, który przekazał komunistom dużą sumę pieniędzy na zakup broni. Na miejsce aresztowanych władze z Barcelony umieściły w komitecie Barbastro swoich przedstawicieli. Ci oświadczyli anarchitom z Barbastro, że za zabicie pięciu milicjantów wypełniających rozkazy powinni natychmiast rozstrzelać biskupa don Florentina Asensio Barroso, a w ciągu kilku dni wszystkich księży i zakonników z Barbastro i okolic. W przeciwnym razie zginą obydwaj zakładnicy. Również pozostali członkowie komitetu rozstaną się z życiem, jeśli będą się ociągac z wykonaniem choćby jednego rozkazu, który przyjdzie z Barcelony. Od tej pory komitet w Barbastro stał się niewolnikiem komitetu z Barcelony. Późniejsze wydarzenia w Barbastro były następstwem tej sytuacji”.

Po nadejściu takich wiadomości topniały nadzieje klaretynów, że rewolucjoniści zadowolą się śmiercią trzech przełożonych. Przeczuli, że wkrótce zawiata ich wiosna. Wiosna, ponieważ ich śmierć będzie jak siew nowych ziaren.

Kiedy dowiedzieli się o rozstrzelaniu biskupa z Barbastro, byli już prawie pewni. Biskup Florentino Asensio Barroso był do tej pory przetrzymywany w kolegium pijarów, co było właściwie równoznaczne z aresztem domowym. Wiczorem

8 sierpnia wezwano go przed trybunał komitetu rewolucyjnego. Spodziewając się najgorszego, biskup wyspowiadał się, a potem udał się w drogę do ratusza. Miał na sobie cywilne ubranie, spodnie i kamizelkę.

Komitet zdecydował, że „należy go pozbawić kontaktu ze światem zewnętrznym”. Odeskortowano go do więzienia. Strażnik więzienny relacjonował później, że widział biskupa siedzącego na podłodze, zatopionego w rozmyślności. Poradził mu, aby usiadł na łóżku, bo w przeciwnym razie się przeziębą. Radził mu również ukryć różaniec, bo gdyby go przy nim znaleziono, natychmiast by mu go odebrano. Strażnicy otrzymali bowiem rozkaz przeszukiwania księży i zakonników i odbierania im wszelkich przedmiotów religijnych. Gdy wartownik przyniósł mu kolację przyslaną przez pijarów - zupę, sałatę i lekko zagotowane jajka - biskup odmówił jej przyjęcia. „Niech pan zanieśie to swoim dzieciom” - poprosił. W ciągu kilku godzin, które biskup spędził w więzieniu, strażnik często go obserwował i był zdziwiony, z jakim spokojem, modląc się, szykował się na śmierć.

Kiedy przyszli milicjanci, aby zabrać biskupa na miejsce kaźni, szybko się okazało, że zanim dokonają egzekucji, będą się nad nim znęcać. Zachowanie tych ludzi szczególnie dobitnie świadczy o tym, jak ideologicznie ugruntowana nienawiść może do tego stopnia zniewolić człowieka, że gotów jest do popełnienia naj-

okrutniejszych zbrodni.

Maruno Abad („Grabarz”) na widok biskupa wyprowadzonego z celi przeklął bluźnierczo i powiedział drwiącym tonem: „Więc ty jesteś biskupem? No tak, teraz wyglądasz jak pastuch!” Trącił go pogardliwie i dodał: „Nie martw się, chłopie! Jeśli to, czego nauczasz, jest prawdą, to pójdiesz prosto do nieba”. Powtórzył też kilka razy: „Słuchaj no, nie bój się śmierci!” Biskup odpowiadał jedynie: „Będę się modlił za ciebie do Boga”. Inni milicjanci również nie szczędzili obelg i przekleństw pod adresem biskupa. Abad osobiście związał mu z tyłu ręce drutem, mówiąc przy tym: „To wielkie zwierzę, lepiej je sam skuję”.

W sali widzeń, gdzie więźniowie mogli pod kontrolą rozmawiać z odwiedzającymi, trwało upokarzające przedstawienie. Siedmiu opryszków - znane są ich nazwiska, ewentualnie przydomki - obsypało biskupa wulgarnymi wyzwiskami. Jeden z mężczyzn zadawał biskupowi pytania. Biskup jednak milczał. Rozwścieczony prześladowca boleśnie uderzył go kilka razy w brzuch. Kiedy później ekshumowano zwłoki, lekarze stwierdzili, że biskup miał połamane żebra jeszcze przed rozstrzelaniem. Okazało się też, że pewien młody robotnik drogowy okaleczył biskupa. Zrobił to, by zaimponować koleżkom, przed którymi przechwalał się, że gdyby nadarzyła się okazja, wykastrowałby jakiegoś biskupa. Pokazywał później w knajpie w Barbastro swoją zdobycz owiniętą w gazetę.

Biskup krwawił, kiedy kaci prowadzili go na śmierć. A mimo to radosnym głosem mówił: „Jakaż to piękna noc dla mnie: idę do domu Pana!” Jeden z milicjantów zauważył: „Nie ma pojęcia, dokąd go zabieramy!” „Zabieracie mnie do królestwa Pana. Wybaczam wam. Będę się za was modlił w niebie” - brzmiała spokojna odpowiedź udęconego biskupa. „Szybciej, grubasie, pospiesz się!” - wrzeszczeli milicjanci. „Wybaczam wam wszystko, coście mi uczynili.” Jeden z rewolucjonistów uderzył go w twarz kawałkiem cegły, krzycząc: „Masz tu swoją komunię!”

Jak relacjonuje jeden ze świadków, biskup znosił to wszystko ze spokojem. Na miejscu egzekucji milicjanci znów zaczęli szydzić i urągać skazanemu. Z powodu swojego okaleczenia biskup z trudem doszedł na skraj drogi, gdzie dołączył do pozostałych więźniów stojących w szeregu. Kiedy pluton egzekucyjny załadował broń, biskup powiedział głośno: „Panie, zmiłuj się nade mną”. Rozległy się strzały. Biskup żył jeszcze. Zabrano go na cmentarz i rzucono na stos ciał. Cierpiał tak jeszcze godzinę, zanim milicjanci go dobili.

Oprawcy nie powstrzymali się nawet przed haniebnym zbezczeszczeniem zwłok biskupa. Dwaj anarchiści wyciągnęli jego ciało. Mariano Abad („Grabarz”) dał Manuelowi Carruesco spodnie biskupa, które ten nałożył po dwóch dniach, „ponieważ były w dobrym stanie”. Josć Cons Sese, zwany *El Garilla*, zabrał buty i chodził w nich, dopóki się nie zniszczyły, jak sam wyznał po wojnie. Chodził również po ulicach w biskupim kapeluszu i pozdrowiał ludzi karykaturalnymi gestami.

Po rozstrzelaniu biskupa milicjanci poszli napić się piwa. Zadowoleni z siebie, komentowali przebieg egzekucji, nie zdając sobie sprawy z tego, że rewolu-

cyjny fanatyzm pozbawił ich resztki ludzkich odruchów. Maruno Abad powiedział: „Zlikwidowaliśmy głównego szefa klechów. Sprawy mają się dobrze”. Później przypomniał sobie jednak zachowanie biskupa, które tak różniło się od tego, czego się spodziewał. „Wyobraźcie sobie, biskup! Widzieliście to? Co za opanowanie! Jeszcze kiedy pakowaliśmy mu kule w łeb, on polecał się Bogu... Trzeba było widzieć, jak ci ludzie umierają! Można by pomyśleć, że im to sprawiało przyjemność.” Przez chwilę patrzył nieruchomo w pustkę nocy. I nagle podsumował: „Nie powinien po nich zostać ani jeden ślad”.

Rano również klaretyni w sali pijarów dowiedzieli się o śmierci biskupa. Wydaje się jednak, że szczegóły dotyczące upokorzenia biskupa pozostały dla nich tajemnicą. Można to wywnioskować z relacji Pabla Halla. Wiedzieli natomiast, że był to początek zagłady wszystkich księży i zakonników z Barbastro. *Mariane*, jeden z członków komitetu rewolucyjnego, żalił się u rektora purystów, że „ci z sali” mają za dużo wolności. Mogą się zbierać, rozmawiać i modlić się. „Zauważyłem, że misjonarze zbierają się w grupy i rozmawiają ze sobą. A przez okno rozmawiają z ludźmi na ulicy. Kiedy przychodzi kucharz, wszyscy idą do niego po wieści, które czasem ich smućą, czasem weselą. Podejrzewamy, że mają broń i coś knują.” Wskutek tego uniemożliwiono bratu Ramónowi Vall wszelki z nimi kontakt. Nie mógł już wchodzić do sali nawet podczas posiłku.

Dzień po zamordowaniu biskupa, 10 sierpnia, niebo nad Barbastro pociemniało. Miasteczko zaatakowała fala fatalnej pogody. Zaczęły się burze, ulewne deszcze i opady gradu. Zdaniem niektórych mieszkańców Barbastro, ta nagle zmiana pogody oznaczała protest nieba wobec zbrodni rewolucjonistów. Młodzi klaretyni uznali jednak, że jest to raczej zapowiedź tego, co ich czeka, zwłaszcza że właśnie od tego dnia coraz częściej słyszeli groźby i obelgi. Coraz częściej z tego powodu musieli zamykać okno, jak wynika z notatek Atilia Parussiniego. To, że wkrótce umrą za Chrystusa, wydawało się już pewne. Z tego powodu student Ramón Illa Salvia napisał 10 sierpnia list do swoich bliskich, pierwszy spośród wielu, z których nie wszystkie się zachowały. Został napisany, tak jak pozostałe listy lub notatki, z braku innych możliwości, na papierze z opakowań po czekoladzie, którą codziennie każdy dostawał na śniadanie. List jednoznacznie mówi, z jakim nastawieniem młodzi klaretyni szli na śmierć.

Najukochańsza mamó, najukochańsza babciu, kochane rodzeństwo: ojcze Faustino, Pablo i Rosa, wujkowie i ciotki! W wielkiej radości ducha piszę do was, gdyż Pan wie, że nie kłamię: zawiadamiam was (a mówię to wobec nieba i Boga), że Pan w swojej dobroci zechce mi wręczyć palmę męczeńską. Na tej kartce posyłam wam prośbę zamiast testamentu: kiedy dostaniecie tę kartkę, śpiewajcie w podzięce Panu za tak wspaniały i wyjątkowy dar, jakim jest męczeństwo, które zechciał przeznaczyć mi Bóg w swojej dobroci.

Znajdujemy się od 20 lipca w więzieniu. Jest tu całe nasze zgromadzenie, dokładnie sześćdziesiąt osób. Już osiem dni minęło od czasu, jak rozstrzelano czcigodnego ojca przełożonego i dwóch innych ojców. Są szczęśliwi i ci, którzy pójdą za nimi. Nie zamieniłbym więzienia na dar czynienia cudów, a męczeństwa na możliwość pracy apostołskiej, co było marzeniem mojego życia. Zostanę rozstrzelany, ponieważ jestem duchownym i za-

konnikiem, lub, innymi słowy, ponieważ wyznaję nauki Kościoła rzymskokatolickiego. Dzięki niech będą Ojcu, Panu Naszemu, Jezusowi Synowi Jego, który razem z Ojcem i Duchem Świętym żyje i króluje na wieki wieków. Amen.

Ramón Illa, Misjonarz Serca Maryi,
kleryk, lektor Barbastro, 10.8.36

Na prawym marginesie dołączył jeszcze uwagę: „Nie wiem, którego dnia nas rozstrzelają. Prawdopodobnie będzie to w tygodniu, który się dzisiaj zaczął”. Na wielokrotnie złożonej kartce znajduje się jeszcze następująca prośba: „Proszę przesłać ten oryginał do mojej matki: Marfa Salvfa, Plaza Mayor, Bellvis (Lerida), ale ponieważ nie wiem, co się z nią dzieje, będę wdzięczny, jeśli kopia listu zostanie przesłana do don Antonia Monraba [tu następuje adres], którego w Panu ukochałem. Vale”. Jak wskazuje nagłówek listu, brat Ramóna, Faustino, miał już wtedy święcenia kapłańskie. Jest również klaretynem i żył jeszcze w momencie kanonizacji swojego brata. Jemu zawdzięczamy informacje o dzieciństwie Ramóna.

„Jako młody chłopiec nie sprawiał kłopotów. Z jego ust nigdy nie zniknął niewinny uśmiech. Był wyrosnięty i silny, a przy tym miły i skromny. Był nieco bojaźliwy i chętnie spędzał czas w domu. W szkole, gdy tylko miał okazję, odmawiał różaniec i z wielką radością opowiadał o tym, kiedy wracał do domu. W wieku pięciu lat był już ministrantem. Ponieważ nasz dom stoi blisko kościoła, Ramón czekał na księdza proboszcza, aby razem z nim wchodzić do kościoła. Kiedy szedł spać, prosił mamę, aby go wcześniej zbudziła. Jednego dnia trzy razy służył do mszy, cały czas stojąc. Można się domyślić, jak bardzo cenił go ksiądz.”

Już jako dziewięciolatek przyszedł do klaretynów. Z powodu wczesnego rozpoczęcia nauki zakończył czteroletni kurs ogólnokształcący w wieku trzynastu lat. Psychicznie i fizycznie był bardzo rozwinięty. Podczas zabawy i w kontaktach z innymi zachowywał się jeszcze jak dziecko, jednak w czasie przeznaczonym na ciszę i modlitwę ujawniał należytą powagę. Ponieważ jeszcze nie osiągnął odpowiedniego wieku, aby rozpocząć nowicjat, zaczął w wieku trzynastu lat studiować filozofię. Zawsze nosił przy sobie notatnik, aby zapisywać swoje przemyślenia, które przysły mu do głowy podczas lektury albo były wytworem jego bujnej wyobraźni. Poza tym uczył się angielskiego i francuskiego. Od 1929 do 1930 roku spędził w Vic okres nowicjatu. Aby zakończyć swoje studia filozoficzne, potrzebował tylko roku. Przez rok uczył się też w szkole podstawowej w Cervera.

Ramón Illa posiadał również talent pisarski. Pisał do wewnętrznego pisma zakonu *Misión Cordimariana* i współpracował później także z czasopismem *La Fiesta Santificada* oraz z *El Misionero*. W 1932 roku otrzymał nagrodę za pracę, którą napisał w Akademii Maryjnej w Léridzie. Był również autorem sztuki teatralnej, wystawionej publicznie po kanonizacji Antoniego Marii Klareta w 1934 roku. Z pasją studiował grekę i hebrajski. W oryginale czytał zarówno pisma świętego Jana Chryzostoma, jak i proroka Jeremiasza i psalmistów. Jego duchowość była ukształtowana przez liturgię. Na długo przed ślubami wieczystymi odmawiał całą Liturgię Godzin, i to - co wtedy stanowiło wyjątek - zawsze o odpowiedniej

porze dnia. Co więcej, uzyskał zezwolenie, aby zmawiać w nocy nokturny. Pod koniec czwartego roku teologii otrzymał tonsurę i pierwsze dwa niższe święcenia. Był również „kłerykiem, lektorem”, co traktował bardzo poważnie, o czym świadczy fakt, że umieszczał te tytuły przy swoim podpisie. Z wielką uwagą czytał książki liturgiczne, w których znajdował niewyczerpane źródło dla swojej duchowości i liczne inspiracje dla swoich wierszy, które pisał po hiszpańsku, katalońsku i po łacinie.

10. SZEŚCIU NAJSTARSZYCH

Dzień 11 sierpnia przyniósł kolejne sygnały, że Ramón Illa trafnie przewidział czas nadejścia śmierci. Pablo Hall relacjonuje: „11 sierpnia o 7 rano zjawił się w naszym więzieniu przedstawiciel komitetu. Z tego, co powiedział, domyśliliśmy się, że koniec jest bliski. Powiedział, że jesteśmy oskarżeni o wiele ciężkich przestępstw i trzeba zbadać, czy to prawda. Nie chciał nam powiedzieć, o co się nas oskarża; powiedział tylko, że wśród licznych zarzutów jest i ten o posiadanie broni. Ustawił nas pośrodku sali w dwuszeregu i kazał wszystkim przeszukać. Funkcjonariusze zachowywali się wobec nas opryskliwie i na koniec powiedzieli nam, że złamaliśmy obowiązujące nas zasady. Tymczasem jakiegokolwiek stałe zasady ni istniały, ponieważ to, na co pozwalali nam jedni strażnicy, były później zabraniane przez ich zmienników. Ponieważ w oskarżeniach nie było nawet cienia prawdy, powiedziano nam, że po zebraniu dowodów naszych przestępstw zastosuje się wobec nas inne środki; mówiąc w skrócie: nie powinniśmy być zaskoczeni, jeśli coś będzie się działo”.

Pod groźbami zażądano od klaretynów niezwłocznego oddania wszelkich ostrych przedmiotów, które ukryli. Nikt się nie poruszył. Nagle wystąpił ojciec Josć Pavón i wręczył przedstawicielowi władzy naostrzony ołówek. Poważnym tonem, który jednak wyraźnie zdradzał ironię, powiedział: „Innych ostrych przedmiotów tu nie ma”.

Aby udowodnić jakiegokolwiek przewinienie, komitet wezwał paru chłopców, którzy w kościele Klaretynów byli ministrantami. Przyznali, że byli kilka razy z seminarzystami na terenie areny walk byków, gdzie odbywały się ćwiczenia wojskowe. Pomagali im nosić teczki z wojskowym sprzętem. Mimo że przesłuchujący im grozili, chłopcy mówili tylko o tym, co rzeczywiście widzieli. Nie widzieli żadnej broni poza drewnianymi strzelbami „do zabawy”.

Skoro klaretynom nie można było nic udowodnić, należało przynajmniej narzucić im surową dyscyplinę. Jeśli ktoś złamie te obostrzone przepisy, będzie to wyśmienity pretekst do zastosowania represji. Pablo Hall tak scharakteryzował nowe zarządzenia: „Surowo zabraniają nam zbierać się w grupy; możemy co najwyżej kontaktować się z jedną osobą, ale jak najkrócej. Nikt nie powinien przemawiać. Wielu wyciągnęło stąd wniosek, co potem okazało się słuszne, że dali nam jeden dzień, abyśmy przygotowali się na śmierć i że zaczną nas rozstrzeliwać bez żadnego procesu sądowego”.

W rzeczywistości los klaretynów był od dawna przypieczętowany, co potwierdza ojciec Eusebio Ferrer, rektor purystów, który uniknął śmierci dzięki argentyńskiemu obywatelstwu. Kiedy Leoncio Fantova (*El Trucho*) przyszedł go osobiście powiadomić, że ma rozkaz rządu, aby wszystkich cudzoziemców zawieźć do Barcelony, purysta spróbował przemówić mu do sumienia. „Na miłość Boską, Leoncio, przelaliście już tyle krwi.” Na to odpowiedział anarchista: „Za

tych na górze ja ponoszę odpowiedzialność, za tych na dole nie”. „Ci na górze” to byli puryści i benedyktyni z El Pueyo, „ci na dole” to byli klaretyni. Odpowiedź była zatem jednoznaczna: los klaretynów jest przesądzony, nie można już im pomóc.

W tej sytuacji rektor pijarów chciał przynajmniej ulżyć im w ostatnich godzinach, zwłaszcza że skazano ich na samotność. Uzyskał zgodę na to, aby przyniesiono im książki z biblioteki purystów. Książki religijne nie wchodziły w grę - nie godzili się na nie ani strażnicy, ani przedstawiciele komitetu - dlatego wybrano dzieła literatury pięknej. Ojciec Nicasio Siewa przyjął książki i przejrzał je, aby upewnić się, czy nie przemycono jakichś niemoralnych tekstów. Wszystko było w porządku. Nikt jednak nie chciał czytać. Jak pisze Parussini: „nie było czasu na czytanie, tylko na szykowanie się na śmierć”.

Po kolacji klaretyni ułożyli się do snu - na scenie i nielicznych kocach w tylnej części sali, aby nie leżeć na gołych deskach podłogi. Nie wiemy, czy rzeczywiście udało im się zasnąć. Ale wiemy, że wszyscy mieli pełną świadomość, iż to może być ostatnia noc ich życia.

Rzeczywiście, o wpół do czwartej, więc już 12 sierpnia, z hukiem otworzyły się drzwi do sali i do środka wtargnęło około piętnastu uzbrojonych milicjantów. Było jasne, po co przyszli. Sama nocna pora i broń wyraźnie zdradzały zamiary napastników. Świadczyły o tym także powrozy w ich dłoniach.

W sali zapanowało na chwilę zamieszanie. Dowódca milicjantów kazał zapalić wszystkie lampy. Potem zapytał: „Szybko, kto tu jest przełożonym?” Padła odpowiedź: „Ojca przełożonego oddzielono od nas, zanim jeszcze zabrano nas z seminarium”. „W porządku. Niech wystąpi sześciu najstarszych!”

Wywołani bez oporu wykonali rozkaz. Krótkim spojrzeniem upewnili się, że rzeczywiście stanowią grupę najstarszych. Ustawili się w szeregu:

Brat Gregorio Chirivas (lat 56), który doszedł do siebie o chorobie w pierwszych dniach uwięzienia.

Ojciec Nicasio Siewa (46 lat), który ze względu na starszeństwo objął kierownictwo duchowe grupy więźniów.

Ojciec José Pavón (35 lat), który uciekł z zaatakowanego domu zgromadzenia w Dativie i jako więzień w Barbastro nigdy nie tracił humoru.

Ojciec Sebastian Calvo (33 lata), prowadzący misję wśród ludu. Ojciec Pedro Cunill (także 33 lata), pochodzący z Vic, miejsca powstania kongregacji klaretynów, w czasie ataku milicji na seminarium wykazał się opanowaniem i odwagą.

Najmłodszym w tej grupie był subdiakon Wenceslao Claris Vilaregut, który z powodów zdrowotnych musiał przerwać swoje studia na wiele lat, a teraz zbliżał się wreszcie do upragnionego celu.

Tylko dwóch ojców zabrakło wśród grupy najstarszych. Ojca Secundina Ortegę i ojca Luisa Masferrera, którzy do końca mieli towarzyszyć pozostałym studentom, by wspierać ich w ostatnich dniach i godzinach. W pewnej chwili jednak spojrzenia idących na śmierć zwróciły się w ich stronę. Tak relacjonuje ten moment Pablo Hall: „Ojciec Pavón dał znak ojcu Omedze, który stał na scenie. W

odpowiedzi na tę niemą prośbę ojciec Ortega udzielił całej szóstce rozgrzeszenia. Później ojciec Pavón z uśmiechem na twarzy przekazał nam znak pożegnania. Kiedy naszych braci zakuwano w kajdany, ojciec Cunill zapytał milicjantów, czy może coś powiedzieć. Najpierw odpowiedzieli mu, że nie ma na to czasu, ale w końcu jeden zezwolił »Ponieważ nie wiemy, dokąd nas zabieracie, czy pozwolicie nam zabrać książkę, abyśmy mogli jakoś wypełnić czas, żeby się nie nudzić?« »Tam, dokąd was zabieramy - odpowiedział dowódca - nie będzie wam nic brakowało, będziecie mieć wszystko co trzeba«,.

Czy w tych słowach komunisty rozbłysła ostatnia isierka wiary, czy myślał on o niebie, czy też po prostu chciał dać wymijającą odpowiedź? W każdym razie młody ojciec wiedział już dokładnie, dokąd wyruszają. Dlaczego jednak zadał takie pytanie? Czy chciał usłyszeć jednoznaczne potwierdzenie czekającej ich egzekucji? Tak oto wyjaśnia jego zachowanie Pablo Hall: „Z pewnością nie chodziło ojcowi o to, żeby zabrać ze sobą książkę, ponieważ aż za dobrze wiedział, że mają być rozstrzelani na cmentarzu. Chciał jednak wejść raz jeszcze na scenę, aby przemówić do nas i z nami się pożegnać”.

Wyznaczonym do egzekucji związano z tyłu ręce. Następnie podzielono ich na dwie grupy i powiązano za ramiona. W jednej grupie byli: ojciec Sebastian Calvo, ksiądz diecezjalny i zakrystianin katedry Marcelino de Abajo, subdiakon Wenceslao Claris i brat Gregorio Chirivas. Drugą grupę stanowili ojcowie Pedro Cunill, Nicasio Siewa i José Pavón.

Wprowadzono ich z sali i skierowano na drugi kraniec placu ratuszowego, gdzie czekała na nich ciężarówka. Ze wszystkich stron mierzyły do nich lufy naładowanych karabinów. Czterdziestu dwóch pozostałych w sali klaretynów patrzyło na nich smutno przez okno. Milicjanci zgasili w sali światło i kazali więźniom spać dalej. „My jednak - pisze Parussini - byliśmy tak wstrząśnięci, że o żadnym spaniu nie było mowy; modliliśmy się razem w rogu sceny: szykowaliśmy się do złożenia ofiary z naszego życia.”

Już siedem minut przed czwartą rano rozległy się odgłosy wystrzałów, które było słyhać również w sali pijarów. Modlący się klaretyni wiedzieli, że ich towarzysze zginęli, do końca nie tracąc wiary.

Egzekucja nie odbyła się na cmentarzu w Barbastro, jak sądzili Pablo Hall i pozostali klaretyni, lecz jak się później okazało, nieopodal, na drodze prowadzącej do Berbegal. Oto jaki był powód tej zmiany: z sąsiadującego z cmentarzem szpitala wpłynęła do komitetu skarga, że krzyki i jęki rozstrzeliwanych negatywnie wpływają na stan zdrowia pacjentów. Klaretynów rozstrzelano w świetle reflektorów ciężarówki. Kiedy już było po wszystkim, ciała zabitych pozostawiono na miejscu kaźni, ażeby się całkiem wykrwawiły. Milicjanci z plutonu egzekucyjnego raczyli się w tym czasie winem w pobliskiej gospodzie, rozmawiając głośno i nie kryjąc przed obecnymi tam chłopami i robotnikami żniwnymi szczegółów dotyczących ofiar i katów.

Kiedy milicjanci uznali, że ciała się już dostatecznie wykrwawiły i nie pobrudzą ciężarówki -ładowali je na platformę. Zabitym zdejmowano wtedy więzy,

które były potrzebne dla następnych skazańców. Zwłoki przewieziono na cmentarz i pochowano w zbiorowej mogile. Aby uniknąć zarazy, posypywano martwych niegaszonym wapnem i zasypywano niewielką ilością ziemi, zostawiając w ten sposób miejsce na kolejną warstwę trupów.

Mimo anonimowego pochówku, udało się później w wielu wypadkach odnaleźć groby i zidentyfikować zwłoki. Co noc bowiem ukrywali się na cmentarzu ludzie uważnie obserwujący, gdzie chowano poszczególne grupy rozstrzelanych.

11. POŻEGNANIE

Rankiem 12 sierpnia nie trzeba było budzić czterdziestu dwu klaretynów w sali teatralnej pijarów. Po tym jak zabrano ich sześciu współbraci, żaden z nich nie mógł spać. Mimo całej gotowości do męczeństwa, żywiona w skrytości ducha nadzieja, że komitet zadowolony się śmiercią trzech ojców przełożonych, okazała się całkowicie złudna. Okazało się, że jest wręcz przeciwnie.

Już o 7 rano przekonali się o tym po raz kolejny. Parussini opisał ten moment dwa tygodnie później w liście do rodziców:

Tego samego dnia pojawił się o 7 rano przedstawiciel komitetu z uzbrojoną eskortą. Ustawił nas w dwuszeregu i spisywał po kolei nasze nazwiska. To była czarna lista! Osobno spisał również dane cudzoziemców. Cały dzień wypełniły przygotowania do bliskiej śmierci.

Być może sporządzenie listy stanowiło ze strony komitetu kolejną próbę zastraszenia. Komitet przecież już od początku posiadał kompletną listę nazwisk uwięzionych klaretynów. Możliwe jednak, że ta pierwsza lista zaginęła w rewolucyjnym zamieszaniu.

Ponieważ od obydwu argentyńskich studentów pobrano osobne dane, można by przypuszczać, że objęto ich specjalnym traktowaniem. Biorąc pod uwagę dotychczasowe doświadczenia, studenci ci mieli wątpliwości, czy w związku z tym mogą liczyć na uwolnienie. Oto co pisze Parussini: „20 lipca (w dniu aresztowania) i później dwa razy w więzieniu informowałem, że jestem cudzoziemcem, tak jak i Pablo Hall (również Argentyńczyk i mój szkolny kolega), ale nikt nie zwracał na to uwagi; co więcej: jeden z członków komitetu komunistycznego (21-letni smarkacz) powiedział mi, że nasze uwolnienie jest niemożliwe, ponieważ komitet nie może brać odpowiedzialności za nieobliczalne zachowanie „kolumn” z Katalonii (żołnierze i cywile mający walczyć w Huesca i Saragossie); inny człowiek z komitetu (także młody) powiedział mi lodowatym tonem: »Człowiek musi być przygotowany na śmierć!« Mówiąc w skrócie: przez cały czas nie miałem złudzeń; byłem pewny, że podzielę los moich współbraci, starałem się więc przygotować na śmierć jako waleczny żołnierz Chrystusa”.

Kiedy strażnicy oświadczyli uwięzionym, że spożywają swój ostatni posiłek, Parussini napisał list pożegnalny. Po latach mówi o tym tak: „Znalazłem kawałek papieru, na którym napisałem kilka słów pożegnania do rodziny i do kongregacji. Pamiętam początek: *Niech żyje Chrystus Król! Niech Bóg ma was w swojej opiece, kochani rodzice i rodzeństwo, nie płaczcie. Idę do nieba, umieram jako męczennik... Mój Jezu, ofiaruję Tobie moje życie. Opuść grzechy moje, moich prześladowców, kongregacji. Mój Jezu, Maryjo Matko moja, błagam o siłę, abym wytrzymał, był cierpliwy i niezłomny... Moi kochani rodzice, bracia i siostry, radujcie się, nie płaczcie... Wasz syn i brat jest męczennikiem i będzie się za was modlił w niebie...* Nie pamiętam już reszty listu. Jeszcze dzisiaj wydaje mi się, jakbym tam

był i pisał te słowa pożegnania na zawsze, oparty o pianino, ze łzami w oczach i z bijącym ze wzruszenia sercem. Później przekazałem list pewnemu chłopcu, za przyjaźnionemu z nami i purystami, o imieniu José, prosząc, aby go wysłał, kiedy nas rozstrzelają, a Hiszpania będzie znów spokojna. Do tego stopnia byłem pewny śmierci!”

Pablo Hall również nie wierzył w możliwość uwolnienia, mimo że mu to obiecywano. „Kiedy 12 sierpnia zabrali pierwszych sześciu, wzięli nas, cudzoziemców, na bok i powiedzieli nam, że jesteśmy bezpieczni. Nie wierzyłem w to, ponieważ dwa dni wcześniej komitet z Barbastro kazał rozstrzelać dwóch świeżych cudzoziemców, znanych ze swojej działalności w katolickich stowarzyszeniach. Pomyślałem wtedy sobie: To świadczy tylko o tym, że nas rozstrzelają, ponieważ jesteśmy zakonnikami. Na pewno spalili nasze dokumenty i nie powiedzą nam, że czeka nas ten sam los co pozostałych i nie będą robić żadnej różnicy między Hiszpanami a cudzoziemcami...”

Wszyscy więźniowie szykowali się więc na śmierć. Nie brakowało przy tym refleksji o własnej niedoskonałości, ale istotną rolę odgrywały też myśli o wybaczeniu. Tak opisuje ten dzień Pablo Hall: „Dzień 12 sierpnia poświęciliśmy w całości, aby się żarliwie przygotować na śmierć. Po raz ostatni wyspowiadaliśmy się. Czas upływał nam na modlitwie i medytacjach. Wszyscy oddaliśmy się woli Boga i byliśmy szczęśliwi, że możemy umrzeć za prawdę naszej wiary. Przepraszaliśmy się też wzajemnie za wszelkie przewinienia. Wielu całowało stopy współbraci, prosząc ich o przebaczenie. Wieczorem w modlitwie brewiarzowej ofiarowaliśmy nasze dusze Bogu. Wszyscy wyraźnie oświadczyli, że przebaczą swoim katom i zobowiązywali się modlić się za nich w niebie, aby się nawrócili”.

Ich modlitwy nie pozostały bez odpowiedzi. Wiadomo o co najmniej jednym przypadku przemiany duchowej, która mogła być owocem tych modlitw: jeden z inspiratorów rewolucji w Barbastro, człowiek o nazwisku Puyuelo został stracony po wojnie w Walencji. Przed śmiercią wyspowiadał się ze wszystkich krzywd, jakie wyrządził, i prosił o powolną i bolesną śmierć, aby odpokutować za swoje grzechy.

Oczekujący na śmierć klaretyni nie zapomnieli, że ich powołaniem nie jest jedynie własna doskonałość. Wstąpili do zgromadzenia klaretynów, aby jako misjonarze prowadzić ludzi do Boga i, mówiąc słowami tamtego czasu, „ratować dusze dla Boga”. Skoro nie dane im było aktywnie realizować tego zadania, chcieli przynajmniej poprzez swoje cierpienia przysłużyć się dziełu misyjnemu. Pablo Hall pisze dalej: „Z miłości do Jezusa i Maryi z radością oddaliśmy nasze życie ukochanej

kongregacji, której szeregi będą rosnąć i której chwała szerzyć się będzie w czasach pokoju; naszym misjom; panowaniu Jezusa i adorowaniu Niepokalanego Serca Maryi. Polecamy się pamięci czcigodnego ojca generała i naszych rodzin”.

Wbrew temu co sądzili bracia Argentyńcy, ich koledzy byli przekonani, że dwaj cudzoziemcy zostaną uwolnieni. Dla nich jednak oznaczało to, że ominię ich łaska męczeństwa. Gdyby rzeczywiście do tego doszło, chcieli przynajmniej być świadkami gotowości innych do męczeństwa.

„Moi towarzysze mówią mi - pisze Pablo Hall w swojej relacji - że ludzie z komitetu dotrzymają słowa i puszczą nas wolno. Odpowiadam im, że w ten sposób przypadnie mi gorsza rola, jeśli jednak tak się stanie, zrobię wszystko co możliwe, aby pojechać do Rzymu i powiadomić wyższych przełożonych o tym, co zaszło tu w Barbastro. Chciałbym też czcigodnemu ojcu generałowi przekazać jakąś pamiątkę po wszystkich, którzy zginęli lub wkrótce zginą.”

W niezwykle wzruszającej scenie wszyscy wyznali swoją miłość do kongregacji klaretynów. Tak opisuje to Pablo Hall: „Przyniosłem chusteczkę należącą do ojca Nicasio Siewy, który został rozstrzelany kilka godzin wcześniej, i wszyscy ją całowali i dotykali nią czoła. Mówili przy tym: »Pocałunek ten posyłam ukochanej kongregacji, gdyż jestem szczęśliwy, że umrę na jej łonie«,».

Słowa te wyrażają nie tylko niezłomną wierność dla kongregacji, w której wyrosli i dojrzeni, ale i silną wiarę w „pocieszającą obietnicę”, rozpowszechnioną od lat wśród klaretynów, która mówi, że każdy członek kongregacji umierając, uzyskuje wieczną szczęśliwość.

Młodzi klaretyni nie chcieli pozbywać się przedmiotów, które później mogły być uznane za relikwie. Pablo Hall tak to przedstawił: „(...) czuję się zobowiązany wyjaśnić, że ci, których poprosiłem o pamiątki po rozstrzelanych braciach, zgodzili się spełnić moją prośbę pod wyraźnym warunkiem, że dopilnuję, aby była to pamiątka dla kolegów ze szkoły i więzienia lub by służyła jako pamiątka i pocieszenie dla rodziców i rodzeństwa tych, których Bóg wezwał do siebie. Nie wszyscy zaakceptowali to na początku. Inni natomiast wystarali się na własną rękę o różne przedmioty i mówili mi: »Jeżeli was zwolnią i będzie to możliwe, zabierzcie ze sobą to, co należało do takiego a takiego ojca, który dzisiaj rano zginął, co z czasem będzie służyć jako relikwie, jeśli Święta Matka Kościół uzna go kiedyś za męczennika. My bowiem wierzymy, że stoją teraz w obliczu Boga, gdyż zabito ich z powodu nienawiści do księży i zakonników, do wszystkiego, co łączy się z Kościołem katolickim; ponieważ nie wyrzekli się prawdy, zabili ich ci, którzy nie mogli patrzeć na sutannę«. (To wszystko powiedział mi Juan Echami, który został rozstrzelany rano 13 sierpnia)”.

Studenci Esteban Casadevall, Teodoro Ruiz de Larrinaga, Ramón Novich, José Amorós i inni z tego samego roku studiów poprosili obydwu Argentyńczyków, aby przekazali ich ówczesnemu mistrzowi nowicjatu ojcu Ramónowi Ribezze, że „każde *Ojciec nasz*, które odmawiali na spacerze, prosząc o łaskę męczeństwa, przyniesie teraz skutek, chociaż nie za każdym razem modlitwa była odmówiona z należytym poświęceniem”.

Niektórzy w obliczu śmierci myśleli z żalem o działalności misjonarskiej, o której marzyli i która pozostanie marzeniem niespełnionym. Ale przecież wiedzieli, że nawet śmierć nie wyklucza wszystkich możliwości apostołskiej działalności, a może nawet przynosi nowe i lepsze. „Powiadomcie ojca José Fogueada (który prowadził misję klaretynów w Chinach), że teraz kiedy nie mogę pojechać do Chin, a zawsze marzyłem o tym, by tam pojechać, z radością ofiaruję moją krew za misjonarzy w Chinach i w niebie będę się za nich modlił” - powiedział student Rafael Briega do Pabla Halla. Podobnie wypowiadali się Ramón Novich, José Amorós, Javier Luis Bandres oraz student, którego imienia nie wymienia Pablo Hall: „Ponieważ nie pełniliśmy na ziemi naszej świętej służby i nie mogliśmy pracować dla nawrócenia grzeszników, będziemy to czynić jak mała święta Teresa od Dzieciątka Jezus i w niebie będziemy starali się czynić dobro dla ziemi”.

Inicjatywę przejął teraz 25-letni student Faustino Pérez, który miał już za sobą przejmujące doświadczenia. Jako małe dziecko ten syn kościelnego z Barindano stracił matkę. Ojciec kazał mu po szkole paść kozy. Przeczytał wtedy starą książeczkę, którą znalazł w domu, pod tytułem *Wieczne prawdy*. Książka zafascynowała go i postanowił działać. W swojej dziecięcej nadgorliwości zrobił dla siebie pokutne buty z drutu, gwoździ i kawałków blachy. Ważniejsze jednak od tej dziecinnej przesady było to, że w czasie wypasu kóz nauczył się odmawiać różaniec.

Jako syn kościelnego Faustino był również ministrantem. Nieraz zbierał dzieci z okolicy, brał potajemnie klucz do kościoła i wpuszczał je do środka. Tam wspinał się na ambonę i wygłaszał do nich kazanie. Była to z pewnością dziecięca zabawa, ale również wyraz wewnętrznej tęsknoty.

Kiedy pewnego razu proboszcz wygłosił kazanie o powołaniu do stanu duchownego, Faustino postanowił, że zostanie misjonarzem. W domu nikt nie czynił mu przeszkód. W swoim entuzjazmie chłopiec powiedział na pożegnanie do dziadka: „Dziadku, nie dziw się, jeśli usłyszycie kiedyś, że Faustino wyrósł na świętego”. A jego macocha - ojciec powtórnie ożenił się - pożegnała go słowami, które w chwili jego męczeństwa w nieoczekiwany sposób stały się aktualne. Powiedziała mu: „Synu, jeśli powrócisz kiedyś na wieś głosić kazanie, musisz głośno krzyczeć”.

W wieku czternastu lat wstąpił Faustino do seminarium klaretynów w Alagón. Po okresie przygotowawczym odbył czteroletni nowicjat w Vic, który zakończył 15 sierpnia 1930 roku, składając swoje pierwsze śluby. Od tego czasu minęło sześć lat.

W ciągu tych sześciu lat nie wszystko jednak układało się tak pomyślnie, jak chcieliby tego młody seminarzysta i jego prefekci. Faustino pilnie studiował, wręcz trudno go było odciągnąć od nauki. Czytał wszystko, co wpadło mu w ręce. Uczył się oprócz normalnych przedmiotów szkolnych również angielskiego, francuskiego, stenografii. W sztuce mówienia prześcignął wszystkich. Kiedy jakiś student miał do odrobienia ćwiczenia z kazań, wystarczyło godzinę wcześniej porozmawiać z Faustinem, który był w stanie bez trudu poradzić sobie z każdym

zadaniem. Jego zapal w nauce stał się namiętnością, której nie potrafił już opanować. Nie zważał na zalecenia swoich przełożonych. Zaniedbał swoje życie duchowe. Dopiero rekolekcje, które przeprowadził ze studentami ojciec Jaime Girón, otworzyły mu oczy. „Dalej tak być nie może” - powiedział sobie i poprzysiągł poprawę.

Jego przełożeni nie bez wątpliwości przyjęli te deklaracje przemiany. Musiał dowieść, że poważnie traktował swoje powołanie. Dlatego nie przedłużyli mu odroczenia służby wojskowej, którą Faustino zaczął w Bilbao. Ale tu jego życie religijne rozkwitło; jego postawa robiła ogromne wrażenie na pozostałych rekrutach. Listy, które pisał do Cervera, czytano studentom, aby wzmocnić ich powołanie. I pod koniec służby wojskowej nie wrócił sam: przyjechał z nim jeszcze jeden kandydat na brata. Faustino zdał swój egzamin.

Otóż tenże Faustino Perez przejął teraz inicjatywę. Kiedy obydwoj Argentyńcy zostaną uwolnieni, powinni poświadczyć przed ojcem generałem, że klaretyni z Barbastro stojąc w obliczu męczeństwa, bez wahania przyjęli wolę Bożą. Papier z opakowania po czekoladzie długości 32 cm i szerokości 22 cm, gdzie na jednej stronie w rogu znajdował się znaczek firmowy zajmujący jedną trzecią strony, oferował wystarczającą ilość miejsca, aby na nim pisać. Faustino zaczął następująco:

12 sierpnia 1936, Barbastro

Już sześciu spośród naszych towarzyszy zostało męczennikami, a wkrótce i my nimi zostaniemy. Jednak wcześniej chcemy oświadczyć, że umierając, przebaczymy tym, którzy odbierają nam życie, i że poświęcamy nasze życie w obronie chrześcijańskiego ładu w robotniczym świecie, dla ostatecznego zwycięstwa Kościoła katolickiego, dla naszej ukochanej kongregacji i dla naszych ukochanych rodzin. Ostatni dar dla kongregacji od jej synów męczenników!

Niech żyje Chrystus Król! Niech żyje kongregacja męczenników!

Faustino Perez CMF

Teraz poprosił swoich współbraci, aby każdy z nich dołączył kilka słów potwierdzonych podpisem. Zdania przez nich napisane są skromne i proste, ale pokazują, jakie życzenia wypełniały ich serca:

Niech żyje społeczna władza robotników Jezusa Chrystusa! T. Capdevila Miró CMF.

Niech żyje katolicka Hiszpania! José Ma Ormo CMF.

Niech żyje Pilarka¹⁰, patronka mojej ojczyzny! J. Sanchez Munárriz CMF.

¹⁰ Popularne zdrobnienie od *Marta del Pilar* (Maria od Kolumny). Według legendy, Maria ukazała się w Saragossie na kolumnie. Kult dla *Virgen del Pilar* rozprzestrzenił się w całej Hiszpanii i Ameryce Południowej, a *Pilar* stało się popularnym imieniem kobiecym. Juan Sanchez Munárriz pochodził z Malón, wsi pod Saragossą, czyli z miejsca, gdzie narodził się kult *Marfa del Pilar*.

Niech żyje Serce Maryi! Rafael Briega CMF.
 Niech żyje Serce Maryi! Juan Codinachs CMF.
 Niech żyje święty ojciec Klaret! Alfonso Sorribes CMF.
 Niech żyją męczennicy! Luis Escale CMF.
 Niech żyje katolicki ruch robotniczy! José Ma Ros CMF.
 Niech żyje religia katolicka! Manuel Martinez CMF.
 Niech żyje Jezus Chrystus Król! Manuel Torras CMF.
 Niech żyje Chrystus Król! Eusebio Codina CMF.
 Wybaczam moim wrogom! José Figuro CMF.
*Domine dimitte illis*¹¹. Agustin Viela CMF.
 Niech żyje Chrystus Król i Serce Maryi! Eduardo Ripoll CMF.
 Niech żyje katolickie Barbastro! Manuel Buil CMF.
 Ofiaruję swoją krew na ratowanie dusz. Javier Luis Bandres CMF.
 Niech żyje ojciec Klaret, apostoł i robotnik! Luis Lladó CMF.
 Niech żyje Jezus Chrystus Zbawiciel! Niech żyje Serce Maryi! José Brengaret Pujol CMF.
 Za Boga walczymy do śmierci. Miguel Massip CMF.
 Dzięki i chwała Panu za wszystko. Ramón Illa CMF.
 Moja krew, o Jezu, za Boga i za dusze. Antolin Calvo CMF.
 Niech żyje Niepokalane Serce Maryi! Esteban Casadevall CMF.
 Niech żyje Serce Jezusa! José Ma Roura
 Niech żyje Niepokalane Serce Maryi! Hilario Llorente CMF.
 Niech żyje Niepokalane Serce Maryi! Sebastián Riega CMF.
*Offero libentur meum sanguinem pro Ecclesia et Congregatione*¹². Johannes Echarri CMF.
 Niech żyje Bóg! Nigdy nie myślałem, że będę godzien tak niezwykłej łaski. F. Castan M. CMF.
 Nasze będzie Królestwo. T. Ruiz de Larrinaga CMF.
 Niech żyją Święte Serca Jezusa i Maryi! Juan Baixeras CMF.
 Panie, wszystko dzieje się zgodnie z Twoją Boską wolą! Antonio Ma Dalmau CMF.
 Umieram za kongregację i za dusze! José Ma Blasco CMF.
 Niech żyją Święte Serca Maryi i Jezusa! José Ma Badia CMF.
 Niech żyją Święte Serca Jezusa i Maryi! Pedro Garcia Bernal CMF.
 Cóż to za cudowna idea! Za Ciebie, moja Królowo, oddać krew. Salvador Pigem CMF.
 Niech żyje kongregacja! Alfonso Miquel CMF.
 Niech żyje Serce Maryi, mojej Matki, i Jezusa Chrystusa, mojego Zbawiciela!
 Luis Masferrer CMF.
 Niech żyje papież i Akcja Katolicka! Secundino Ma Omega CMF.

Ponieważ pod znacznikiem firmowym zostało jeszcze trochę miejsca, Faustino Perez mógł dopisać zakończenie do tego niezwykłego dokumentu: „Niech żyje kongregacja, która jest święta, prześladowana i męczenna! Trwaj, nieśmiertelna, kochana kongregajo, i dopóki twoi synowie są więzieni, jak w Barbastro, nie ma wątpliwości, że czeka cię wieczność. Chciałem walczyć w twoich szeregach! Niech będzie pochwalony Bóg! „ A w poprzek znaczka firmowego napisał z wprawą, zamaszycie: „Niech żyje kongregacja!”

¹¹ „Panie, wybacz im!” (Łk 23, 34).

¹² „Ofiaruję moją krew za Kościół i Kongregację”.

Młodzi klaretyni pisali na wszystkim, na czym się dało. W najlepszym wypadku na papierze z opakowania po czekoladzie, kartkach z notatnika, na brzegach brewiarza i modlitewnika, na deskach sceny, na stopniach schodów i na ścianach.

Napisy na ścianach wkrótce zamalowano, a że później ściany malowano dość często, zapiski klaretynów dzisiaj są już nie do odtworzenia. Pewien purysta miał jeszcze okazję je przeczytać i głęboko żałował, że je usunięto. Były to duchowe perły, które świadczyły o ufności w Boską opiekę. Po wojnie można było odczytać jeszcze trzy zdania: „Wybaczymy naszym wrogom”, „Krew męczeńska jest ziarnami chrześcijan” i „Przebaczamy wam, którzy będziecie naszymi katami”. Przczytane przez wielu świadków po wkroczeniu oddziałów nacjonalistycznych, te i inne napisy ze ściany przez jakiś czas pełniły rolę częściowo duchowego po-krzepienia, częściowo przesłania dla „czerwonych”.

Wszystkie zapiski na papierze były chowane przed milicjantami i anarchi-
stami. Potwierdzają to Parussini i Hall. „Ukryto wiele zapisanych kartek” - zanota-
tował Parussini w swoim niedokończonym dzienniku, a Hall uzupełnia: „Zapisa-
liśmy nasze pragnienie polecenia się czcigodnemu ojcu generałowi i naszym bliskim
na kartkach, które, jeśli Bóg tak da, mamy nadzieję kiedyś znowu otrzymać, po-
nieważ są, jak sądzę, dobrze ukryte”. Atilio Parussini w liście, który napisał 21
stycznia 1937 roku w Albano we Włoszech do swojego prowincjała w Argentynie,
ujawnia: „Pod sceną zakopaliśmy *botijo* (dzban na wodę), gdzie ukryliśmy kartki,
różańce, obrazki...”

Chociaż kryjówka była dobra, i tak została wykryta. Kobieta pracująca w
kuchni purystów otrzymała od rewolucjonistów polecenie spalenia części zapisa-
nych kartek w piecu, postanowiła je jednak zachować. Później o miejscu ukrycia
zapisków dowiedział się brat Ramón Vall, który po śmierci męczenników jeszcze
przez jakiś czas gotował u piarystów, ponieważ komitet rewolucyjny zorganizował
w sali teatralnej publiczną stołówkę. Brat Ramón odzyskał cenne notatki i przeka-
zał je pewnej rodzinie w Barbastro, która je ukryła.

Dzięki temu zachowały się słowa osobistego pożegnania studenta José
Bregareta:

Niech żyje Chrystus Król! Kiedy Bóg zechce odebrać mi życie, oddam Mu je z ra-
dością. Za kongregację i za Hiszpanię. Umrę w spokoju, po przyjęciu świętych sakramen-
tów. Umieram niewinnie; nie należę do żadnej partii politycznej - zabrania nam tego nasza
konstytucja, szanujemy każdą legalną władzę. Proszę wszystkich przed Bogiem i moim
sumieniem o wybaczenie za wszystko, czym mogłem kogoś skrzywdzić lub obrazić. Prze-
baczam wszystkim moim wrogom. Żegnaj się z moim ojcem i moim rodzeństwem. Kiedy
Bóg zabierze mnie w swojej dobroci do nieba, spotkam tam moją mamę.

José Bregaret

Dwudziestoczeroletni student Luis Escala napisał słowa pożegnania na
chusteczce.

Jako trzynastolatek wstąpił w lutym 1925 roku do zgromadzenia w Cervera
i później uczył się w Cervera i w Alagón. W roku 1929 rozpoczął nowicjat w Vic,

gdzie złożył 15 sierpnia pierwsze śluby. Następnie studiował w Solsonie filozofię, a w Cervera teologię. Dnia 1 lipca 1936 roku przyjechał razem z innymi studentami do Barbastro. Był wysoki i silny. Zrównoważony i zawsze serdeczny, dodawał każdemu optymizmu. Czuł się szczególnie powołany do głoszenia kazań. Kiedy przemawiał publicznie, nie mógł na początku opanować drżenia głosu, ale z czasem to przewyciężył. O jego opanowaniu świadczą również słowa pożegnania:

Po dwudziestu dwóch dniach, które czterdziestu dziewięciu członków wspólnoty misjonarzy, Synów Niepokalanego Serca Maryi, spędziło w więzieniu w Barbastro, wysyłałam do was ten list jako pamiątkę i pożegnanie. Trwają rozstrzeliwania i w każdej chwili możemy stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Kiedy dowiecie się o mojej śmierci, zachowajcie spokój, ponieważ wasz syn zostanie męczennikiem. Do zobaczenia w niebie. Niech Bóg ma was w swojej opiece. Wasz syn wstawi się za wami.

Luis

Salvador Pigem, któremu milicjant zaoferował pomoc w wydostaniu się na wolność, zapisywał każde wolne miejsce w swoim kalendarzyku, który znalazł w kieszeni jego sutanny, kiedy ekshumowano szczątki męczenników 2 marca 1952 roku, aby je przenieść z cmentarza do kościoła Klaretynów. „Zabija się nas z nienawiści do religii. *Domine, dimitte illis*. W kolegium nie podjęliśmy żadnej próby oporu. Nasza postawa w więzieniu była bez zarzutu. Niech żyje Niepokalane Serce Maryi! Rozstrzeliwuje się nas tylko i wyłącznie dlatego, że jesteśmy zakonnikami.” A w swoim ojczystym katalońskim dodał: „Nie płaczcie po mnie. Jestem męczennikiem Jezusa Chrystusa. Salvador Pigem CMF”.

Również po katalońsku napisał następujące pozdrowienia do swojej matki: „Nie płacz, mamo, Jezus pragnie mojej krwi: przeleję ją z miłości do Niego; będę męczennikiem, idę do nieba. Tam będę czekać na was. Salvador. 12 VIII 36”.

Student Rafael Briega chciał się pożegnać z kongregacją, ponieważ ze swoimi rodzicami musiał się pożegnać już dawno. Był już sierotą, kiedy w wieku trzynastu lat w 1925 roku przybył jako postulant do klaretynów w Alagón. To, że tak wczesnie był zdany tylko na siebie, ukształtowało jego charakter. Był nieco bojaźliwy i zamknięty w sobie. Z drugiej stron osamotnienie wyrobiło w nim pobożne skłonności i zamiłowanie do lektury. Po nowicjacie w Vic, który ukończył 15 sierpnia, 1930 roku z pierwszą lokatą, rozpoczął studia filozoficzne w Solsonie. Po dwóch latach poświęconych filozofii podjął również studia teologiczne, które dokończył w Cervera, zanim przybył do Barbastro. Nauka języków obcych przychodziła mu z niezwykłą łatwością. Oprócz języków klasycznych, łaciny, greki i hebrajskiego, opanował francuski, angielski, niemiecki, portugalski i włoski. Kiedy ojciec Fogued, prowadzący misję klaretynów w Chinach, odwiedził Cervera, kupił dla postulantów chińską gramatykę. Briega od razu poprosił o ten podręcznik i odtąd wolny czas poświęcał na naukę dziwnego pisma. A choć nikt nie wierzył w powodzenie jego wysiłków, odnalazł się w dżungli chińskich hieroglifów. Podczas nowicjatu zaskoczył swoich przełożonych, przekładając na hiszpański chiński list pasterski. Pod koniec studiów filozoficznych znał już ten język tak dobrze, że

utrzymywał kontakt listowny z misjonarzami i seminarzystami z Kai Feng.

A skoro posiadał takie zdolności językowe, nie dziwi fakt, że swój list pożegnalny napisał w języku Kościoła, czyli po łacinie. Na małej kartce z brewiarza zapisał te oto słowa: „Raduj się, kochana kongregacjo, gdyż pięćdziesięciu ośmiu twoich synów wstępuje do kongregacji niebiańskiej, czyści jak białe lilie i pełni żarliwej miłości do Boga i Niepokalanego Serca Panienci Maryi. R(afael) B(riega) CMF”.

Kartkę z brewiarza wykorzystał również student Eduardo Ripoll, który w pewnym sensie przeszedł prostą drogę do zakonu klaretynów: od ministranta w kościele Klaretynów w swojej rodzinnej miejscowości Játivaa pod Walencją, przez szkoły klaretynów w Alagón i Cervera i nowicjat w Vic aż do studiów teologicznych i filozoficznych, które zakończył w czerwcu 1936 roku na kursie teologii pastoralnej w Barbastro. Swojemu pożegnaniu nadał formę modlitwy: „Niech żyje Chrystus Król! Niech żyje Serce Maryi! Niech żyje Kościół katolicki! Panie! Z całego serca wybaczam moim wrogom i proszę Cię, niech moja krew, którą przelewam z miłości do Ciebie, zmyje tyle grzechów, ile popełniono w tym umęczonym Barbastro. Niech żyje Chrystus Król i Serce Maryi!”

Natomiast Miguel Massip musiał przezwyciężyć wiele trudności, zanim został klaretynem. Jego ojcu nie podobało się, że syn codziennie spędzał jakiś czas na pobożnych rozmowach z proboszczem, i zabronił mu surowo bycia ministrantem. Jednak Miguel nauczył się potajemnie łacińskich modlitw i różnych czynności wykonywanych podczas służenia do mszy i był ministrantem przez miesiąc, dopóki nie zauważyli tego jego rodzice.

Coraz mocniej utwierdzał się w swoim postanowieniu, aby zostać księdzem. Jego ojciec był zdecydowanie przeciwny. Nie pomagały łzy Miguela. Nie pomogło i to, że przez cały jeden dzień nie przyjmował posiłków. „Chcę zostać księdzem i nikiem innym” - obstawał przy swoim. Ojciec był jednak nieustępliwy: „Nie dam na to ani grosza!” Mały Miguel niepokieszony zwrócił się do księdza: „Czy zostanę przyjęty do seminarium bez pieniędzy?” Aż wreszcie, pomimo tylu przeszkód, w wieku dwunastu lat wstąpił do seminarium klaretynów w Alagón i rozpoczął tam duchową drogę tak jak jego szkolni koledzy.

Nie posiadamy wielu danych o Miguelu Massipie, ponieważ jego matka została zmuszona w okresie prześladowania Kościoła do spalania listów. Tym większą wartość mają jego słowa, które spisał ołówkiem na papierze nutowym: „Do mojej siostry Marii Massip. Mój Jezu, umieram za Ciebie. Przyjmij ofiarę z mego życia dla ratowania Hiszpanii i moich bliskich. Barbastro, 12 sierpnia 1936”.

Faustino Perez, który zachęcał współbraci do ofiarowania „ostatniego daru dla kongregacji”, chciał również pozostawić pamiątkę dla swoich bliskich. W typowym dla siebie, zdecydowanym stylu napisał na swojej chusteczce:

Moja ostatnia pamiątka. Chcę, aby ta chusteczka zanurzona we krwi trafiła do was. Zobaczycie wtedy, że moim zdaniem lepiej przelać krew niż zdradzić prawdy wiary, których nauczyłem się w waszym świętym domu. Jeszcze nie ma krwi na tej chusteczce, ale kiedy ona do was dotrze, ja już przeleję moją krew z okrzykiem: Niech żyje Chrystus Król!

Niech żyje katolicka Hiszpania i chrześcijańskie Barindano! Dzisiaj zginęło sześcioro z moich towarzyszy, jutro ja stanę w szeregu. Niedługo więc będę w niebie modlił się za was. Niech Bóg ma was w swojej opiece i do zobaczenia w niebie!

Faustino Perez CMF

W jego słowach nie było najmniejszej przesady. Faustino Perez pomylił się tylko co do daty rozstrzelania: stanął przed plutonem egzekucyjnym dopiero 15 sierpnia.

Cały szereg listów pożegnalnych odkryto kilka miesięcy później, kiedy do kolegium purystów wezwano dwóch młodych elektryków, aby założyli w niektórych salach parteru nowe lampy. W jednym z pomieszczeń, które miało służyć jako klasa szkolna, znajdowało się dużo starych mebli, wśród nich również pianino z sali teatralnej oraz niski, kwadratowy stół, o bokach długości 33 cm. Dwaj elektrycy odkryli, że dolna strona i boczne ścianki blatu, które nie były lakierowane, zapisano w całości ołówkiem. Chociaż nie rozumieli łacińskich i katalońskich zdań, mogli się domyślić na podstawie hiszpańskich zwrotów, skąd się wzięły te napisy: ich autorami byli straceni klaretyni.

Na początku elektrycy uznali, że ukrywanie znaleziska byłoby zbyt ryzykowne. Jednak później jeden z nich owinął stół w papier pakowy i zabrał ze sobą. Aby odwrócić uwagę strażników - a był wśród nich socjalistyczny burmistrz Pascual Sanz - poczęstował ich papierosami i chwilę z nimi porozmawiał. Po wypaleniu papierosów pożegnał się i odszedł. Nikt nie zauważył, że niósł ze sobą taboret. Zaniósł go do domu drugiego elektryka. Tam razem ukryli go między pudłami z lampami. Kiedy nacjonałiści zajęli Barbastro i do miasta powrócili ojcowie klaretyni, matka jednego z elektryków przyniosła im nieuszkodzony taboret.

Najwięcej kłopotu sprawia odczytanie podpisów z bocznych krawędzi taboretu. Na jednej zapisano po łacinie wielkimi literami: *CHRISTE, MORITURI TE SŃLUTANT* („Chryste, idący na śmierć pozdrawiają Cię”). Na rogach umieszczono symbole męczeństwa: palmy, korony itd. Pozostałe napisy są całkowicie nieczytelne.

Najwyraźniejsze są napisy na blacie taboretu i pod spodem, gdzie wielu klaretynów zapisało swoje pożegnania. Jako pierwszy pisał 23-letni student Juan Sanchez Munárriz, którego koledzy ze studiów opisywali jako „pobożnego, wytrwałego, dokładnie wypełniającego wszystkie zalecenia życia zakonnego i serdecznego w kontaktach ze wszystkimi”. Służba misjonarska była jego najwyższym ideałem i temu ideałowi całkowicie się poświęcił. Jego słowa wyrażają wdzięczną gotowość do męczeństwa:

Barbastro, 12 sierpnia 1936. Z sercem przepelnionym radością oczekuję pełen ufności najważniejszej chwili mojego życia - męczeństwa, które ofiaruję dla ratowania biednych konających, którzy oddadzą ducha w dniu, kiedy ja przeleję moją krew, aby dowieść wierności i oddania Boskiemu władcy, Jezusowi Chrystusowi. Z całego serca proszę o przebaczenie tych wszystkich, których umyślnie lub niechcący obraziłem. Umieram szczęśliwy i

zadowolony. Niech Bóg ma was w swojej opiece, do zobaczenia w niebie.

Juan Slnchez Munárriz

Jako drugi wpisał się mający zaledwie dwadzieścia dwa lata Tomas Capdevila Miró. Przyszedł na świat jako czwarty spośród trzynastorga rodzeństwa. W jego rodzinie liczne były przypadki powołań do stanu duchownego. Dwie kuzynki były karmelitankami, trzech kuzyni wstąpili do klasztoru Benedyktynów w Montserrat. Jedna z ciotek była zakonnicą, a wśród jego najbliższych krewnych było również dwóch klaretynów, z których jeden był zakonnym ojcem, a drugi bratem. Zanim jeszcze ukończył jedenaście lat, wstąpił mały Tomas w 1925 roku jako postulant do klaretynów w Cervera. Jego droga prowadziła przez seminarium w Alagón i Cervera do nowicjatu w Vic, a stamtąd na studia filozoficzne w Solsonie, gdzie ukończył również pierwszy rok studiów teologicznych. Od 1933 do 1936 roku studiował w Cervera, zanim przybył 1 lipca do Barbastro. Pozostawił po sobie przesłanie przebaczenia: „Barbastro, 12 sierpnia 1936. Tak jak Jezus na krzyżu przebaczył swoim wrogom, tak i ja im z całego serca wybaczam, jeśli umrę jako męczennik, i obiecuję w szczególny sposób modlić się za nich i za ich rodziny. Niech Bóg ma was w swojej opiece. Tomas Capdevila Miró CMF”.

Dalej wpisał się brat Manuel Martinez. Pochodził z Murchante w prowincji Navarra, miejsca pochodzenia wielu klaretynów. W swojej rodzinie nie był jedynym, który wybrał życie zakonne: cztery jego siostry poszły do klasztoru. Manuel chciał najpierw zostać księdzem. Ale w trzecim roku nauki nie sprostał wymaganiom i postanowił zostać bratem. Jego ojcu trudno było zaakceptować decyzję syna. Uważał, że Manuel powinien powtarzać klasę. Ale Manuel był zdecydowany i kiedy ojciec zalił się, że jego syn nie zostanie księdzem, odpowiedział mu: „Stało się, również żałuję, ale jestem szczęśliwy z mojego powołania”.

W wieku siedemnastu lat 11 lutego 1930 roku złożył swoje pierwsze śluby. W Alagón przejął kierownictwo zakładu krawieckiego. Został tam do 21 stycznia 1936 roku, kiedy przeniesiono go do Barbastro.

Był pobożnym bratem, oddanym swoim duchowym ćwiczeniom. W kontakcie z współbraćmi promieniował optymizmem. Potrafił zgnieść w zarodku tchórzostwo i krytykanctwo. Bolały go wszelkie antykościelne i antyreligijne uwagi. Gdy w czasach republiki ataki na Kościół nasilały się, słysząc wrogie opinie, wpadał w złość. Jego temperament nawarryjczyka nie pozwalał mu na spokojne lekceważenie zaczepek. Pewnego razu publicznie dał upust swojej irytacji i zostały niechybnie zlinczowany przez rozdrażniony tłum, gdyby go nie odeskortaowała gwardia obywatelska.

Jego nawarryjska prostolinijność i jego oddanie Bogu są widoczne również w pożegnaniu, które napisał na spodniej stronie blatu taboretu: „Nie udowodniono nam żadnych politycznych przewinień i szczęśliwi umrzemy bez sądu za Chrystusa i Jego Kościół i za wiarę Hiszpanów. Za męczeństwo: Manuel Martinez CMF”.

Mało wiemy o 24-letnim studencie Alfonso Sorribesie, który jest autorem kolejnego zapisu. Wiadomo tylko, że koledzy ze studiów uważali go za pobożne-

go, skromnego, małowównego i zamkniętego w sobie. Jego osobiste listy zostały spalone w czasie rewolucji. Napis, który po nim pozostał, zawiera dwa zdania - po łacinie: „Panie, wybacz im, gdyż nie wiedzą, co czynią”, i po katalońsku: „Czarnobrzowa Panienska [ludowe określenie Matki Boskiej z Montserrat, której kult panuje w Katalonii] ratuje Katalonię i jej wiarę”.

Wiadomość dla swoich rodziców w Viladesens, małej wsi w okolicach Gerony, pozostawił 24-letni student Luis Lladó. Pochodził z chłopskiej rodziny. W wieku osiemnastu lat złożył w Vic swoje pierwsze śluby. Choć podczas nauki w Alagón i Cervera uchodził raczej za mało zdolnego, to jednak ciężko pracując, osiągnął z czasem pozycję jednego z najlepszych studentów. Interesował się głównie naukami przyrodniczymi, o których chętnie dyskutował z kolegami w wolnych chwilach. W swoich pożegnalnych słowach napisał: „Kochani rodzice! Umieram jako męczennik za Chrystusa i za Kościół. Umieram spokojny i w spokoju spełniam mój święty obowiązek. Niech Bóg ma was w swojej opiece, do zobaczenia w niebie”.

Przedostatni wpis na taborecie to tekst autorstwa również 24-letniego studenta Javiera Luisa Bandresa. Javier Luis pochodził z Navarry. Jako dziecko był ministrantem u swojego wujka proboszcza. W domu często bawił się „w kościół” i zapraszał inne dzieci na urządzone przez niego „msze” i procesje. Później jednak jego zachowanie pozostawiało wiele do życzenia. „Byłem wtedy zadufanym nicponiem. Chętnie wszczynałem kłótnie z wszystkimi chłopcami z sąsiedztwa. Do dziś noszę .na kolanach ślady po moich młodzieńczych bójkach.”

Wujek ze strony ojca był klaretynem. Często o nim rozmawiano w domu. Tak więc pewnego dnia Javier Luis wyraził życzenie wstąpienia w szeregi „tych, którzy głoszą słowo Boże na całym świecie”. Zapisał się do seminarium w Alagón, później uczył się w Cervera. Po nowicjacie w Vic zapisał się na studia filozoficzne i teologiczne w Solsonie i Cervera. Stamtąd trafił w 1936 roku do Barbastro, aby doprowadzić do końca swoją naukę. Javier Luis Bandrés był przedsiębiorczy i równocześnie nerwowy i nieco niestały. Pasjonował się zwłaszcza literaturą, o czym świadczy wiersz, który napisał w więzieniu do swojej matki. Jednak jego wielkim marzeniem było głoszenie kazań. Zaczął już zbierać materiały do swoich przyszłych kazań; gromadził je w niezliczonych teczkach, chociaż od razu zapominał, co gdzie schował. Mimo swoich literackich upodobań, w słowach pożegnania zrezygnował z retorycznych ozdobników: „Marzyłem, aby zostać księdzem i być misjonarzem. Ofiaruję moje życie za dusze. Niechaj nam panuje Przenajświętsze Serce Jezusa i Maryi! Umieram jako męczennik”.

Jako ostatni uwiecznił się na wolnym miejscu Faustino Pérez. Chciał się widocznie upewnić, że krewni dowiedzą się o jego męczeńskiej śmierci. Ponieważ swoje pożegnanie napisał już na chusteczce, opisał tylko krótko sytuację w sali teatralnej: „Spędzamy dzień w religijnym milczeniu i przygotowujemy się na czekającą nas jutro śmierć. Słyszać tylko szept odmawianych modlitw, świadczący o naszym lęku. Jeśli rozmawiamy, to po to, aby dodać sobie odwagi wobec prawdopodobieństwa męczeńskiej śmierci. Kiedy się modlimy, to prosimy i o to, aby móc

przebaczyć naszym wrogom. Uratuj ich, Panie, gdyż nie wiedzą, co czynią!”

Faustino Pérez jest prawdopodobnie autorem napisu na kawałku drewna długości 17 cm, 6 cm szerokości i 2 cm grubości. Chociaż nie ma tam podpisu, charakter pisma i zdecydowany styl wskazują jednoznacznie na Faustina Péreza.

Tekst jest przesłaniem dla robotników. Dlatego na jednym z rogów znajduje się zawołanie: „Robotnicy, kochamy was!”, a na drugim: „Niech żyje królestwo chrześcijańsko-społeczne!” Na krótszej krawędzi można przeczytać: „Niech żyje Serce Maryi!” Na drugiej krótszej krawędzi napis jest tak zamazany, że nie można go odczytać. Właściwe przesłanie znajduje się po obydwu stronach deski. Oto jego treść: „Robotnicy!! Umieramy jako męczennicy, ale kochamy was i wybaczymy wam. Wielu z nas ofiarowało swoje życie Bogu, aby was ratować. Nasza troska o was jest szczerą! Padliście ofiarą kłamstw dotyczących religii i społeczeństwa; mówi to do was ten, który za pięć godzin musi umrzeć! Panie, spraw, aby przeżyli!!!”

Dla dwóch młodych klaretynów 12 sierpnia 1936 roku był dniem ostatecznej decyzji, aby pozostać w szeregach społeczności klaretynów. José Amorós i Esteban Casadevall mieli 15 sierpnia ostatecznie potwierdzić swój życiowy wybór, składając śluby wieczyste. Kiedy jednak rozstrzelano ich sześciu

starszych braci, uznali, że nie można już dłużej czekać. Tak więc uzgodnili z ojcem Secundinem Omegą, że złożą śluby już 12 sierpnia wieczorem. Złożenie ślubów to nie tylko związanie się konkretnej osoby ze wspólnotą zakonną. Również wspólnota wiąże się z tą osobą, zapewnia jej opiekę i może ją wykluczyć ze swoich szeregów tylko z bardzo poważnych powodów. Dlatego dopuszcza się kandydata do ślubów tylko na podstawie zgody regionalnych zwierzchników wspólnoty. Na to, jakie będzie w tej sprawie stanowisko prowincjała i jego doradcy, wpływ mają informacje zbierane od wszystkich współbraci.

Dwaj młodzi klaretyni nie wiedzieli, czy postanowiono ich dopuścić do ślubów wieczystych. Nie wiadano nawet, czy gdziekolwiek w Katalonii istnieje jeszcze jakiś zarząd regionalny. Podobny los jak klaretynów w Barbastro mógł również spotkać klaretynów w Barcelonie i w innych miejscach. Nie pozostawało więc nic innego, jak skorzystać z możliwości warunkowego złożenia ślubów: pod warunkiem, że młodzi klaretyni zostali do ślubów dopuszczeni. Śluby przyjął ojciec Secundino Ortega. Następnie, jak relacjonuje Pablo Hall, sporządzono pismo, które podpisali ojciec Ortega, obydwaj ślubujący bracia i pozostali studenci. Niestety, dokument ten zaginął.

Dwudziestotrzyletni Esteban Casadevall miał potwierdzić krwią swoje śluby już następnego nocy. Pochodził z Argelaguer w prowincji Gerona i miał za sobą typową drogę edukacji. Wyższe wykształcenie w Alagón i Cervera, nowicjat w Vic, studia filozoficzne i kurs teologii fundamentalnej w Solsonie, studia teologiczne w Cervera i wreszcie kurs teologii pastoralnej w Barbastro. Współbracia uważali go za pracowitego, uzdolnionego, myślącego, opanowanego. Bywał również uparty. Uwielbiał prowadzić długie spory. Jeszcze w nowicjacie, przypomina sobie jeden z jego ówczesnych kolegów, przerywał wykłady, polemizując z poglą-

dami jednego z profesorów. Jego krytyka nie była jednak bezcelowa, służyć miała lepszemu poznaniu. Casadevall napisał nawet rozdział do książki propagującej kult maryjny.

José Amorós od rozpoczęcia nauki w seminarium klaretynów w Alagón był kolegą szkolnym Estebana Casadevalla. Pochodził z Puebla Larga w prowincji Walencja, skąd jego rodzina przeniósła się do sąsiedniej Játivy. Jego ojciec pracował tam jako kolejarz. W kilka lat po przeprowadzce ojciec José Amorósa zginął podczas rozładunku jednego z wagonów. José chodził do szkoły klaretynów w Játivie i tam odkrył w sobie powołanie.

Kiedy od wiosny 1936 roku wybuch wojny domowej i rewolucji wydawał się coraz bardziej nieuchronny, krewni przesłali José darmowy bilet kolejowy, aby wyjechał w bezpieczne miejsce. Odmówił i wołał pojechać z kolegami ze studiów do Barbastro.

To, że był pobożnym młodzieńcem i że umiłował swoje powołanie, rzucało się w oczy. Już w Játivie ujawnił talent muzyczny, który mógł także rozwijać u klaretynów. Wykorzystał ten dar, aby zostać organistą.

Owego pamiętnego wieczoru klaretyni zjedli kolację wcześniej, bo już przed ósmą. Wszyscy czuli zmęczenie po dniu wypełnionym modlitwą i pisaniem. Przede wszystkim jednak na odpoczynek nie pozwalało ciągle napięcie towarzyszące ostatnim chwilom życia. Z nadejściem nocy nastąpiła pora ostatecznego pożegnania, kiedy bowiem milicjanci przyjdą ich zabrać, nie będzie już na to czasu. W swoich notatkach tak opisuje tę scenę Pablo Hall: „Wieczorem jedni całowali stopy współbraci, inni czoła; niektórzy się obejmowali, a inni płakali z radości w obliczu zbliżającego się rozstrzelania; polecaliśmy się naszym męczennikom; spożyliśmy cały posiłek i zasnęliśmy w spokoju, oddani Bogu i szczęśliwi”.

Pablo Hall wspomina o dwóch rozmowach, które prowadził tego wieczoru. Przed kolacją rozmawiał z Ramónem Novich, który zdawał się być nieco przerażony i mówił drżącym głosem. Ramón był bardzo inteligentnym i pilnym studentem. Cel swojego życia widział w czynieniu dobra, głównie wśród robotników, którzy jego zdaniem zarówno pod względem duchowym, jak i materialnym byli najbardziej potrzebujący. Chciał być dobrym misjonarzem. Hall opowiada o nim: „Ramón Novich powiedział mi na kilka godzin przed swoim rozstrzelaniem, że podczas rekolekcji pod koniec sierpnia 1935 roku (kończących się w dniu jego świętej patronki) prosił świętą Teresę od Dzieciątka Jezus o łaskę śmierci męczeńskiej lub o cierpienia zadane mu przez wrogów Kościoła katolickiego i odważył się nawet poprosić o możliwość doznania jakichś szczególnych cierpień przed zakończeniem studiów, co byłoby dowodem wysłuchania jego prośb. Powiedział wtedy: »Po dwóch dniach otrzymałem dowód. To było cierpienie moralne, które musiałem znosić cały tydzień. Byłem wewnętrznie przekonany, że to był dowód, o który prosiłem. Po upływie niecałego roku spełni się również moja prośba o łaskę męczeńskiej śmierci«.,.

Wyczerpująco opowiada Pablo Hall o tym, jak spędził ten wieczór z Estebanem Casadevallem: „Wieczorem 12 sierpnia, kiedy już było ciemno, Esteban

Casadevall i ja modliliśmy się do Chrystusa Króla i polecaliśmy Mu nasze dusze, korzystając przy tym z brewiarza. Po kolacji, którą skończyliśmy tego dnia przed ósmą, Esteban Casadevall wyspowiadał się po raz ostatni ojcu Secundino Omedze. Po spowiedzi usiedliśmy razem, aby po raz ostatni odmówić różaniec, odprawić ostatnią drogę krzyżową i ostatnią »Koronę Dwunastu Gwiazd«. Dałem mu do pocałowania krzyż z relikwią naszego świętego ojca założyciela, aby uzyskać odpust zupełny *in articulo moris* [w godzinie śmierci], i zmówiliśmy akt strzelisty: »Jezu, Józefie i Maryjo, bądźcie ze mną w ostatniej godzinie«. Wielokrotnie powtarzaliśmy też inny akt strzelisty: »O Jezu, niezmiernie Cię miłuję z głębi duszy. Jakie to szczęście móc z miłości do Ciebie oddać życie«. Esteban był opanowany, pełen odwagi i szczęśliwy. Długo rozmawialiśmy ze sobą i pożegnaliśmy się na wieczność. Później powiedziałem do niego: Dodaj mi otuchy twoimi ostatnimi słowami. »Dobrze - odpowiedział - aby zrobić wam przyjemność, chętnie to uczynię. Umieram zadowolony. Jako apostoł czuję się szczęśliwy, ponieważ Pan pozwolił, abym z miłości do Niego cierpiał, zanim umrę. Mam pełną ufności nadzieję, że mnie Jezus i Serce Maryi wkrótce zabiorą do nieba. Wybaczam z całego serca tym, którzy nas obrażają, prześladują i chcą pozabijać i mogą powiedzieć za Jezusem umierającym na krzyżu: *Ojczy, wybacz im, gdyż nie wiedza co czynu*; są zaślepieni przez swoich przywódców i przez nienawiść, jaką do nas żywią. Gdyby wiedzieli, co robią, na pewno nie robiliby tego więcej. Codziennie modliliśmy się o ich nawrócenie... Mam dla nich szczerze współczucie i kiedy będę w niebie, mam nadzieję, że uda mi się wpłynąć na to, aby Bóg, nasz Pan, otworzył im oczy, żeby zobaczyli prawdę i nawrócili się. Wybaczenie im nie sprawia mi żadnej trudności. Gdyby wiedzieli, że wyświadczylimy im największe dobro, chociaż tak mnie nienawidzą! Kiedy uda się wam dojechać do Rzymu, opowiedzcie, proszę, czcigodnemu ojcu generałowi wszystko, co o nas wiecie; obejmijcie go, tak jak ja was obejmuję, ponieważ sam nie mogę tego zrobić. Powiedzcie mu, że umieram zadowolony, należąc do kongregacji misjonarzy, Synów Niepokalanego Serca Maryi; że ufnie oczekuję spełnienia obietnicy, jaką dała Najświętsza Paniątka tym, którzy umierają jako członkowie kongregacji. Powiedzcie mu również, że dzisiaj wieczór złożyłem śluby wieczyste na ręce ojca Secundina Ortegi. Chętnie ofiaruję swoją krew za panowanie Świętego Serca Jezusa w Hiszpanii, a zwłaszcza za panowanie Niepokalanego Serca Maryi na całym świecie, i w niebie będę błagał Boga, aby we wszystkich narodach ziemi zapanowało Serce Przenajświętszej Paniątki. Aby coś zrobić w tym celu na ziemi, postanowiłem napisać książkę, ale do tej pory zdążyłem skończyć tylko jeden rozdział...«

Pożegnaliśmy się i wtedy po raz pierwszy zapłakał, ale szybko się opanował i z pewnym wysiłkiem powiedział: »Nie powinienem płakać«. Potem wyciągnął chusteczkę, wytarł łzy, zrobił kilka kroków po sali i położył się na deskach, aby chwilę odpocząć i w spokoju oczekiwać nadejścia katów».

12. NIECH ŻYJE CHRYSTUS KRÓL!

Zegar na wieży katedry w Barbastro wskazał pełną godzinę. Potem nastąpiło dwanaście uderzeń wielkiego dzwonu. W Barbastro była północ, godzina mroku, ale również początek nowego dnia, 13 sierpnia 1936 roku.

Ledwo zamilkły uderzenia dzwonu, kiedy z hukiem otworzyły się drzwi do sali teatralnej i do środka wkroczyła uzbrojona grupa około dwudziestu milicjantów. Liczne, częściowo zakrwawione powrozy, które trzymali, nie pozostawiały żadnych wątpliwości, po co przyszli. Na rozkaz milicjantów klaretyni wstali ze swoich posłań. Kilka żarówek rzuciło słabe, żółte światło, co wystarczyło milicjantom, aby zająć pozycje przy wszystkich drzwiach i kątach sali.

Strażnicy położonego tuż obok więzienia zauważyli akcję i nie chcieli stracić widowiska. Zanim jednak doszli do kolegium pijarów, przybiegł dowódca straży i kazał wartownikom natychmiast wracać na posterunek. Nie chciał ponosić odpowiedzialności za niestrzeżone więzienie. Sam jednak pozostał na miejscu. Z jego relacji poznaliśmy później pewne szczegóły wydarzenia.

„Uwaga!” - rozległ się nagle krzyk. Był to Maruno Abad - „Grabarz”. Nie raz powtarzał, że jeśli nie rozstrzela się za jednym razem przynajmniej dwudziestu, to nie opłaca się wtedy ani ten cały „spacerek”, ani nieprzyjemność dobijania z ła-ski strzałem w skroń, żeby „robotę” wykonać dokładnie.

„Uwaga! Wszyscy w wieku powyżej 26 lat mają zejść ze sceny!” Nikt nie miał tyle lat, więc wszyscy stali nieruchomo. „W takim razie wszyscy powyżej dwudziestu pięciu!” Również i tym razem nie dotyczyło to nikogo. „Włączyć wszystkie światła” - krzyknął. Widać teraz było złość na jego twarzy. Wyciągnął listę i ponieważ sam prawie nie umiał czytać, dał ją młodemu milicjantowi, który zaczął wywoływać nazwiska.

„Secundino Ortega!” Ojciec Secundino Omega wystąpił i zameldował: „Tu-taj ! „, Potem zeskoczył ze sceny na salę. Następnie wyczytano kolejne dziewiętna-scie nazwisk z listy:

José BRENGARET
Antolin CALVO
Antonio DALMAU
Juan ECHARRI
Pedro GARCIA BERNAL
Hilario LLORENTE
Salvador PIGEM
Javier Luis BANDRES
Tomas CAPDEVILA

Alfonso MIQUEL
Esteban CASADEVALL
Eusebio CODINA
Juan CODINACHS
Ramón NOVICH
José M. ORMO
Teodoro RUIZ DE LARRINAGA
Juan SANCHEZ
Manuel TORRAS
Manuel BUIL

Po kolei schodzili wszyscy ze sceny i ustawiali się w szeregu pod ścianą. Milicjanci związali im ręce na plecach i powiązali za ramiona po dwie osoby, ażeby uniemożliwić wszelką próbę ucieczki.

Pablo Hall przypomina sobie Estebana Casadevalla, z którym wspólnie modlił się w więzieniu: „Esteban Casadevall był jednym z pierwszych na liście i został związany za ramię z Antolinem Calvo. Przesłał mi spokojne spojrzenie, które było ostatnim pożegnaniem, i pozostawił mnie z sercem przepełnionym cierpieniem i bólem oraz żalem, że nie dane mi było dzielić jego losu”.

Atilio Parussini tak opisuje tę sytuację: „Zeszli ze sceny i ustawili się w szeregu pod ścianą: wszyscy spokojni, szczęśliwi, oddani Bogu... w chwili tej ich twarze wyrażały coś ponadnaturalnego, czego się nie da opisać. Niektórzy niezauważenie całowali kępujące ich więzy”.

Luis Masferrer, który jako jedyny ojciec nie znajdował się na liście, udzielił dyskretnie po raz ostatni rozgrzeszenia tym, którzy zostali wyczytani. Potem ich wyprowadzono. Jako pierwsi opuścili salę Salvador Pigem i Manuel Torras, najmłodszy wśród uwięzionych klaretynów. Razem z nimi wyprowadzono sekretarza kancelarii biskupiej, don Marcelim de Abajo i Filipe Zalame, liczącego 69lat emerytowanego członka gwardii obywatelskiej.

Juan Echami wychodząc, odwrócił się do pozostałych w sali i krzyknął: „Niech Bóg ma was w swojej opiece, bracia, i do zobaczenia w niebie!” Kilku mu odpowiedziało. Milicjanci, którym zależało na szybkim wykonaniu zadania, nie chcieli teraz żadnych scen pożegnania. Opuścili karabiny i pilnowali, aby wymarsz nastąpił bez zakłóceń. Jeden z nich złośliwie pouczał pozostałych w sali klaretynów: „Macie jeszcze cały dzień, żeby jeść, śmiać się, bawić, tańczyć i robić, co wam się podoba. Dobrze go wykorzystajcie, ponieważ jutro przyjdziemy o tej samej porze i zabierzemy was tak jak tych tutaj. Potem zrobicie sobie spacerek na świeżym powietrzu aż na cmentarz. A teraz: gasić światła i spać! „

Kiedy w Barbastro w sierpniu 1936 roku trwały rozstrzeliwania, na placu ratuszowym gromadził się od godzin wieczornych do późna w nocy wzburzony tłum. W większości byli to fanatyczni zwolennicy rewolucji. Chcieli być przy tym, jak prowadzi się na śmierć faszystów i „klechów”. Obrzucali ich wyzwiskami, dając upust swojej nienawiści. W tłumie byli również ciekawscy, prości ludzie

szukający tylko sensacji.

Gdzieniedzie kryli się jednak również krewni i przyjaciele ofiar, którzy przynajmniej w ten sposób chcieli im towarzyszyć w ich ostatniej drodze.

Kiedy klaretyni byli wyprowadzani dwójkami na plac, tłum zamilkł instynktownie. Tytu młodych ludzi naraz, tego jeszcze nie było. Zdecydowanym krokiem zmierzali do czekającej na nich ciężarówki.

Purysta Santiago Mompel, który obserwował to wydarzenie z okna na górnym piętrze kolegium purystów, słyszał, jak jakaś kobieta na widok klaretynów krzyknęła spontanicznie: „Oni idą, prosto do nieba!” Milicjant, który właśnie przechodził obok, był tak zaskoczony, że nawet nie próbował jej skarcić, tylko odpowiedział zdziwiony: „Naprawdę?” „Na pewno - potwierdziła kobieta. - Albo oni, albo nikt inny!”

Przy ciężarówce stała mała ławeczka, po której więźniowie wchodzili na platformę. Była potrzebna, ponieważ nie mogli pomóc sobie rękoma, a do tego byli związani parami. Kiedy silnik zawarczał i ciężarówka ruszyła, inicjatywę przejął emerytowany gwardzista, który krzyknął: „Niech żyje Chrystus Król!” „Niech żyje!” - odpowiedzieli chórem skazani na śmierć klaretyni. Więźniowie zaczęli również śpiewać pieśni religijne. Wzburzony tłum wygrażał w kierunku ciężarówki. „Pozabijacie ich, psich synów, zobaczycie zaraz, co was czeka na cmentarzu!” - wykrzykiwano.

Ciężarówka nie pojechała jednak na cmentarz, lecz skręciła na drogę do Huesca, z której zjechała na kolejnym skrzyżowaniu, wracając ponownie na drogę do Berbegal. Zatrzymała się po trzech kilometrach jazdy krętą drogą. Do ciężarówki dołączył się samochód osobowy, którym jechali rewolucyjni prominiści z Barbastro. Ktoś rozpoznał po głosie Maruno Abada - „Grabarza”, który głośniej krzyczał i więcej przeklinał niż wszyscy pozostali milicjanci.

Chociaż zmieniono miejsce egzekucji - z cmentarza przeniesiono się poza granice miasta, aby nie burzyć spokoju pacjentów szpitala - rozstrzeliwanie miało jednak swoich świadków. Byli nimi trzej robotnicy żniwni, zatrudnieni do pracy w pobliskiej zagrodzie. Leżeli już wprawdzie w łózkach, ale jeszcze nie spali i kiedy usłyszeli hałasy, podeszli do okna. W świetle reflektorów obydwu samochodów widzieli, co się działo. Również Antonio Pueyo Coscojuela, gospodarz, wstał z łóżka. Bał się o swoje życie i poprosił swoich robotników: „Kiedy przyjdą, nie mówcie im, że jestem właścicielem”.

Więźniowie byli parami spychani z ciężarówki i pędzeni nad przydrożny rów. Nie wiadomo na pewno, czy przed rozstrzelaniem oswobodzono ich z więzów. Można jednak przypuszczać, w oparciu o wspomnienia jednego ze świadków, że klaretyni klęczeli na skraju szosy z rozłożonymi rękoma. Również *El Trucho*, członek plutonu egzekucyjnego, opowiadał później o rozłożonych ramionach.

Poza rzadkimi odgłosami świerszczy, nic nie zakłócało ciszy nocnej. Dłatego robotnicy oddaleni o kilkaset metrów doskonale słyszeli okrzyki padające podczas rozstrzeliwania. Maruno Abad próbował wykorzystać ostatni moment, zwracając się do klaretynów, kiedy pluton egzekucyjny ładował już broń: „Jeszcze

macie czas. Czy chcecie walczyć razem z nami przeciw faszystom?” „Niech żyje Chrystus Król!” -zabrzmiała chóralna odpowiedź. „W takim razie krzyknijcie przynajmniej: Niech żyje rewolucja!” - ryknął „Grabarz”. „Niech żyje Chryste s Król! „ - padła znowu zgodna odpowiedź. „Przeście bredz - usiłował przekonywać Mariano Abad. - Wstąpcie ochotnicz do wojska ludowego!” Nikogo jednak nie przekonał.

Na chwilę zaległa cisza. Nagle rozległ się łoskot salwy karabinowej. Było czterdzieści minut po północy, czyli za dwadzieścia pierwsza w nocy, 13 sierpnia. Znowu nastała cisza. Potem słychać było pojedyncze strzały, jeden po drugim. Dwadzieścia dwa strzały, każdej ofierze w skroń. „Rewolucja zwyciężyła, jej wrogowie padli pokonani.” A jednak dwudziestu klaretynów do końca nie wyparło się wiary w Chrystusa. Swoją śmiercią odnieśli triumf.

Milicjanci czekali przez godzinę, aż ciała się wykrwawią. Nie chcieli, aby plamy krwi znaczyły drogę na miejsce kaźni. Poza tym ciężarówka nie powinna się zanadto pobrudzić.

Po wszystkim milicjanci poszli do najbliższej zagrody. Antonio Pueyo przeziął się na ich widok. „Szybciej - powiedział jednemu z robotników - przynieś im coś do picia.” Przynieśli im wino i w czasie rozmowy przekonali się, że to, co widzieli przez okno, było najprawdziwszą egzekucją. Milicjanci wymienili liczbę rozstrzelanych i nie robili żadnej tajemnicy z tego, kim były ofiary. Informacji o szczegółach wydarzeń dostarczają również wypowiedzi różnych członków plutonu egzekucyjnego zasłyszane następnego dnia w Barbastro.

Kiedy milicjanci opuścili zagrodę, Antonio Pueyo odetchnął z ulgą. Oni zaś powrócili na miejsce egzekucji, gdzie jeszcze czekała ich praca. Wrzucili ciała na ciężarówkę i zawieźli na cmentarz, gdzie pochowano je w zbiorowej mogile. Gdy później dokonano ekshumacji zwłok, zidentyfikowano ofiary na podstawie numerów ubrań.

Na koniec milicjanci mieli jeszcze dodatkowe zajęcie: musieli umyć ciężarówkę, bo mimo wcześniejszych zabiegów, pozostały na niej ślady krwi. Na miejscu rozstrzelania następnego dnia Antonio Pueyo i jego robotnicy znaleźli obrazki święte, książeczki do nabożeństwa i buty, które pogubili skazańcy.

W sposób pośredni również dwudziestu jeden klaretynów w sali teatralnej było świadkami śmierci swoich współbraci. Pablo Hall tak opisuje, jak przeżył śmierć swoich towarzyszy: „Dokładnie za dwadzieścia pierwsza w nocy 13 sierpnia usłyszeliśmy salwy karabinowe, a później pojedyncze strzały rewolwerowe... głęboko wierzyliśmy, że strzały te otwierają im bramy niebios... Modliliśmy się wszyscy za naszych współbraci, aby wytrwali do samego końca. Dwaj z nas zaczęli odmawiać różaniec, rozważając tajemnice bolesne. Kiedy usłyszeli strzały, rozpoczęli odmawianie tajemnic chwalebnych. Ktoś inny dwadzieścia razy *odmówił-Magnificat*, jeszcze zanim rozległy się strzały karabinów, zmówił więc *Magnificat* za każdego z braci, który był w drodze na rozstrzelanie”.

13. DWA DNI TRWOŻLIWEGO OCZEKIWANIA

W sali teatralnej panowało napięcie, jak relacjonuje Pablo Hall: „Niecałą godzinę później przyszło kilku komunistów, aby zawiadomić cudzoziemców, że powinni być gotowi do wyjazdu do Barcelony”. Atilio Parussini w liście do rodziców opisuje:

O drugiej przyszedł do sali ktoś z komitetu i zawołał dwóch cudzoziemców. Natychmiast otrzymaliśmy w rogu sceny rozgrzeszenie, bowiem myśleliśmy, że chcą nas oddzielić od grupy i rozstrzelać osobno. Podeszliśmy do przedstawiciela komitetu, który powiedział nam, że musimy być przygotowani, bo po drugiej przyjedzie po nas samochód, który zabierze nas do Barcelony, i że powinniśmy pościągać „te łachy” (miał na myśli sutanny).

Pablo Hall opisał ostatnie minuty, które spędził ze swoimi współpracownikami: „Czas przed wyjazdem poświęciliśmy na wymianę wrażeń z tymi, którzy zostają w więzieniu. Byliśmy bardzo wzburzeni, ale nasi współpracownicy byli zbudowani tym, co się wydarzyło i zapewniali nas, że całą drogę będą śpiewać i wznosić okrzyki na cześć Chrystusa Króla, Serca Maryi, religii katolickiej i papieża. Powiedzieli nam, że zaśpiewają *Jesús, ya sabes i Firme la voz, serem la mirach*, pieśni, które po cichu cały czas śpiewaliśmy w więzieniu”.

Nieoczekiwanie czas pożegnania się wydłużył, jak relacjonuje Parussini:

O wpół do trzeciej znowu przyszedł przedstawiciel komitetu, aby nam powiedzieć, że samochód ma awarię i że pojedziemy pociągiem o piątej. Resztę czasu w więzieniu poświęciliśmy modlitwie. Żegnaliśmy się też z dwudziestoma współpracownikami, którzy mieli zostać i ofiarować swoje życie. Ze łzami w oczach i z zazdrością, z miłością i szacunkiem całowaliśmy ich ręce i czoła, które miały już wkrótce być naznaczone najkosztowniejszym diademem świata - męczeństwem.

W grupie pozostałych w sali teatralnej klaretynów Luis Masferrer był jedynym ojcem, z tego powodu więc automatycznie objął funkcję przełożonego. Dopiero 19 kwietnia, mając niecałe dwadzieścia cztery lata, został wyświęcony na księdza. Pochodził z rodziny dzierżawców z Torelló w prowincji Barcelona. Kiedy miał trzy lata, umarł jego ojciec; matka sama musiała się zająć wychowaniem siedmiorga dzieci i prowadzeniem gospodarstwa. W końcu za radą krewnych poślubiła brata swojego męża. Rodzina żyła zgodnie, a dzieci z drugiego małżeństwa nie wiedziały nawet, że siedmioro starszego rodzeństwa ma innego, nieżyjącego już ojca. Długo było to tajemnicą, dopóki bezmyślna uwaga jednego z kuzynów nie zdradziła prawdy.

Luis od czwartego roku życia chciał być misjonarzem. Kiedy jego kuzyn José Vila wstąpił jako postulant do seminarium w Vic, Luis miał dopiero osiem lat i chciał koniecznie iść w jego ślady. Ojczym studiował jego zapał: „Posłuchaj, chłop-

cze, przemysł wszystko raz jeszcze. Jeśli wstąpisz do seminarium, to nie postępuj podobnie jak ci, którzy po roku w seminarium w Vic rezygnują, wracają na wieś i sprawiają same kłopoty”. Luis rozważył to, ale po namyśle był jeszcze bardziej zdeterminowany. W roku 1923 matka zabrała go do Vic. Miał wtedy jedenaście lat.

Już w wieku siedemnastu lat złożył pierwsze śluby, po czym studiował w Solsonie, Cervera i Barbastro. Miał duże zdolności do zajęć praktycznych, takich jak stolarka, introligatorstwo i mechanika elektryczna. Był przy tym pobożny, ofiarny i wytrwały. Kiedy biskup klaretyn z hiszpańskiej Gwinei zalecił, aby seminarzyści studiowali również medycynę, Luis Masferrer odpowiedział od razu na ten apel. Nie chciał się jednak narzucać i zgłaszać samodzielnie, lecz miał nadzieję, że przełożeni sami posłają go na studia.

Prawdopodobnie powściągliwa postawa Luisa zadecydowała, że pod koniec pobytu studentów argentyńskich przewodnictwo w grupie żyjących jeszcze męczenników objął ostatecznie – bardziej dynamiczny Faustino Perez. On to powiedział Pablo

Hallowi, że na cmentarzu zamierza przemówić do katów i zebranych tam ludzi. Zlecił mu również zadanie: „Powiedzcie, proszę, czcigodnemu ojcu generałowi, że będę przewodził ostatniej grupie męczenników idących na śmierć, że będę wszystkim dodawał odwagi i że całą drogę do miejsca kaźni będziemy śpiewać i wznosić wiwaty”.

O wpół do szóstej zabrano rzeczywiście obydwu Argentyńczyków. Ich dalszą drogę opisał Atilio Parussini w liście do swoich rodziców.

O szóstej wsiedliśmy do pociągu. Było nas czterech cudzoziemców: oprócz nas, dwóch Argentyńczyków, ojciec Eusebio Ferrer, rektor pijarów, który mimo że urodził się w Barcelonie, miał obywatelstwo argentyńskie, i jeden brat benedyktyn, Francuz. Eskortowało nas trzech członków komitetu. Dojechalśmy o wpół do trzeciej do Barcelony, gdzie zabrano nas do komitetu wojennego. Tam zamknięto nas w jednym pokoju, w którym spędziliśmy pięć godzin bez jedzenia, siedząc na ławkach. Pięć strasznych godzin, ponieważ myśleliśmy, że nas rozstrzelają. W końcu o wpół do ósmej wieczorem, po długiej dyskusji ludzi z komitetu (jedni chcieli nas rozstrzelać, pozostali nie zgadzali się), zwyciężył w końcu zdrowy rozsądek i zawieziono nas w dwóch samochodach pod uzbrojoną eskortą do konsulatu argentyńskiego. Konsul zawiózł nas własnym samochodem do pensjonatu.

Cztery dni, które tam spędziliśmy, poświęciliśmy na przygotowanie naszego wyjazdu i na wypoczynek. Ojciec rektor wydał sześćdziesiąt pesos na zakup ubrań, ponieważ przyjechalśmy ubrani jak włóczędzy.

W końcu weszliśmy 18 sierpnia na pokład niemieckiego statku „Monte Sarmiento”; 20 sierpnia wylądowaliśmy w Genui (...); następnego dnia o siódmej rano byliśmy w siedzibie zwierzchnictwa naszego zakonu w Rzymie, tam spędziliśmy tydzień. (...) 2 września przyjechałem, już w sutannie, tutaj, do Frascati i za parę dni wyruszę wreszcie do Albano.

Jeszcze w czasie pobytu w Rzymie Pablo Hall sporządził swoją relację z wydarzeń w Barbastro; w najnowszym wydaniu (*Nosotros somos testigos*, Madryt 1992) jest to dwadzieścia gesto zadrukowanych stron. Słusznie wprawdzie zauwa-

zył Ramón Illa, żegnając obydwu Argentyńczyków: „Najbiedniejsi, jakże są oni nieszczęśliwi! Nie mogą umrzeć za naszego Pana jako męczennicy!”, ale obydwaj Argentyńczycy zostali powołani na świadków w innej ważnej sprawie: byli najważniejszymi świadkami ofiary krwi swoich współbraci.

Po wyjeździe Argentyńczyków pozostali w sali teatralnej klaretyni byli pewni, że nadszedł ich ostatni dzień. Z wdzięcznością przyjęli jeszcze ten jeden dzień, jeszcze jedną możliwość jak najlepszego przygotowania się na śmierć. Po raz kolejny pisano listy pożegnalne. Ojciec Luis Masferrer napisał następujące słowa do swojej matki:

Niech Bóg ma was w swojej opiece, moja dobra matko; oczekuję was w niebie. Niech Bóg ma was w swojej opiece, drodzy bracia i siostry; po dwudziestu trzech dniach więzienia idę do nieba, rozstrzelany przez nieprzyjaciół Chrystusa. Niech żyje Jezus Chrystus, niech żyje religia! Niech żyje Serce Maryi! Niech Bóg ma was w swojej opiece, do zobaczenia w niebie.

Wasz syn i brat, Luis. 13.8.36

W niedługim czasie święcenia kapłańskie miał otrzymać José Figuro, który pochodził z religijnej rodziny z Gumiel del Mercado w prowincji Burgos. Z tego samego miejsca pochodził także Antolfn Calvo, który umarł za Chrystusa noc wcześniej. José Figuro był skromnym, pełnym humoru człowiekiem, który nigdy nie doszukiwał się błędów u innych ludzi.

Szedł zawsze własną drogą, nie oglądając się na to, co inni pomyślą czy powiedzą. Oto słowa, jakie napisał do krewnych na tylnej stronie świadectwa niższych święceń, które otrzymał w Solsonie:

J.M.J. Barbastro, 13 VIII 36 Kochani rodzice, bracia i siostry! Piszę do was te słowa, które są moim ostatnim z wami pożegnaniem z więzienia, gdzie znajduję się od 20 lipca z czterdziestoma dziewięcioma innymi towarzyszami. Wkrótce będę męczennikiem Jezusa Chrystusa. Nie oplakujcie mojego losu, ponieważ każdy, kto umiera za Jezusa Chrystusa, żyć będzie życiem wiecznym. Moje życie składałam w ofierze, to oczywiste, za was i za całą rodzinę, aby nadszedł szczęśliwy dzień, kiedy wszyscy znowu zobaczymy się w niebie. Ofiarowuję je również za moją ojczyznę, nieszczęśliwą Hiszpanię, i za ratowanie dusz całego świata. Mam nadzieję, że w niebie spotkam Alfonso i będę się tam modlił o ratunek dla was. Jak szczęśliwi będziemy, moi kochani rodzice, kiedy za ileś tam lat spotkamy się w niebie. Modlę się teraz, aby Pan dał wam siłę, abyście znieśli ten cios. Rozstrzelali już biskupa, całą kapitułę katedralną, wielu księży z miasta i sąsiednich wsi oraz wielu świeckich. Kiedy piszę te słowa, 13 sierpnia, nie żyje już trzydziestu naszych towarzyszy, a jutro, w moje urodziny, mam nadzieję, że pójdę prosto do nieba. Niech Bóg ma was w swojej opiece, do zobaczenia w niebie. Będę się tam za was modlił. Bardziej niż kiedykolwiek kochając was syn, który w ciszy i spokoju umrze za Chrystusa.

José CMF

Krótką, lecz pełną ducha wiadomość pozostawił Juan Baixeras dla swojego brata Ramóna, który pracował już wtedy jako ojciec klaretyń w Italii: „B. CMF -

Będę z nieba patrzył na ciebie troskliwie; uratuj wiele dusz”.

Juan Baixeras pochodził z rodziny tkaczy żyjącej w malowniczej miejscowości Castellterçol w prowincji Barcelona. Już jako dziecko był bardzo pobożny i żywił głęboką cześć dla Maryi. W wieku siedmiu lat wyruszył z domu. Kiedy po siedmiu kilometrach marszu dotarł do Moya, stwierdził, że do Vic było jeszcze dwadzieścia pięć kilometrów. Juan zamierzał dotrzeć do Vic, gdzie jako postulanta przebywał w seminarium klaretynów jego brat. Chłopca maszerującego drogą zauważył wujek i zabrał go do domu. A jednak Juan trafił do klaretynów. Mając 12 lat, jako trzeci w rodzinie po braciach Ramónie i Miguelu, rozpoczął naukę, którą zakończył 1 lipca 1936 roku w Barbastro. Był bardzo inteligentny i pilny. Zawsze był gotów do pomocy. Chętnie udostępniał kolegom notatki z lekcji i wykładów. Posiadał także zdolności malarskie. Kiedy pisał na chusteczce swój pożegnalny list do brata, brakowało mu jeszcze trzech miesięcy do ukończenia dwudziestu trzech lat.

Agustin Viela był starszy od Juana o dobre pół roku. Pochodził z nawarryjskiej wioski. Jego ojciec, który był organistą kościelnym w sąsiedniej parafii, umarł, kiedy Agustin miał zaledwie pięć lat. Matka wróciła wtedy do rodzinnej wsi, gdzie chłopiec uczył się w szkole prowadzonej przez zakonnice. Służył do mszy w kościele sióstr, a w czasie świąt również w kościele parafialnym. W wieku dziewięciu lat zaczął śpiewać w chórze kościelnym; miał bardzo dobry słuch. Agustin żywo się interesował kościelnymi sprawami, co zauważył ksiądz. Dostrzegłszy w chłopcu oznaki powołania, zaczął go uczyć łaciny. W wieku jedenastu lat Agustin został postulanta w Alagón, gdzie przeszedł kolejne etapy edukacji.

Jego list świadczy o głębokiej miłości do matki. Otwarcie przedstawił jej możliwość męczeństwa. Tak oto pisał: „Jedyne, co mogą nam zrobić, to nas zabić z nienawiści do Boga, a wtedy będziemy męczennikami. I czy może matce przypaść większy zaszczyt niż móc powiedzieć, że jej syn umarł za Boga i za Matkę Boską?”

Teraz, kiedy był pewny, że zostanie męczennikiem, szukał jeszcze możliwości wysłania swojej matce uspokajającej wiadomości. Wszedł więc na okno i zawołał jakąś kobietę, która wydała mu się godna zaufania. Podał jej adres domowy. „Jestem z Navarry. Niech pani napisze do moich krewnych, że najprawdopodobniej jutro umrę. Ale niech im pani powie, że umieram szczęśliwy, ponieważ umieram za Boga.”

Mimo całej ostrożności, wartownicy zauważyli, że coś się dzieje. Jeden z nich wrzasnął na kobietę. Ta odpowiedziała: „Ci biedacy mają przeciw matki. Pomyślcie, jak będą cierpieć, kiedy się dowiedzą, jak ich pozabijaliście”. Jej słowa nie wzbudziły współczucia u milicjanta. Rozgniewany uderzył kobietę w głowę, tak że nieprzytomna upadła na ziemię.

Faustino Perez zorganizował już „ostatni podarunek dla kongregacji”. Sporządził też wyczerpujące sprawozdanie o pobycie w więzieniu, ale jednak zniszczył je przed wyjazdem Argentyńczyków. Teraz pisał w imieniu pozostałych klaretynów kolejny list pożegnalny do kongregacji. Potwierdzał w nim ich gotowość do

męczeństwa i bohaterstwo tych współbraci, którzy koronę męczeństwa już otrzymali:

Kochana kongregacjo! Przedwczoraj, 11 sierpnia, sześciu naszych współbraci oddało życie z tą wspaniałomyślnością, z którą umierają męczennicy; dzisiaj, 13 sierpnia, kolejnych dwudziestu uzyskało koronę męczeńską, a jutro przyjdzie umrzeć nam, ostatnim dwudziestu jeden pozostałym przy życiu. Chwała niech będzie Bogu! Chwała niech będzie Bogu!

Jakże szlachetnie i odważnie zachowują się twoi synowie, kochana kongregacjo! Ten dzień spędzamy, dodając sobie otuchy przed męczeństwem i modląc się za naszych wrogów i za naszą wspólnotę zakonną.

W chwili, kiedy kolejni współbracia są wzywani do ofiary, na twarzach wszystkich maluje się spokój i pragnienie, aby usłyszeć własne nazwisko pośród tych, którzy mają dołączyć do szeregu wybrańców; oczekujemy tej chwili z wielkoduszną niecierpliwością. Wielu spośród wezwanych całuje powrozy, którymi kaci ich związali, a pozostali kierują słowa wybaczenia do uzbrojonej bandy. Kiedy jadą ciężarówką na cmentarz, słychać ich okrzyki: „Niech żyje Chrystus Król!” A tłuszcza odpowiada: „Zabić ich! Zabić ich!” Ale to ich nie przeraża. Tacy są twoi synowie, kongregacjo. Nie lękają się wycelowanych w nich karabinów, mają odwagę wołać w drodze na cmentarz: „Niech żyje Chrystus Król!” Jutro dołączymy do nich i my. Już ustaliliśmy zawołania na cześć Serca Naszej

Matki, Chrystusa Króla, Kościoła katolickiego i twoją, naszą wspólną matko. Nasze głosy słyhać będzie nawet w huku wystrzałów karabinowych. Współbracia chcą, abym wykrzykiwał kolejne zawołania, a oni będą za mną powtarzać. Będę krzyczał co sił w płucach, nasze radosne okrzyki będą wyrażać, jaką miłością darzymy ciebie, nasza kochana kongregacjo. Ani na chwilę nie zapominamy o tobie, mimo bólu i czekającej nas męczeńskiej śmierci.

Umieramy wszyscy szczęśliwi i zadowoleni, bez cienia skargi czy żalu; umieramy wszyscy, prosząc Boga, aby przelana przez nas krew nie była zarzewiem nienawiści, lecz aby żywym strumieniem popłynęła twoimi żyłami i przyczyniła się do twojego rozwoju i wielkości. Twoi synowie męczennicy z Barbastro pozdrawiają cię z więzienia i składają ci w ofierze swój ból i strach jako pokutę za wszystkie wady i na świadectwo wiernej, wielkodusznej i niezachwianej miłości. Jutrzejsi męczennicy, z 14 sierpnia, myślą o tym, że umrą w wigilię święta Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Jakaż to okazja do przemyśleń! Umieramy, bowiem nosimy sutanny, i umieramy w rocznicę dnia, kiedy je nam nakładano.

Męczennik z Barbastro, w imieniu wszystkich ostatni i najmniej godny,

Faustino Perez CMF

Niech żyje Chrystus Król! Niech żyje Serce Maryi! Niech żyje kongregacja! Niech Bóg ma cię w swojej opiece, kochana wspólnota zakonna. Idziemy do nieba, aby się modlić za ciebie. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, niech Bóg ma cię w swojej opiece!

Minęła kolejna noc, nastał kolejny dzień i nic się nie wydarzyło. Można by w ten sposób opisać noc z 13 na 14 sierpnia. Musimy jednak pamiętać, że dla dwudziestu klaretynów była to z pewnością najtrudniejsza noc w ich życiu. Kładli się na deskach sceny przekonani, że o północy otworzą się drzwi i powtórzy się sytuacja z poprzedniego dnia, z jedną różnicą: że tym razem sala całkowicie opustoszeje.

Nikt, kto nie spędził tamtej nocy w sali teatralnej, nie potrafi opisać tego, co

wtedy czuli i jak cierpieli więźniowie. Mógłby to zrobić tylko ktoś, kto sam tego doświadczył. My możemy tylko próbować wyobrazić sobie ich położenie. Z pewnością bezgłośnie modlitwy przygotowujących się na mającą nadejść w środku nocy śmierć były przerywane krótkimi chwilami kruchego snu. Potem znów następowały kwadransy pełnego trwogi nasłuchiwania uderzeń zegara z katedralnej wieży w Barbastro oraz odgłosów rozmów i kroków dobiegających z placu ratuszowego. Czy to już milicjanci mający ich zabrać? Czy też tylko przypadkowi przechodnie, którzy wracali po nocy do domu przez plac? Czy był to odległy warkot silnika ciężarówki, którą miano ich wywieźć? I znowu nic, pozorny spokój i cisza. Wybrzmiało dwanaście uderzeń zegara na wieży. Teraz przyjdą. Jeszcze żarliwa modlitwa do Boga o wytrwałość w ostatniej godzinie, jeszcze jedno płynące z głębi duszy pozdrowienie Maryi Panny, której święto się zbliżało. Dlaczego się spóźniają? Czy popsuła się ciężarówka? Czy też pluton egzekucyjny ma inne zadanie do wykonania? Może milicjanci są potrzebni na linii frontu i mają inne sprawy na głowie? Ale właśnie w takiej sytuacji powinni jak najszybciej zgładzić swoich więźniów... A poza tym byłoby słyszeć, gdyby front się zbliżał! Co się dzieje? Zaraz tu będą!

Dwa uderzenia na wieży katedry - wpół do pierwszej. Dalej nic. Cztery wyraźne uderzenia - pierwsza. Wczoraj o tej porze współbracia już nie żyli! Ale przedwczoraj sześciu najstarszych również zabrano dopiero o trzeciej. Może oprawcy woleli tę porę. A więc dalej trzeba czekać, modlić się i spać.

Pamięć ciągle przywołuje sceny z przeszłości. Wracają obrazy z dzieciństwa, wydarzenia ze szkoły i lat studenckich, słynne *Ojciec nasz* podczas spaceru w nowicjacie... sprawy, które podczas poprzednich nocy rzadko przychodziły na myśl, teraz narzucają się nieodparcie. Godzina trzecia, czwarta... zaczyna świtać. Ustępuje mrok, zrazu niezauważalnie, obszar jego władania kurczy się wolno, później coraz szybciej, wpadając jakby w paniczną ucieczkę przed nadciągającą jutrzeńką. Teraz nie przyjdą, jeszcze nikogo nie rozstrzelali w świetle dnia.

Z pierwszymi promieniami słońca zaczyna się kolejny dzień wyniszczającego oczekiwania. Groźba rychłego rozstrzelania, tak jeszcze do niedawna realna, ustępuje nieznośnej niepewności. Więźniowie znowu są rozdarci między pewnością nieuniknionej śmierci a niepewnością co do czasu, kiedy ma to nastąpić. Ich determinację zaczyna podkopywać niestłumione pragnienie życia, które niesie ze sobą straszną nadzieję, że może lista męczenników z Barbastro jest już zamknięta.

Trudno z całą pewnością ustalić, dlaczego opóźniono rozstrzelanie ostatnich więźniów. Może powodem była egzekucja dwudziestu młodych klaretynów z 13 sierpnia. Spowodowała bowiem spore zamieszanie w Barbastro. O ile dało się wytłumaczyć rozstrzelanie biskupa, który niejako z urzędu był poważnym wrogiem „czerwonych” i ich ideologii, to tym razem pojawił się sprzeciw, nawet w kręgach, które nie były blisko związane z Kościołem: to przecież nie byli księża, lecz młodzi ludzie, którzy jeszcze nikomu nic nie zrobili! Chociaż takie opinie wyrażano ze strachu tylko ukradkiem, komitet zorientował się jednak, że się o tym mówi i że

nastroje mogą ulec zmianie. Być może postanowiono po prostu poczekać, aż emocje nieco opadną, może liczone na to, że pozostali klaretyni ulegną wskutek wyčerpania i porzucą swoje sutanny.

Dnia 14 sierpnia zdecydowano o losie brata Ramóna Valla, który gotował dla uwięzionych klaretyńców. Pablo Hall wpisał go jako ostatniego na listę tych, którzy według jego przypuszczeń zginęli jako męczennicy 14 sierpnia. Tak to tłumaczy: „Brat Ramón Vall powiedział nam, że jeśli zostanie sam, ponieważ uznają go za zwykłego kucharza rozstrzelanych mnichów, udowodni komunistom, że nie jest tylko »kucharzem mnichów«, ale sam jest »mnichem« takim jak pozostali i wyrok na nich obejmuje również jego. To nie było konieczne, ponieważ 12 sierpnia rano, kiedy był w kuchni, wezwano go, aby wpisać go na listę tych, których planowano rozstrzelać następnego dnia. Kiedy rozmawiali ze mną na temat mojego zwolnienia, powiedzieli odnośnie brata Ramóna Valla: »On też musi zginąć«,,.

Po południu 14 sierpnia Ramón Vall został wezwany przez komitet w celu „udzielenia wyjaśnień”. Na dzień 12 sierpnia sporządzone zostały trzy listy skazanych - jego nazwisko było siódme w kolejności na drugiej liście, ale jeden z milicjantów go skreślił. Brat Ramón wiedział o tym. Być może sam milicjant poinformował go: „Powiedziałem im, że jesteś robotnikiem, że zarabiasz w kuchni na życie”. Znał brata Ramóna, ponieważ często przychodził do publicznej jadłodajni, urządzonej w budynku sąsiadującym z kolegium purystów.

Tego samego dnia brat Ramón Vall spotkał na zewnętrznym dziedzińcu brata Manuela Martineza. Chociaż rozmowy były surowo zakazane, brat Ramón przystanął obok niego na chwilę i wyszeptał: „Zostaję”. Kiedy spotkał go raz jeszcze, powtórzył to samo. Brat Manuel Martinez rzucił mu roztargnione spojrzenie i odpowiedział: „Dużo pracy, co?”

14. Z MARYJĄ DO NIEBA

Wieczorem krążyły po sali pijarów z rąk do rąk obydwa dostępne brewiarze. Był to wieczór przed świętem Wniebowzięcia Maryi. Klaretyni czyтали zapisane w brewiarzu dostojną łaciną hymny maryjne, które od rozpoczęcia nowicjatu śpiewali tak często.

*Bądź pozdrowiona, jaśniejąca Gwiazdo na niebie, Święta Matko Boga,
Panienko, którą Najwyższy sobie upatrzył, Błogosławiona Bramo Niebios.*

Ostatnie słowa tej pieśni nabrały tego dnia szczególnego znaczenia. Były już nie tylko poetyckim określeniem ze starego hymnu, nie tylko tytułem honorowym Maryi. Tego dnia zawierała się w tych słowach niewzruszona nadzieja uwięzionych klaretynów: Maryja będzie na nich czekać przy wrotach niebios, aby je im otworzyć.

Około południa zaczął narastać hałas na placu ratuszowym. Na początku przekazywano sobie z ust do ust zwykłe uwagi: „Dzisiaj coś się wydarzy, będzie walka byków”. Lub: „Dzisiaj znowu będzie widowisko. Przyjdiesz popatrzeć?” Plac zapelniał się ludźmi, którzy chcieli zobaczyć, jak z Barbastro znikają ostatnie „sutanny”.

Szesnastoletni rzeźnik Maruno Laguens Planes udał się tego wieczoru do kolegium pijarów, aby przygotować dania z kil

ku jagniąt na wystawną kolację dla milicjantów, którzy nieoczekiwanie przybyli „w odwiedziny”. Był świadkiem, jak wyprowadzano klaretyńców.

Do sali wkroczyła grupa funkcjonariuszy uzbrojonych w karabiny. Klaretyni natychmiast zerwali się na równe nogi. Kasjer Torrente, dowodzący oddziałem, odczytał na głos listę:

Luis MASFERRER
José M. BLASCO
Alfonso SORRIBES
José BADIA
José FIGUERO
Ramón ILLA
Eduardo RIPOLL
Francisco ROURA
Agustin VIELA
José AMORÓS
Juan BAIXERAS
Rafael BRIEGA
Luis ESCALE

Luis LLADÓ
Miguel MASSIP
Faustino PEREZ
Sebastian RIERA
José ROS
Francisco CASTAN
Manuel MARTINEZ JARAUTA

Po odczytaniu listy Torrente, trzymając zakrwawione powrozy w rękę, zapytał ich: „Dokąd chcecie jechać: na front, aby walczyć z faszystami, czy na rozstrzelanie?” Czy mogli inaczej niż do tej pory odpowiedzieć na pytanie, które im zadawano tyle razy? Wybranie frontu oznaczałoby przecież opowiedzenie się po stronie tych, którzy bezlitośnie prześladowają Kościół! Tak więc po krótkim milczeniu padła jednomyślna odpowiedź: „Wolimy umrzeć za Boga i za Hiszpanię”.

Klaretyni zaczęli się niezwłocznie żegnać ze sobą po raz ostatni. Wśród milicjantów zapanowała chwilowa konsternacja, w końcu jednak zrozumieli sens odpowiedzi. Ciskając obelgi i dzikie przekleństwa, zaczęli krępować więźniów i wiązać ich parami. Klaretyni nie stawiali żadnego oporu. Niektórzy wypowiadali słowa przebaczenia: „Przebaczamy wam z całej duszy. Będziemy się za was modlić w niebie”.

Kiedy wychodzili z sali na plac, dołączyło do nich jeszcze trzech księży: don Maruno Albas i don Vicente Artiga z Barbastro oraz don Vicente Salanova, proboszcz z Cregenzan. Don Vicente Artiga krwawił obficie, ranny w brodę. Klaretyni - misjonarze, jak ich powszechnie nazywano w Barbastro - szli zdecydowanymi krokami przez plac w stronę ciężarówki. Musieli ominąć kałużę wody, która wylała się ze znajdującej się wtedy na placu studzienki.

Wiele osób dziwiło się, że klaretyni byli tak młodzi. Dało się słyszeć ciche głosy niezadowolenia. Jednak nikt nie odważył się na głośną krytykę.

Ciężarówka miała silną eskortę. Nad kabiną stał milicjant z nabitym pistoletem. Na rogach platformy stali milicjanci z karabinami. Klaretyni wchodzili na platformę po ławce. Zanim tam weszli, przemówił Mariano Abad: „Proponuję wam jeszcze umowę. Nie myślcie, że chcę was oszukać. Jeśli pójdziecie walczyć z nami przeciw faszystom i porzucicie waszą religię, darujemy wam życie”. Ponieważ już słyszeli tę propozycję, nie odpowiedzieli.

Maruno Abad jeszcze raz tłumaczył: „Chodzi o następującą sprawę: Jeżeli porzucicie szmaty, które macie na sobie, i waszą religię i pójdziecie walczyć z faszystami, zostanie wam zwrócone życie i potraktujemy was jak towarzyszy”. Seminarzyści milczeli. Mariano Abad zaklął siarczyście i powiedział: „Po tysiąc-kroć szkoda, że takie dziarskie chłopaki jak wy nie idą z nami na front! Ale ponieważ nie przyjmujecie mojej propozycji, oznacza to wasz koniec”.

W tłumie zawrzało. Niektórzy byli zaskoczeni rozwojem sytuacji, inni wpadli w złość. Mężczyźni z eskorty patrzyli po sobie, jakby oczekiwali rozkazu. Spoglądali na więźniów i na Maruno Abada.

Wahaniu położył kres gniewny głos kobiecy: „Maruno, pozwól mi dzisiaj ich dobić po egzekucji!” Była to Angeles Arilla, nazywana *La Peiruz*. Z pistoletem przytroczonego do pasa, z czerwonym szalikiem zawiązanym pod szyją, wyróżniała się z tłumu. „Grabarz” wykorzystał sytuację, aby zmobilizować milicjantów. „Ta kobieta ma odwagę” - powiedział, po czym zwrócił się do Angeles: „Nie wiedziałem, że cię na to stać. Wykończ więc ich. Niejeden milicjant mógłby się dużo od ciebie nauczyć!”. Odszukał wzrokiem trzech milicjantów, którzy nie chcieli uczestniczyć w rozstrzelaniu klaretynów, i wymyślał ich ordynarnie. Po tem kategoriycznym tonem ostrzegł klaretynów: „Uważajcie, bo jeśli jeszcze raz usłyszę ten okrzyk »Niech żyje Chrystus Król«, każdego, kto krzyknie, podzielę kolbą od karabinu!”

Klaretyni milcząc wsiadali na platformę ciężarówki. Ponieważ byli związani parami, trudno im było utrzymać równowagę. Pewien żołnierz zauważył, jak jacyś ludzie chcieli pomóc wysokiemu studentowi w okularach. Podziękował i zdecydowanym krokiem sam wskoczył na platformę. Ten sam student, według innego świadka, miał oświadczyć odważni. „Cierpimy za Chrystusa”. Kiedy wszyscy już wsiadli, z mknięto i zaryglowano tylną klapę. Maruno Abad wydał roi kaz odjazdu. W chwili kiedy zawarczał silnik, rozległo się donośnie: „Niech żyje Chrystus Król!”

Milicjanci wpadli w gniew. Maruno Abad kazał zatrzymać transport. Wsiadł ze swojego samochodu i wdrapał się na platformę ciężarówki. Tam zaczął wściekle bić klaretynów kolbą swojego karabinu. Strażnik więzienny Andrés Soler widział, jak Faustino Perez został uderzony w głowę. Kiedy milicjanci po egzekucji raczyli się piwem, jeszcze się dziwili, jak ten student mógł to wytrzymać, „mając pękniętą czaszkę i straciwszy tyle krwi”.

Inny świadek zapewnia, że okrzyki na cześć Chrystusa Króla i Matki Boskiej wznosił rudowłosy seminarzysta. Milicjanci pobili go swoimi karabinami. Jednak im bardziej go bili, z tym większym entuzjazmem krzyczał.

Pewna kobieta, która ówczesznie mieszkała razem z matką w domu przy ulicy Coso, jeszcze w 1992 roku pamiętała wszystko dokładnie: „Leżąc w łóżku, usłyszałyśmy krzyki. Już spałam i mama mnie obudziła. Słyszałyśmy wyraźnie: »Niech żyje Chrystus Król!«, »Niech żyje Serce Maryi!«. I jeszcze coś o męczeństwie i o męczennikach. Słysząc było wiele mocno i zdecydowanie wznoszonych okrzyków i aktów strzelistych. To było jak walka z tymi, którzy próbowali ich powstrzymać. To były poruszające zawołania. Moja matka kazała mi wstać z łóżka i uklęknąć. »To są misjonarze, córko. Módlmy się za nich. Módlmy się, aby Bóg ich nie opuścił i dał im siłę w godzinie ich ostatniej próby«,..

Mariano Laguens, młody rzeźnik, który obserwował przebieg wydarzeń, był wstrząśnięty. „W obliczu tego, co się rozgrywało, zacząłem płakać ze wzruszenia, przy czym starałem się, jak mogłem, ukryć moje lzy.”

Młodzi klaretyni nie zamilkli. „Niech żyje Wniebowzięcie Marii Panny!; Niech żyje Chrystus Król!; Niech żyje papież!” Kiedy transport skręcił w ulicę Coso, seminarzyści śpiewali, jak wspomina jeden ze świadków: „Tylko oni śpie-

wali w drodze na egzekucję, nikt inny. Śpiewali donośnym głosem. Słyszeliśmy ich i widzieliśmy przez uchylone drzwi balkonowe”.

Również członkowie plutonu egzekucyjnego potwierdzają determinację seminarzystów. Jeden z żołnierzy gwardii obywatelskiej z Berbegal - dowódca licznego oddziału „Młodych Orłów”, który budził przerażenie u podnóża Pirenejów - kiedy mył po egzekucji ręce zbrukane krwią, przeklinał skazańców. „Za nic w świecie nie można ich było uciszyć. Całą drogę śpiewali i wiwatowali na cześć Jezusa Króla. Byliśmy nieustępliwi i biliśmy ich kolbami karabinów. Ale im więcej dostawali razów, tym mocniej krzyczeli.”

Z Coso ciężarówka skręciła w kierunku Huesca. Tam zobaczył ją przywódca socjalistycznych związków zawodowych z Barbastro, który chciał być obecny przy egzekucji. Później wyznał: „Jestem pod wrażeniem opanowania, z jakim misjonarze szli na śmierć. Tak mnie wzruszyli, że nie miałem odwagi przyglądać się do końca ich śmierci i zawróciłem”.

Kiedy mijali Instytut Higieny Wsi, zaintonowali *Salve Regina*, pozdrawiając Matkę Bożą z pobliskiego sanktuarium w El Pueyo. W jednej z sal instytutu leżał ciężko chory syn socjalistycznego burmistrza miasta Pascuala Sanza. Matka czuwała przy jego łóżku. Kiedy usłyszała męczenników, zauważyła z oburzeniem: „To niesłychane! Jadą na śmierć i jeszcze wiecuj ą! „

Ciężarówka jechała za autem dowódcy i skręciła w lewo na drogę na Berbegal, mijając grupki gapiów stojące po obydwu stronach. Trzy kilometry dalej samochody zatrzymały się na zakręcie. Tym razem egzekucja odbyła się jeszcze bliżej zagrody Antonia Pueyo, który razem ze swoimi robotnikami widział, co się dzieje i mógł nawet rozróżnić pojedyncze okrzyki i rozkazy. Najpierw mrok rozświetliły reflektory samochodu dowódcy. Milicjanci wyrzucali ludzi z ciężarówki niczym worki. Wśród słów przebaczenia i zawołań ku chwale Chrystusa klaretyni próbowali wstawać z ziemi. Antonio Pueyo słyszał, jak wołali: „Niech żyje Wniebowzięcie Maryi Panny!”

Ciężarówka zawróciła, aby oświetlić skazańców. Milicjan i cofnęły się kilka kroków i przygotowali broń. Potem złożyli s do strzału. „Sądzę, że było od trzydziestu do czterdziestu strzelców” - mówił później Manuel Iglesias, który obserwował przebieg wydarzeń z oddalonej o 400 metrów zagrody razem z bratem Luisem i ich ojcem. Kiedy strzelcy wycelowali broń, męczennicy raz jeszcze pomodlili się: „Panie, wybac im, gdyż nie wiedzą, co czynią”. Później rozległ się donośny głos Maruno Abada, słyszalny aż w zagrodzie Antonia Pueyo: „Jeszcze macie czas. Co wolicie: odzyskać wolność i pójść na front czy umrzeć?” „Umrzeć! Niech żyje Chrystus Król!”

Karabiny wypaliły. Zabici padli na ziemię. Umierali z ostatnimi słowami modlitw na ustach, wydając stłumione okrzyki bólu, z krzyżami i różańcami w rękach i z pielgrzymkowym sanktuarium maryjnym za plecami. Potem słychać było głuche odgłosy strzałów, gdy dobijano skazańców. Dwadzieścia trzy strzały, jeden po drugim. Ziemskie życie młodych klaretynów dobiegło końca - a u bram nowego życia powitała ich Maryja.

Ciała pozostawiono na godzinę, aby się wykrwawiły. „Zanim je zabrali na miejski cmentarz, gdzie kazali Cyganom wykopać duże groby, przyszedli do zagrody, aby się napić” - opowiadał Antonio Pueyo.

Nawet Santos Claver, jeden z najbrutalniejszych rewolucjonistów, który brał udział w wielu egzekucjach, łącznie z tymi wszystkimi, kiedy rozstrzeliwano klaretynów, musiał przyznać: „Jeszcze w chwili śmierci głosili swoje przekonania i kiedy padali, wymawiali rżącym głosem pobożne słowa i mocno ściskali krzyż, który siłą trzeba im było odbierać. Tak samo było z różańcami”.

Następnego dnia, 16 sierpnia, w niedzielę, przyjechali na miejsce egzekucji liczni robotnicy rolni i zobaczyli, co zostało po misjonarzach: połamane okulary, różańce, zakrwawione szkaplerze, fragmenty ubrań, medaliony... Antonio Pueyo znalazł portfel ze zdjęciem podpisanym na tylnej stronie: „Sebastian Riera CMF”.

Dzień później komitet rewolucyjny wysłał kilku swoich ludzi, aby usunęli najgorsze ślady kaźni, jakie pozostały na wyboistej drodze. Manuel Iglesias opisuje: „Ludzie z komitetu zakrywali ślady krwi na ulicy. Powiedzieli nam, że wszędzie były kałuże krwi i porozrzucane kawałki mózgu. Ślady te zasypywali piaskiem, który ubijali narzędziem o długim stylisku, podobnym do takiego, którym piekarz rozrzuca w piecu rozżarzone węgle. Maskowali ślady krwi, aby nic nie przypominało o tej masakrze”.

Brat Manuela, Luis, przypomina sobie: „Pewnego dnia jechaliśmy wozem załadowanym pszenicą. Ja powoziłem. Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat. Wyjechaliśmy z domu z samego rana. Misjonarzy rozstrzelali zaledwie pięć godzin wcześniej. Z polnej drogi wjechałem na szosę. Trzy konie z zaprzęgu zrobiły się nerwowe. Pierwszy był wyjątkowo łagodny. Kiedy dojechaliśmy do miejsca z krwią, konie nie chciały jechać dalej, jakby przerażone zapachem świeżej ludzkiej krwi. Chciały wracać. Nie wiem, czy było to pierwszego, czy drugiego dnia. Musiałem się mocno napracować uzdami, zanim zmusiłem konie do dalszej jazdy”.

Ojciec Valero, purysta - który później mimo obietnic swojego byłego ucznia został stracony - przesłał bratu Eusebio Ferrerowi, będącemu już wtedy w Barcelonie i oczekującemu na okazję wyjazdu do Włoch, zaszyfrowany telegram o śmierci ostatnich klaretynów. Brat Ramón Vall, który widział telegram, wiedział, że zawierał tylko dwa słowa: „Wniebowzięcie, dół”. „Wniebowzięcie” oznaczało datę egzekucji, słowo „dół” wskazywało na klaretynów, którzy byli ulokowani na parterze. Czy telegram dotarł do adresata, nie wiadomo, ponieważ Pablo Hall i Atilio Parussini, którzy byli razem z nim w Barcelonie, nic o tym nie słyszeli.

Sala teatralna purystów znów była pusta. Wszyscy ci, którzy spędzili tu ostatnie, przepełnione bólem tygodnie swojego życia, zostali już na zawsze szczęśliwymi mieszkańcami nieba.

15. WYSTARCZAJĄCO ZDROWI, ABY UMRZEĆ

Z całej grupy klaretynów żyło jeszcze dwóch seminarzystów: Jaime Falgarona i Atanasio Vidaurreta, którzy razem z bratem Joaquinem Muñozem zostali zabrani 20 lipca 1936 roku do szpitala.

Stan ich zdrowia polepszył się po kilku dniach. Właściwie można było ich już wypisać ze szpitala. Z frontu pod Siétamo i Huesca przybyły transporty rannych, którzy potrzebowali natychmiastowej opieki. Jednak lekarze, nie pozbawieni ludzkich uczuć pielęgniarki i dyrektor szpitala Coll wiedzieli, że wypisanie misjonarzy oznacza ich pewną śmierć. Brat Joaquin Muñoz, ze względu na swój wiek - 84 lata - był jeszcze w miarę bezpieczny, ale obydwaj studenci liczący 24 i 25 lat mieli nikłe szanse. Wśród personelu szpitalnego powstał spór między tymi, którzy chcieli chronić klaretynów, a tymi, którzy wyżej stawiali racje strategiczne.

Ze względów bezpieczeństwa seminarzystów wpisano na listę pielęgniarki i sanitariuszy. Wykonywali najprostsze czynności przy chorych. Jeden z lekarzy powiedział później, że wiele wycierpieli moralnie, ale nie zatracili swej pobożności.

Wiadomości o egzekucjach księży, zakonników i misjonarzy oraz nocne wystrzały karabinowe dochodzące z pobliskiego cmentarza wyczerpywały psychicznie Jaime Falgaronę, którego nerwy były mocno nadwężone wskutek przebytej choroby. Jedna z sióstr zakonnych pracujących w szpitalu odniosła wrażenie, że stan duchowy seminarzysty był mocno niepokojący.

Jaime Falgarona pochodził tak jak i Esteban Casadevall z Argelaguer w prowincji Gerona. Był już dość wyrosnięty, kiedy w 1925 roku w wieku 13 lat rozpoczął swoją drogę jako klaretyn w Cervera. Jako uczeń ujawnił niespotykany talent do matematyki. Dnia 15 sierpnia 1930 roku złożył w Vic, tak jak większość męczenników z Barbastro, swoje pierwsze śluby i podjął studia filozoficzne i teologiczne w Solsonie i Cervera. W roku 1936 przybył do Barbastro. Był serdeczny, zawsze gotowy do pomocy, przyjazny i dobroduszny, żył w zgodzie z innymi studentami. Pełnił funkcję kierownika chóru studenckiego.

Atanasio Vidaurreta pochodził z drugiego krańca katalońskiej prowincji klaretynów, z Adiós w Nawarze, gdzie jego ojciec był pasterzem. Jego listy z czasu, kiedy był postulatem, wyróżniają się niezwykle starannym charakterem pisma. Atanasio był serdeczny i nigdy nie zadzierał nosa. Choroba, która spowodowała, że milicjanci zabrali go do szpitala, nie była pierwszym objawem jego słabego stanu zdrowia. Kiedy pewnego razu leżał złożony ciężką chorobą, powiedział: „W jakiś sposób musimy przecież cierpieć dla Pana”. Długo cierpiał również na bezsenność i musiał wyjechać z Cervera w celach wypoczynkowych do majątku ziemskiego Mas Claret.

Dnia 15 sierpnia wieczorem trzech klaretyni opuścili szpital i zostali osadzeni w celi miejskiego więzienia w Barbastro, gdzie już przebywało czterech księży i wielu katolików z miasta. Obydwaj studenci nie mieli złudzeń. Wiedzieli, że czeka ich śmierć i przygotowywali się na nią. Codziennie odmawiali różaniec z innymi więźniami i dużo czasu poświęcali na osobiste modlitwy.

Brat Joaquín Muñoz starał się odmawiać każdego dnia jak najwięcej różańców. Chciał przed śmiercią odmówić różaniec za każdy rok swojego życia. Kiedy kładł się wieczorem, pytali go pozostali więźniowie: „Ile różańców zostało jeszcze bratu?” Stary człowiek odpowiadał z rozbijającą szczerością i zakrywał się kocem, z różańcem w ręku, aby dalej się modlić.

Nadszedł dzień, kiedy do grona męczenników mieli dołączyć kolejni. Było to 28 sierpnia. Więźniowie zamarli w przerażeniu, gdy strażnik więzienny otworzył drzwi i wyczytał nazwiska z listy: Severo Lacambra, Ibarz, Crisóstomo López, Vicente López, Muñoz, Vidaurreta, Falgarona. Jeden z wyczytanych spał mocno. Obudził go któryś ze współwięźniów. „Co się dzieje?” „Wołają nas. Zabierają nas.” Trzej klaretyni uklękli, aby przyjąć od jednego z obecnych księży rozgrzeszenie. Później podążyli za strażnikiem więziennym.

Dwaj młodzi bracia wzięli pod ramiona najstarszego i pomogli mu zejść. Kiedy zobaczyli ich milicjanci, powiedzieli szyderczo: „Co mamy robić z tym starym grzybem?” Oddzielili go od grupy i zaprowadzili z powrotem do celi. Więźniowie wypytywali go, kto jeszcze został zabrany na śmierć. Wymienił te nazwiska, które zapamiętał. „Co powiedzieli bratu?” -pytali dalej. „Czy wyrządziłem komuś kiedyś coś złego. A ja odpowiedziałem, że nigdy nikomu nie zrobiłem nic złego.”

Kiedy jeszcze rozmawiali, usłyszeli, jak odjeżdża ciężarówka. Wszyscy zamilkli. Jaime Falgarona i Atanasio Vidaurreta ofiarowali swoje życie w świetle reflektorów ciężarówki w tym samym miejscu, gdzie oddali życie ich współbracia. Wiemy to na pewno, ponieważ mówił o tym członek komitetu Florencio Salamem do Antonia Pueyo.

W przeciwieństwie do brata Joaquína Muñoz a obydwaj seminarzyści byli dla milicjantów „wystarczająco zdrowi, aby umrzeć”. Umarli tak jak żyli, w pokorze, nie budząc niczyjego zainteresowania, jak ich bracia. Umarli za Chrystusa.

16. BEZKRWAWI ŚWIADKOWIE

Pięćdziesięciu jeden klaretynów-męczenników z Barbastro przypieczętowało krwią swoje świadectwo wierności Chrystusowi. Podziwiamy ich niezłomną wiarę, ale nie powinniśmy zapominać o tym, o czym oni doskonale wiedzieli: że męczeństwo jest darem łaski Bożej, który nie każdy otrzymuje. Ten, kto taki dar otrzymał, jest powołany do wypełnienia szczególnego zadania; przyjmując je z wdzięcznością, otrzymuje też łaski potrzebne, by mógł sprostać mu należycie. Nie można więc mieć żalu do kogoś, kto nie otrzymał tego daru, o to, że nie poniósł męczeńskiej ofiary. Nie znaczy to wcale, że jego wiara jest słabsza. Dlatego po zapoznaniu się z historią męczeństwa, zanim zastanowimy się, jaki sens ma dla nas świadectwo wiary męczenników, powinniśmy pomyśleć o tych, którym zaoszczędzono próby najtrudniejszej, ale których wiara była często poddawana próbom w czasie wojny domowej. Należą do nich obok dwóch wymienianych wcześniej argentyńskich studentów również starzy i schorowani bracia, którzy pozostali w Barbastro.

Stało się tak, że szala zwycięstwa w toczącej się wojnie domowej przechylała się coraz bardziej na korzyść generała Franco. W poniedziałek 28 marca 1938 roku po południu wkroczył do Barbastro oddział nacjonalistów. Następnego dnia około południa przybył za nimi klaretyn ojciec Bernabe Rami. Swoją obecnością miał nie dopuścić do tego, aby seminarium klaretynów zostało wykorzystane w celach militarnych. W pierwszej kolejności zatroszczył się o starych braci, o których wiedział z relacji Pabla Halla, że przebywają w domu starców prowadzonym przez Siostry Miłosierdzia. Wybrał się więc do nich z wizytą. Mógł jednak przywitać się tylko z dwoma braćmi: Bibiano Echeagarayem i Buenaventurą Peñalosa. Wyglądali na przygnębionych, byli biednie odziani. Sprawiali wrażenie, jakby nie mogli otrząsnąć się z koszmaru. Po radosnym przywitaniu padły pytania o los pozostałych braci. „Co z bratem Lascorz?” „Wyjechał trzy miesiące temu. Jest teraz w rodzinnych stronach u krewnych.” Dziś wiemy, że po wojnie wrócił do Barbastro i umarł tam 21 maja 1942 roku w wieku osiemdziesięciu jeden lat.

„A brat Delgado?” Odpowiedzi towarzyszył cichy śmiech: „Bał się Marokańczyków i towarzyszył w ucieczce pewnemu niewidomemu”. Brat Pablo Delgado dojechał pociągiem zaledwie do Montgay pod Balaguer. Wyruszył stamtąd 14 maja 1938 roku do Barcelony. Spędził tam miesiąc, po czym umieszczono go w Tarragonie, w miejscowej szkole klaretynów. Umarł tam 15 grudnia 1938 roku, wyczerpany wieloma strapieniami, które go dotknęły pod koniec życia. Miał 69 lat.

Następne pytanie dotyczyło brata Ramóna Valla. „»Czerwoni« zmusili go, żeby pracował dla nich jako kucharz. Uciekł do Katalonii.”

Było to tak: po ostatnich egzekucjach brat Ramón został znowu wezwany do udzielenia „wyjaśnień”. Pytano go, gdzie mieszka i jaki wykonuje zawód. „Odpowiedziałem im - relacjonował później - że jestem kucharzem w seminarium. I

zanim zdążyłem cokolwiek dodać, zapisali w swoich »wyjaśnieniach«, że będą robił to, co potrafię.”

W rezultacie cały rok spędził u rewolucjonistów. Zatrzymali go, bo był im potrzebny. W sercu jednak zachował pamięć o ofierze z życia złożonej przez jego współbraci.

Kiedy front pod Huesca zaczął się łamać i milicjanci spoza Barbastro zaczęli się wycofywać z miasta, brat Ramón Vall pozostał praktycznie na ulicy bez jakiegokolwiek zajęcia. Kiedy nadarzyła się okazja, wystarał się w komitecie o paszport i pojechał odwiedzić krewnych w Cervera. Przebywał tam aż do „wyzwolenia” miasta przez oddziały nacjonalistów. Razem z bratem Luisem Pujol udał się do położonego niedaleko majątku Mas Claret. Była to posiadłość odebrana klaretynom, a wtedy właśnie mieli znowu przejąć ją w posiadanie. Po zakończeniu wojny brat Ramón powrócił do Barcelony. Umarł 23 grudnia 1961 roku w swoim pokoju podczas pożaru domu zgromadzenia. Przeżył 88 lat.

Brat Joaquin Muñoz umarł jeszcze przed końcem wojny domowej, 20 stycznia 1938 roku, mając 87 lat. Po rozstrzelaniu Jaime Falgarony i Atanasia Vidaurrety zabrano go do szpitala nr 2, mieszczącego się na terenie Kolegium św. Wincentego a Paulo. Stamtąd przewieziono go do Fonz, skąd znów przywieziono go do Barbastro - pozbawionego wszystkiego, łącznie z bielizną na zmianę i przedmiotami osobistego użytku - i umieszczono w Amparo, domu opieki społecznej.

Jak relacjonuje pewna siostra zakonna, pracujące tam pielęgniarki nie opiekowały się należycie chorymi. Brat Muñoz musiał znosić obraźliwe uwagi i bardzo źle traktowanie. Owej siostrze zakonnej udało się go przenieść do domu starców Małych Sióstr, gdzie ona sama pracowała. Tam zatroszczyła się o niego należycie. Brat leżał wreszcie w czystym i wygodnym łóżku, a jego wdzięczność nie miała granic. Okazywał ją zawsze, kiedy się nim zajmowano. Był zaś tak pokorny i skromny, że starał się nie nadużywać niczyjej grzeczności. Toteż powtarzały się takie dialogi: „Pozwoli brat, że mu poprawię łóżko?” - „Proszę się nie kłopotać, jest mi przecież wygodnie. Bardzo dziękuję”. Czasem zapominał, że i tu należało być ostrożnym, i siostry musiały go ostrzegać: „Proszę nie nazywać mnie siostrą! A jeśli oni usłyszą?” I brat wtedy obiecywał skruszony: „Ach, tak, już więcej nie będę”.

Brat Joaquin Muñoz większość czasu spędzał na modlitwie. Kiedy śmierć przez rozstrzelanie została mu zaoszczędzona, zmienił plan swoich modlitw: zamiast jednej części różańca za jeden rok życia, postanowił odmawiać wszystkie piętnaście tajemnic za każdy dzień swojego życia. Wydaje się jednak mało prawdopodobne, aby udało mu się osiągnąć ten cel, to znaczy, aby rzeczywiście zmówił ponad 31000 różańców. Kiedy stan jego zdrowia polepszył się i mógł wstać z łóżka, nie izolował się od innych pensjonariuszy domu starców, lecz rozmawiał z nimi i spacerował po ogrodzie. Regularnie jednak wycofywał się na ubocze, gdzie w skupieniu przekładał w palcach perły swojego różańca.

W Alagón i w innych domach zgromadzenia brat Joaquin przez wiele lat

opiekował się chorymi. Tak więc również i teraz w domu starców odwiedzał chorych i wykonywał przy nich proste czynności oraz dodawał im otuchy. Ojcu Felixowi, pijarowi, równie jak on staremu i schorowanemu, pomagał się ubierać i kłaść do łóżka.

Wkrótce upomniała się o niego śmierć. Cztery tygodnie spędził w łóżku, walcząc z zimowym przeziębieniem. Z dnia na dzień tracił siły, zwłaszcza że brakowało jedzenia, ponieważ wojna pochłonęła ostatnie zapasy. I tak gasł, aż umarł, jak mówili jego współbracia, „śmiercią sprawiedliwych”.

Pośród ocalałych klaretynów był również brat Simón Sanchez Tolosa, który w chwili wybuchu wojny domowej nie miał jeszcze dwudziestu trzech lat. Bliższe okoliczności nie są jednak znane, gdyż opuścił kongregację klaretynów, zanim zaczęto dokumentować historię męczeństwa. O jego odejściu wiadomo tylko tyle, ile dało się stwierdzić na podstawie listy członków zakonu, publikowanej co kilka lat: że miało ono miejsce w 1940 lub 1941 roku. Prawdopodobnie jednak stało się to wcześniej, bowiem ojciec Antonio Arranz w swoim sprawozdaniu z 28 października 1938 roku o odtworzeniu zgromadzenia klaretynów w Barbastro wspomina jego nazwisko tylko w załączniku i bez dodatkowych informacji, inaczej niż w przypadku pozostałych braci. Simón Sanchez Tolosa po opuszczeniu kongregacji ożenił się. Przez całe życie pozostał dobrym katolikiem. Dwukrotnie, 27 maja 1938 i 3 stycznia 1988 roku, opisał swoje wspomnienia z czasu aresztowań klaretynów. W chwili beatyfikacji współbraci mieszkał w Navarze.

17. CO MĘCZENNICZY ZOSTAWILI NAM W SPADKU?

Dane zawarte w tej książce o męczeństwie klaretynów z Barbastro to historia. Oznacza to, że wydarzenia zostały zrekonstruowane w miarę możliwości na podstawie wypowiedzi żyjących świadków, zapisanych wspomnień i wszelkiego rodzaju dostępnych dokumentów.

Wiedza o przebiegu wydarzeń jest niezbędna, ale jednak niewystarczająca. Książka historyczna powinna również sięgać do takich źródeł, które odstaniałyby zewnętrzne okoliczności i wewnętrzne motywy, jakie kierowały postępowaniem uczestników wydarzeń i określały dokonywane przez nich wybory. Dlatego chociaż nasza uwaga koncentruje się głównie na pięćdziesięciu jeden męczennikach, nie powinniśmy tracić z pola widzenia również pozostałych postaci i ich dziejów. Postawa męczenników nie wypływa wyłącznie z teoretycznych podstaw, lecz jest głęboko zakorzeniona w ich osobistych doświadczeniach. Dlatego należało uwzględnić ich przeżycia z dzieciństwa i młodości oraz opinie ich współbraci o nich, dzięki czemu poszczególne postacie dramatu stały się wyrazistsze. Materiałów na ten temat jest niestety znacznie mniej niż można sobie tego życzyć.

Jakiegokolwiek wydarzenie z przeszłości zachowuje swoją aktualność, dopóki pozostaje w naszej pamięci. To, co znamy z przeszłości, ciągle wpływa na naszą terażniejszość. Czy jesteśmy tego świadomi, czy nie, przeszłość określa nasze decyzje, nasze własne zachowania i działania. Te związki przeszłości z terażniejszością są właściwym powodem, dla którego historia pozostaje ważna i ciekawa. Ta książka została napisana przede wszystkim dlatego, że męczeństwo klaretynów z Barbastro ma dla nas, współczesnych, sens. Mówiąc inaczej: została napisana, ponieważ autor jest przekonany, że opisane tutaj wydarzenia będą oddziaływać na naszą terażniejszość i przyszłość.

Oczywiście można zapytać w związku z męczennikami z Barbastro: Czy tacy ludzie pasują w ogóle do naszych czasów? Nie są oni tylko pozostałością przeszłości, która jest całkiem odległa? Istotnie, relacje o ich aresztowaniu, poniżającym więzieniu i rozstrzelaniu przypominają raczej historię prześladowań chrześcijan pierwszych wieków Kościoła, z tą różnicą, że pogańskie Cesarstwo Rzymskie zostało zastąpione wrogim religii anarchistycznym komitetem rewolucyjnym. A może ich męczeństwo to po prostu rezultat nieszczęśliwego zbiegu okoliczności?

Owe nieszczęśliwe okoliczności miały z pewnością miejsce. Możemy zaliczyć do nich groźną sytuację w Cervera (gdzie między 26 lipca a 2 listopada zginęło więcej klaretynów niż w Barbastro), która doprowadziła do przedwczesnego wyjazdu studentów do Barbastro.

Nieszczęśliwą okoliczność stanowiła bezsprzecznie bierna postawa pułkownika Villalby, a zwłaszcza tragiczny wypadek z anarchistami, którzy na po-

czątku sierpnia przyjechali na postój do Barbastro ciężarówką pełną kosztowności i których pośpieszna egzekucja wprowadziła na scenę dramatu przywódców anarchistycznych z Barcelony.

Mimo to: im dłużej zajmujemy się losami męczenników, tym wyraźniej wiadać, że sprowadzenie ich śmierci - stanowiącej ofiarę za Chrystusa - do dzieła przypadku jest nieuzasadnionym uproszczeniem. Tak jak nieoczekiwany powrót do zdrowia nie nabierze charakteru cudu tylko dlatego, że ateistyczny lekarz uzna wyzdrowienie za niemożliwe, tak samo kaci nie decydują o tym, czy ich ofiary stają się męczennikami.

Męczeństwo klaretynów nie ogranicza się do chwili egzekucji, które miały miejsce 2, 12, 13 i 18 sierpnia 1936 roku. W gruncie rzeczy zaczęło się ono znacznie wcześniej, w momencie aresztowania, 20 lipca 1936 roku. Męczeństwo jest przecież równoznaczne z daniem świadectwa, świadectwa o Chrystusie. Męczennikiem może być więc tylko człowiek, który jest do tego stopnia przepelniony wiarą w Chrystusa, że woli oddać życie niż wyrzec się tej wiary.

Taka wiara w moc Boga objawiającą się w Chrystusie nie pojawia się u żadnego człowieka z dnia na dzień. Jest to raczej ostatni etap długiego rozwoju, kiedy człowiek coraz pełniej dojrzewa do takiej miłości ku Chrystusowi, której nieodłącznym elementem jest gotowość do poświęceń. Tak samo było w przypadku męczenników z Barbastro. U większości z nich grunt do tego dojrzewania do pełni wiary w Chrystusa zapewnił już rodzinny dom. Prawie wszyscy pochodzili ze środowisk bardzo prostych ludzi, byli synami drobnych chłopów lub robotników i pracowników najemnych. Pochodzili właściwie z tych samych warstw społecznych co ci, którzy ich rozstrzelali. A mimo to, ich życie przebiegało zupełnie inaczej, ponieważ ich rodzice, krewni, a także duszpasterze zapewnili im serdeczny i nieskomplikowany kontakt z Bogiem. Dalszym krokiem do coraz silniejszego związku z Chrystusem była decyzja, aby wstąpić do wspólnoty klaretynów, aby cały swój czas oddać Bogu i służyć Mu jako ksiądz lub brat. I chociaż wiedzieli, że nie byli doskonali i mieli liczne słabości, to związek z Chrystusem w modlitwie, a przede wszystkim w Eucharystii dał im siłę, aby trwać przy Nim wiernie, nawet w obliczu ciężkiej próby. Nie ulegli, nawet kiedy ich prześladowcy starali się za pomocą obietnic i gróźb, podstępów i psychicznych tortur zmusić ich do wyparcia się powołania i zerwania z Chrystusem.

Dzięki swojej zdecydowanej postawie klaretyni z Barbastro pozostawili nam ważne dziedzictwo. Zwłaszcza w naszych postmodernistycznych czasach jesteśmy często kuszeni, aby przyjąć za normę dowolność i obojętność. Obojętność jest typowa dla sytuacji, kiedy ludziom wydaje się zupełnie bez znaczenia to, jak żyją inni, jaką mają hierarchię wartości, w co wierzą - dopóki im samym jest dobrze. W tym sensie obojętność jest praktycznie tym samym co egoizm, co żąda realizacji własnych planów bez względu na koszty i krzywdy, jakie oznacza to dla innych ludzi.

W głębszym sensie obojętność jest postawą, w której człowiekowi jest wszystko jedno, postawą, w której nie ma miejsca na pytania o prawdę i kłamstwo.

Taki właśnie jest, użyjmy tu tego niezręcznego wyrażenia, „duch naszych czasów”. Na obszarze religii prowadzi to do zjawiska, które określa się mianem „religii supermarketu”. Tak jak w supermarkecie można sięgać po wszelki towar na półkach, aby napelnić swój sklepowy wózek, tak samo wielu ludzi „skleja” dowolnie swoją prywatną religię. I tak do ujmującego człowieczeństwa Jezusa dodaje się niejasną ezoterykę i astrologię, do tego dochodzą zainteresowania po swojemu zinterpretowanym hinduizmem i buddyzmem, gdzie wiara w reinkarnację odpowiada marzeniom o kolejnych szansach na lepsze życie. Nie zabraknie też i nieco indiańskiej mistyki przyrody, a „przyda się” również i jakaś maskotka lub talizman.

Czymś całkowicie różnym od takiej dowolności jest zdecydowane świadectwo męczenników z Barbastro z ich niewzruszoną wiarą w Chrystusa i Jego dzieło. Tak zdecydowane trwanie przy naukach Chrystusa nie ma jednak nic wspólnego z jakimkolwiek rodzajem fundamentalizmu, który wybiera z religii kilka zaledwie aspektów i absolutyzuje. Męczennicy nie byli fundamentalistami. Mimo młodego wieku doskonale zdawali sobie sprawę z bolączek współczesnego świata, o czym świadczą liczne fragmenty ich pożegnalnych listów. Wielu z nich chciało zająć się problemami robotników; rozwiązań nie szukali bynajmniej w żadnym fundamentalizmie. Nie żądali od robotników, aby pogodzili się ze swoją sytuacją i oczekiwali pocieszenia na tamtym świecie. Odrzucali jednak także marksistowskie tezy o walce klas oraz romantyczne idee radykalnych anarchistów. To, co opisywali pojęciami „katolicki ruch robotniczy” lub „społeczne królestwo Chrystusa”, było wyrazem pragnienia sprawiedliwego społeczeństwa lub, według słów papieża Jana Pawła II, „cywilizacji miłości”.

Fundamentalistyczna nieustępliwość i ideologiczna nietolerancja zaślepiają, zachęcają do walki o swoje ideały kosztem ludzkich ofiar. Anarchiści z Barbastro i katalońskie kolumny z Barcelony są tego takim samym przykładem jak nacjonalistyczni spiskowcy generała Franco. Zdecydowanie w wierze w Chrystusa dają natomiast siłę, aby zapomnieć o sobie i poświęcić własne życie dla innych, zarówno w codziennym wysiłku, jak i w wyjątkowej chwili męczeństwa.

Klaretyni z Barbastro byli również zdecydowani w swojej wierności wspólnocie, wierności wykraczającej daleko poza zwykłe wypełnianie obowiązków, które przyjęli na siebie, składając śluby. Właśnie wobec takich obciążeń jak te, które spadły na klaretynów więzionych w sali teatralnej, okazuje się, jak wielkim oparciem dla wierzącego jest wspólnota. Widać to na przykładzie studenta José Blasco, który po kilku dniach więzienia bał się, że ze strachu zawiedzie i wyprze się swojej wiary. W chwili zwątpienia przyszli mu z pomocą współbracia, którzy modląc się, aby znów odnalazł spokój, dodali mu w końcu odwagi.

Znaczenie wspólnoty dla męczenników z Barbastro szczególnie podkreślił papież Jan Paweł II w swoim przemówieniu z okazji ich beatyfikacji. Powiedział wtedy: „W szeregu nowych błogosławionych zasługuje na uwagę zwłaszcza liczna grupa męczenników z Barbastro: wszyscy pochodzili z tego . samego seminarium ojców klaretynów. (...) Robi wrażenie fakt, że zostali powołani do świadczenia za

Chrystusa nie pojedynczo, lecz we wspólnocie, tak że w pewnym sensie stali się seminarium męczenników. (...) Kościół z podziwem patrzy na takie seminarium duchowne jak to z Barbastro”.

Dająca oparcie wspólnota, czego doświadczyli ojcowie, bracia i studenci internowani w sali teatralnej, jest już dla nas w dzisiaj czymś w jakimś stopniu utraconym. Zastąpiła ją prywatna „dowolność”. Dlatego dziedzictwo męczenników z Barbastro może dodać nam odwagi, aby otworzyć się na nowe doświadczenia wspólnoty, może też zachęcić do budowania nowej wspólnoty, w której jednostka nie będzie tylko szukać spełnienia własnych pragnień, lecz zechce swoje zdolności poświęcić dobru wspólnemu.

Największą wartością odziedziczoną po klaretynach z Barbastro jest niewątpliwie imponująca gotowość do przebaczenia. Jest to coś znacznie większego niż pobożne życzenie lub wyniosłe cytowanie słów wypowiedzianych przez Chrystusa na krzyżu. Ich gotowość do wybaczenia była owocem codziennego doświadczania przebaczenia, jakie niesie sakrament pokuty, a także wybaczenia sobie nawzajem. Takie doświadczenie nie wyrasta tylko ze słów Jezusa, ale i z Jego postawy. Wypowiadając słowa przebaczenia wobec swoich katów, męczennicy z Barbastro chcieli przełamać spiralę przemocy, którą napędza pragnienie zemsty.

Bez wątpienia gotowość do przebaczenia jest również potrzebna w konfliktach współczesnych. Od każdego z nas zależy zatem, czy przebaczenie męczenników przyniesie owoce. Pod tym względem stoimy być może przed trudniejszym zadaniem niż oni: oni przebaczyli w obliczu śmierci, my natomiast musimy czynić to za życia i żyć nie obok, ale razem z ludźmi, którym wybaczymy to, co nam uczynili złego. Wydaje się to być zadaniem ponad nasze siły, zadaniem, które przerasta człowieka. Ale czy nie było tak również w przypadku męczenników z Barbastro? Jeśli zdamy się tylko na ludzkie siły, nie sprostamy temu zadaniu. Jeśli jednak tak jak męczennicy zawierzmy sile Boga, może się okazać, że zrobiliśmy krok w kierunku świata, w którym już nikt nie będzie musiał przelewać krwi dla potwierdzenia swojej niezłomnej wiary w Chrystusa.

18. KAŻDY ZASŁUŻYŁ NA KSIĄŻKĘ

Chociaż dla męczenników z Barbastro wspólnota była bardzo ważna, to jednak każdy z nich miał własną osobowość. Mimo że ich biografie wydają się na pozór podobne - większość z nich chodziła razem do szkoły od jedenastego roku życia - to każdy miał własną historię i każdy w gruncie rzeczy zasłużył na książkę. Niestety, nie posiadamy prawie żadnych źródeł informacji na temat historii rozwoju wewnętrznego każdego z nich. Nie możemy zatem napisać kolejnych książek poświęconych każdemu z męczenników z osobna. Dlatego musi wystarczyć w tym miejscu alfabetyczna lista z datami urodzin.

- José Ma AMORÓS HERNANDEZ (student), ur. 14.1.1913 r. w Puebla Larga (prowincja Walencja), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- José Ma BADIA MATEU (student), ur. 30.9.1912 r. w Puigpelat (prowincja Tarragona), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Juan BAIXERAS BERENGUER (student), ur. 21.11.1913 r. w Castellterçol (prowincja Barcelona), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Javier Luis BANDRES JIMENEZ (student), ur. 1.12.1912 r. w Sangüesa (prowincja Navarra), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- José Ma BLASCO JUAN (student), ur. 2.1.1912 r. w Játiva (prowincja Walencja), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- José BRENGARET PUJOL (student), ur. 18.1.1913 r. w Sant Jordi Desvalls (prowincja Gerona), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Rafael BRIEGA MORALES (student), ur. 24.10.1912 r. w Montemoltn (prowincja Saragossa), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Manuel BUIL LALUEZA (brat), ur. 31.8.1914 r. w Abizanda (prowincja Huesca), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Antolln Ma CALVO CALVO (student), ur. 2.9.1912 r. w Gumiel del Mercado (prowincja Burgos), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Sebastian CALVO MARTINEZ (ojciec), ur. 20.1.1903 r. w Gumiel de Izan (prowincja Burgos), zm. jako męczennik 12 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Tomas CAPDEVILA MIRÓ (student), ur. 5.5.1914 r. w Malda (prowincja Lerida), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Esteban CASADEVALL PUIG (student), ur. 8.3.1913 r. w Argelaguer (prowincja Gerona), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Francisco CASTAN MESSEGUER (brat), ur. 1.2.1911 r. w Abizanda (prowincja Huesca), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Gregorio CHIRIVAS LACAMBRA (brat), ur. 24.4.1880 r. w Sietamo (prowincja Huesca), zm. jako męczennik 12 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Wenceslao Ma CLARIS VILAREGUT (subdiakon), ur. 3.1.1907 r. w Olost de Llu~anes (prowincja Barcelona), zm. jako męczennik 12 sierpnia 1936 r. w Barbaskro.

Eusebio CODINA MILLA (student), ur. 7.12.1914 r. w Albesa (prowincja Lerida), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Juan CODINACHS TUNEU (student), ur. 14.2.1914 r. w Santa Eugenia de Berga (prowincja Barcelona), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Pedro CUNILL PADRÓS (ojciec), ur. 18.3.1907 r. w Vic (prowincja Barcelona), zm. jako męczennik 12 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Antonio Ma DALMAU ROSICH (student), ur. 4.10.1912 r. w Miralcamp (prowincja Lerida), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Juan DIAZ NOSTI (ojciec), ur. 17.2.1880 r. w Oviedo (prowincja Asturia), zm. jako męczennik 2 sierpnia 1936 r. w Bar-., bastro.

Juan ECHARRI VIQUE (student), ur. 31.3.1913 r. w Olite (prowincja Navarra), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Luis ESCALE BINEFA (student), ur. 18.9.1912 r. w Fonderella (prowincja Lerida), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Jaime FALGARONA VILANOVA (student), ur. 6.6.1912 r. w Argelaguer (prowincja Gerona), zm. jako męczennik 18 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

José FIGUERO BELTRAN (student), ur. 14.8.1911 r. w Gu- ' miel del Mercado (prowincja Burgos), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Pedro GARCIA BERNAL (student), ur. 27.4.1911 r. w Santa Cruz de la Salceda (prowincja Burgos), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Ramón ILLA SALVIA (studenty, ur. 12.2.1914 r. w Bellvis (prowincja Lerida), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. . w Barbastro. ; Luis LLADÓ TEIXIDÓ (student), ur. 12.5.1912 r. w Viladesens (prowincja Gerona), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Hilario Ma LLORENTE MARTW (student), ur. 14.1.1911 r. w Vadocondes (prowincja Burgos), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Manuel MARTINEZ JARAUTA (brat), ur. 22.12.1912 r. ' w Murchante (prowincja Navarra), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Luis MASFERRER VILA (ojciec), ur. 9.7.1912 r. w Sant Vicenę de Torelló (prowincja Barcelona), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Miguel MASSIP GONZALEZ (student), ur. 8.6.1913 r. w Llardecans (prowincja Lerida), zm. jako męczennik 15 sierpnia , 1936 r. w Barbastro.

Alfonso MIQUEL GARRIGA (brat), ur. 24.2.1914 r. w Prades de Molsosa (prowincja Lerida), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Felipe de Jesús MUNÁRRIZ AZCONA (ojciec), ur. 4.2.1875 r. w Alló (prowincja Navarra), zm. jako męczennik 2 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Ramón NOVICH RABIONET (student), ur. 18.4.1913 r. w La Sellera (prowincja Gerona), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

José Ma ORMO SERÓ (student), ur. 18.8.1913 r. w Almatret (prowincja Lerida), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

- Secundino Ma ORTEGA GARCIA (ojciec), ur. 20.5.1912 w Santa Cruz de la Salceda (prowincja Burgos), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- José PAVÓN BUENO (ojciec), ur. 19.1.1909 r. w Cartagena (prowincja Murcia), zm. jako męczennik 12 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Faustino PEREZ GARCIA (student), ur. 30.7.1911 r. w Bañdano (prowincja Navarra), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Leoncio PEREZ RAMOS (ojciec), ur. 12.9.1875 r. w Muro de Aguas (prowincja Logroño), zm. jako męczennik 2 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Salvador PIGEM SERRA (student), ur. 15.12.1912 r. w Vilobi d'Onyar (prowincja Gerona), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Sebastian RIERA COROMINA (student), ur. 13.10.1913 r. w Ribas de Freser (prowincja Gerona), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Eduardo RIPOLL DIEGO (student), ur. 6.1.1912 r. w Játivaa (prowincja Walencja), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- José Ma ROS FLORENDA (student), ur. 29.10.1914 r. w Torms (prowincja Leri-da), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.
- Francisco ROURA FARRÓ (student), ur. 13.1.1913 r. w Sors (prowincja Gerona), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Teodoro RUIZ DE LARRINAGA GARCIA (student), ur. 9.11.1912 r. w Bargota (prowincja Navarra), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Juan SANCHEZ MUNÁRRIZ (student), ur. 15.6.1913 r. w Malón (prowincja Saragossa), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Nicasio SIERRA UCAR (ojciec), ur. 11.10.1890 r. w Cascante (prowincja Navarra), zm. jako męczennik 12 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Alfonso SORRIBES TEIXIDÓ (student), ur. 17.12.1912 r. w Rocafort de Vallbona (prowincja Lerida), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Manuel TORRAS SAIS (brat), ur. 12.2.1915 r. w Sant Marti Vell (prowincja Geron), zm. jako męczennik 13 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Atanasio VIDAURRETA LABRA (student), ur. 2.5.1911 r. w Adiós (prowincja Navarra), zm. jako męczennik 18 sierpnia 1936 r. w Barbastro.

Agustin VIELA EZCURDIA (student), ur. 4.4.1914 r. w Oteiza de la Solana (prowincja Navarra), zm. jako męczennik 15 sierpnia 1936 r. w Barbastro.